

X. KAN. J. BORODZICZ

KRESY POLSKIE W NIEBEZPIECZEŃSTWIE



WILNO—nakładem autora.

TOW. WYD. „POGOŃ”, DRUKARNIA „PAX”, ŚW. IGNACEGO 5.

X. KAN. J. BORODZICZ

KRESY POLSKIE W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Dalszy ciąg pamiętników

„Na wozie i pod wozem“

(Polska i Zagranica)

Księgarnia



82-94

WILNO.

NAKŁADEM AUTORA.

TOW WYD. „POGOŃ“, Drukarnia „PAX“, ul. św. Ignacego 5.

OSOBY WZMIANKOWANE W DZIEŁKU:

Abramowicz X. Kan.

Agosti Podesta

Alessandro komis.

Arciszewski pos.

Bandurski Bp.

Borodzicz X. Kan.

" X. Prob.

Benedetti Pref.

Bernard Pref.

Bresson hr.

Blanc M. Carlo

Blanc Nica

Cieplak Arcyb.

Czok X. Prob.

Croisier red.

Czelidze prof.

Chodyko X. dz.

Chimay więźna

Chowański xiążę

Chmielowski prez.

Daffra Bp.

Dobrucki min.

Dubowski Arcyb.

Dubicki ob.

Drancen red.

Eljaszewicz sęd.

Episkopat Polski

Florczak Mgr.

Gasparri Kard.

Godlewski Bp.

" X.

Gudaniec kand.

Ghiers amb.

Hlond Kard. Prym.

Hryniewiecki rej.

Jałbrzykowski Arcyb.

Janowicz insp.

Janiszowski exk.

Januszowski star.

Jakubowski X.

Jakubowicz

Jasiński mec.

Jeruzalski dr.

Iłakiewiczowa Z.

Karuza red.

Kraujalis X. dr.

Kibelis X.

Kisielis dz.

Kwinto ob.

Korzeniewski ob.

Kubarski kom.

Kurczewski sęd.

Kurlanski X.

Kwaśnicka ob.

Kleniewscy ob.

Krum n.

Leon XIII.

Lazzaronowie bar.

Luchiesi kon. g.

Lubimow gub.

Łopacińscy ob.

Mackiewicz red.

Mościcki Prez.

Mussolini prem.

Michalkiewicz Bp.

Matyasik red.

Małachowski X.

Mańkowski Arcyb.

Markowski X.

Meysztowicz min.

" X. Kap.

Mohl hr.

Morawski min.

Modzelewski pos.

Milewski hr.

Minkiewicz gen.

Morozow pop

Miłaszewicz płk.

Miotła pos.

Murawjew.

Nawrocki X. pos.

Niemczyk of.

Obrąpalscy inż.

Obst. red.

Onożko ob.

Orkisz kom.

Orłowski dr.

Orlando min.

Pius XI.

Piłsudski marsz.

Paderewski prem.

Palewski mec.

Patek min.

Piotrowicz rad.

Potoccy ob.

Plater hr.

Pimonow pos.

Pogorzelski mec.

Ratti Nuncj. Ap.

Rackiewicz Woj.

Rauze prok.

Rakowski rad.

Rak-Michajłowski pos.

Rybicki red.

Rakicki mal.

Raymondi mec.

Rancon Bp.

Ropp Bar. Arcyb.

Sapieha Xiążę

Szelażek Bp.

Sawicki X. Kanclerz

Sawicki X. dz.

Szarokwicz ob.

Sarosiek X.

Sperski X. kan.

Szapiel pos.

Saulewicz ob.

Stelman prok.

Seyda Pierw. Prez. N. Tr.

Składkowski Sławoy Min.

Stołypin prem.

Silvio-Dian mec.

Surwiłło pop

Sznarbachowski Infulat

Szkultynowie ob.

Szpryngowicz Arcyb.

Tatyszczew hr.

Taraszkiewicz pos.

Tokarzewski X.

Truszkowski wójt

Umiastowscy ob.

Wojciechowski b. Prez.

Wojtkiewicz pl.

Wiewiórowska ob.

Winczy mjr.

Wiśniewski insp.

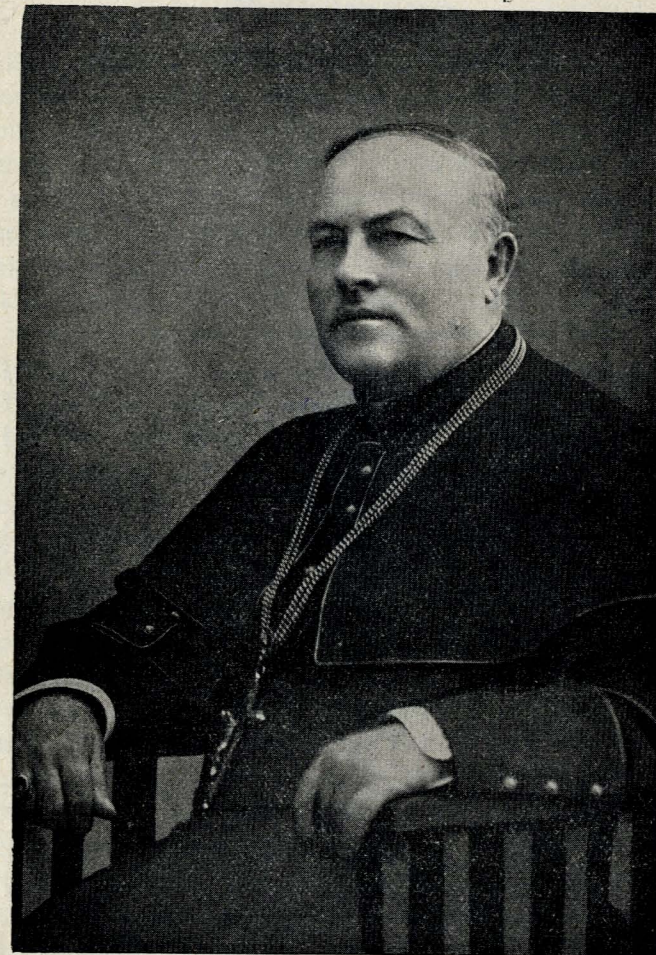
Zaleski Min. S. Z.

Zwierowicz Bp.

Zawadzki X. kan.

Zubrzycki mec.

Żugier W. ob.



Ks. Kanonik Józef Borodzicz

Przedmowa.

Modernizm dziejowy, czyli, mówiąc poprostu, zgłuszenie zbiorowego sumienia i wślad za niem idący bezruch etyczny chwaści się najpyszniej tam, gdzie trzeba heroizmu, a brakuje charakteru i wiary. Okaleczona przez leniwe umysły prawda historyczna nie zdoła wykrzesać ze społeczeństwa skry prawdziwego czynu; ów czyn zrodzić się może tylko z duchów wielkich i niezwykłych, którym promień posłannictwa rozwarł oczy szeroko i, raniąc ludzki instynkt bezwładu, ukazał konieczność ponadludzkiej ofiary z siebie. Dzieje takiej ofiary zawiera niniejsza książka. W pełnej prostoty, wolnej od pustego patosu, uśmiechniętej radością prawdy zupełnej — opowieści Księdza Józefa Borodiczca znajdzie czytelnik obraz tego, czym być może i czym być powinna chrześcijańska godność współczesnego człowieka — pracownika. Godność czerpana nie z tych poprzedników zastoju, jakimi są bożyszcza kłótniowych mas: program i hasło, — ale z cichego, cierpliwego, zwycięskiego Chrystusowego ducha. Słowa Chrystusa: „idźcie i nauczajcie” jaśniały nad pracą Księdza Borodiczca jako natchnienie życia całego, — przez owe życie pełne nieustannego trudu rozeszły się szeroko po widnokręgu prawdy dziejowej, i niby ziarna, zapadły błogosławionym siewem w rolę zbiorowego ducha. Wiele z tych ziarn-czynów przyniosło już dzisiaj złotość rozległego, chlebnego żniwa. Ksiądz Józef Borodiczcz wspomina swe długie życie i odnajduje w owym wspomnieniu wiele spraw, które zastał w kalectwie i które natchnął pełnią zdrowia, energii i życia. Sprawy owe, to przede wszystkim katolicyzm Kresów; następnie zaś to wszystko, co mieści się w pojęciu katolicyzmu naprawdę żywego, — a więc czyszczenia tej augiaszowej stajni, jaką było szkolnictwo na Kresach, — plewienie zatrutych wiewem od wschodu swarów z wiejskiego ludu, budzenie w duchach wieśniaczych dośrodkowego pędu syntezy społecznej przez wspólną miłość Chrystusa, — praca nad usuwaniem z roli kresowej pracowników nieuczciwych, pozbawionych charakteru narodowego, a mających dłoń pełną najczerniejszego chwastu: bolszewickiego kąkolu, — a wreszcie najwspanialsze może dzieło widzialne Księdza Borodiczca: budowanie kościołów. Ksiądz Borodiczcz, nie mający bogactwa innego, jak tylko powszechną miłość i cześć wielką a należną, przewyższył wielu magnatów: zbudował dwanaście wielkich, pięknych kościołów. Wznosił je jeszcze

przed wojną, za czasów carskich, wśród walki ze zbrodniczymi kno-
waniami popów, podjudzających ludność wiejską, wśród ciągłych nie-
bezpieczeństw, często narażając życie. Zesłany na wygnanie, po wielu
doświadczeniach głodu i nędzy powrócił, aby to samo dzieło nieść
dalej, nie bacząc na żaden opór ani sprzeciw czynników dalekich od
chrześcijańskiego ducha. Wypleniał chwasty, rozorał sumienia, w ski-
by serc kresowych zasiewał wielkie idee zgody, jedność w obliczu
grozy wiejącej z poza granic, kochania się wzajemnego w ciągłej
ofierze z siebie, jaką powinien być dzisiaj każdy czyn. Pozyskał mi-
łość niezwykłą ludu, który z rąk jego wziął łaskę duchowego odro-
dzenia.

Książka niniejsza zyska bezwątpienia uwagę nie tylko szerokich
mas, ale również — to w pierwszej mierze — kresowego duchowień-
stwa i kresowego ziemiaństwa, wskazując, ile rzeczywistego dobra
zdziałać można, gdy się „chce chcieć”. Czytelnik nie znajdzie na kar-
tach tej książki owej sztucznej, napuszonej niby — powagi, która
niejednokrotnie zaszepia oblicze działaczy niby-wiedzących, co czy-
nić. Słowa Księdza Borodiczca są jasne, słoneczne, niefrasobliwe,
pełne prostoty wielkiego ducha; niekiedy załśni wśród nich iskra
rzadko-pięknej poezji. Nazwałbym tę książkę wielką epopeją, spo-
witą w skromne osłony niefrasobliwej, swobodnej opowieści.

Utarło się w masach naszych rozumienie zmartwychwstania
Polski, jako dzieła już dokonanego, — podobnie, jak zmartwychwsta-
nie Syna Bożego było dziełem chwili, i przychyliło odrazu chwałę
tryumfu do skroni skrwawionej cierniem. To rozumienie jest mylne.
Zmartwychwstanie dziejowe Polski zbudowało odrazu przed nami
potężne zamczysko wolności; jednak jak długo to zamczysko jest
puste, jak długo nie zaludnią go czyny trwałe, z chrześcijańskiego
ducha poczęte, — możemy rzec o sobie, że niewolnikami już nie
jesteśmy, nie możemy zwać się jeszcze ludźmi wolnymi w całej pełni.
Dokonano już wiele; bierwiona spraw materialnych skrzepiły się
więźbą ubezpieczającą naród od najazdu i głodu. Teraz kolej na
dzieło drugie i ostatnie, na wyzwolenie ducha. Na budowanie trwa-
łej, twórczej jedności dziejowej przez łaskę. Praca potrwa długo.
Gdy po jej spełnieniu nadejdzie pierwszy dzień chwały zupełnej, —
karty książki niniejszej, dziś szare i skromne, zabłysną żywo — jako
wspomnienie pokonanych cieni, jako ważny przyczynek do dziejów
naszego zmartwychwstawania.

Andrzej Rybicki.

San Remo, w czerwcu.

W s t ę p.

Ciężkim jest żywot (nie w znaczeniu rosyjskim) kapłana, dźwi-
gającego sześć tuzinów lat na pochyłych barkach.

Szanowni Czytelnicy moich pamiętników „Pod wozem i na
wozie”, „Na Rusi Galicyjskiej schyzma się gotuje”, „Infanty Polskie”,
„Hładi jak dobre pid Moskałem żyty”, i „Kresy wileńskie w niebez-
pieczeństwie”, oraz różnych artykułów „pro i contra” w prasie
różnego koloru — znają moją przeszłość a szczególnie chwile
ciężkie i przebyte wstrząsy, od których „siwieje włos”.

Czterdzieście lat walki z rusyfikatorami Polski i narzucaną
Kościołowi schyzmą za caratu, dwa i pół roku więzienia, trzy lata
wygnania, dziewięć lat tułactwa na obczyźnie, pięć lat walki z b.
ochrańszczykiem i potem b. konsulem generalnym polskim w Rzy-
mie i jego „kuzynami”, zbudowanych dwanaście kościołów, praco-
wicie spędzane „wakacje” na Kresach wileńskich a w roku zeszłym
na Inflantach, — wyrzyły ślady zmęczenia i starości na mem obliczu,
choć zapał do czynów ideowych nie gaśnie.

Gdy wróciłem do swych „pieleszy” na Riviérę, gdzie czas mam
wolniejszy, gdzie słońce przygrzewa i orzeźwia, gdzie woń kwiecia
pobudza do pracy, postanowiłem zadośćuczynić prośbom swych
przyjaciół i zaspokoić ciekawość tych, którzy dopytują się: „co się
stało z ks. Borodiczem?” Nie należy identyfikować mnie i mego
brata, ks. Jana Borodiczca, ekskapitana wojsk rosyjskich z pułku
Lejbgwardji — ten jest wzrostem dwa razy wyższy i stokroć pokor-
niejszy, czego dowodem jest i to, że się ukrywa „jak fiołek w traw-
ce”. Wyświęcony na kapłana w Żytomierzu przed laty dwudziestu,
zajmował stanowisko proboszcza w różnych parafjach na Wołyniu,
był dziekanem, parę razy skazywała go na śmierć „Czrezwyczajka”,
a gdy zdołał uciec, skrywał się przez całą zimę w lesie; wreszcie
kapelanował w wojsku polskim, a będąc ciężko chory, dwa lata
temu w sezonie zimowym duszpasterzował w San Remo. Gdy nie
mógł złamać tęsknicy za Krajem i pracą wśród swoich, wrócił pod
opieczkę skrzydła J. E. ks. Biskupa Łozińskiego i proboszczuje
teraz w Kroszynie. Jest i on zmuszony wyjść z ukrycia, tam też
buduje nowy i duży kościół murowany.

Żeby nie nużyć Czytelnika odczytywaniem wyżej wspomnianych
moich pamiętników i artykułów, zwłaszcza, że te pierwsze są na

wyczerpaniu, jako też, aby z moją przeszłością poznać i tych, którzy jej nie znają, pokrótce nakreślić tu moje „curriculum vitae”.

Rodzice moi mieli posiadłość w Nowogródzkiem. Za udział w powstaniu byli skazani na deportację do Syberji. Zbiegli do Warszawy, gdzie ja się urodziłem; potem zamieszkali na Litwie kowieńskiej. Młodość moje lata spędziłem w Poniewieżu. Wychowanie otrzymałem w domu rodzicielskim a egzamina złożyłem w m. Orle.

Pobytu mego w Orle omal nie przypłaciłem życiem. Zima była ostra. Zamieszkałem u ks. prałata Obrąpalskiego. Wskutek przeziębienia zachorowałem na zapalenie płuc i nie mogłem stawić się w dniu wyznaczonym na egzamin. Ks. Prałat zadeszczał rodzicom o groźnym stanie. Ci biedni ludzie prosili Prałata, ażeby czuwał nade mną i pielęgnował mnie, a w razie śmierci—pogrzebał. P. Bóg rychło mię uzdrowił, egzamina złożyłem b. szczęśliwie przed specjalną „ad hoc” komisją, i dopiero następnie uwiadomiłem rodziców o swem wyzdrowieniu i o pomyślnie ukończonej pracy. Przyjście depeszy wzbudziło przerażenie, — myślano, że to wieść o mojej śmierci. Radość po przeczytaniu była niezmierna.

W drodze powrotnej z Orła zatrzymałem się w Wilnie, by pomodlić się w Ostrejbramie i u stóp ołtarza św. Kazimierza. Tu uczułem się mocny, jak nigdy przedtem. Tu po raz pierwszy zetknąłem się z pomnikami historii. Zwiedziłem kościoły, ruiny zamku Giedymina i romantyczne okolice Wilna z jego lasami Werkowskimi, po których malowniczo są rozsiane kaplice Kalwarji. W Wilnie, Kalwarji i prawie wszędzie spotykałem ślady barbarzyńskiej ręki Moskala. Niema świętości, ani pamiątki historycznej, którejby krowa ta ręka nie splugawiła. Kościół św. Michała, Franciszkański z kaplicą pierwszych Męczenników — zapieczętowany. inne zaś — przerobiono na cerkwie; uniwersytet, pałac biskupi, wiele domów kapitulnych, pałaców związanych z historją Wilna—skonfiskowano i zamieniono jeżeli nie na urzędy, to na koszary lub na więzienia. Carat nie cofnął się przed niczem, aby przekonać Polaków i Litwinów, że Wilno, to „iskoni ruskij gorod”.

W Wilnie odezwały się we mnie całą siłą uczucia patriotyczne i katolickie — uwiadomiłem sobie moje powołanie. Stanęły mi przed oczyma tysiące ofiar, które tu zginęły z ręki Murawjewa lub długo, długo dźwigały kajdany niewoli w tajdze Sybiru. Miałem wrażenie, że mnie wzywają do pracy głosy męczenników biskupów Kuncewiczów, Krasieńskich, Łubieńskich, XX Iszory, Mackiewiczów, Platerów, Wołkowiczów, Kołyszaków i wielu, wielu innych. Jakiś głos wewnętrzny wołał do mnie: „Oto gleba, którą powinienes zasieć wzniosłymi czynami”. Stanęli mi przed oczyma i XX zdrajcy Żyliński, Tupalski i ci składający wieńce pod pomnikiem Katarzyny

w Wilnie, i wielu innych, wysługujących się caratowi, hańbiących Polskę i szczącących się tytułami szambelanów carskich...

Czasy to były straszne i okrutne. Rusyfikacja zalewała nas wszędzie; schyzmę przemocą wszczepiano w lud. Za odpiękanie schyzmy i rusyfikatorstwa patryjoci szli na Sybir. Męki, jakie znosili bracia Polacy, Litwini i Rusini przedstawił pięknie Matejko w swym obrazie „Rok 1863”. Widnieją tam trzy dzielnice: Korona, Litwa i Ruś — jako trzy siostry rodzone, skatowane i zbite przez carskich siepaczy; własni bracia, zmuszeni przez wroga, skuwają dłonie siostrzane kajdanami.

Pod tem wrażeniem obrałem stan duchowny nie tylko dla powodów czysto kościelnych: ambona bowiem dawała możność wywierania wpływu na lud, uświadamiania jego krzywd dziejowych, prowadzenia do jaśniejszej przyszłości.

Wstąpiłem więc do seminarjum duchownego w Wilnie. Do pierwszych egzaminów wstępnych nie dopuścił mnie inspektor rządowy. Wygląd mój wydał mu się zbyt polskim. Na egzaminy następne ubrałem się w strój rosyjski i zapuściłem długą brodę. To mu zaimponowało: postawił stopień najlepszy i nigdy więcej przeszkód nie czynił. Po wyświęceniu byłem wikarym w Niemenczynie (1897 — 1898) i w Lidzie, skąd po czterech miesiącach zostałem przeniesiony do Troka a to za spalenie obrazu Aleksandra Newskiego—ofiarowanego przez popa Kojalowicza do Kościoła, i za zbyt gorliwe katechizowanie ludu. W miesiąc później, gdy mi Moskale zagrozili uwięzieniem, biskup Zwierowicz przeniósł mnie na wikarego do Dawgieliszek, parafji czysto katolickiej i litewskiej. Stąd w kilka miesięcy później zostałem deportowany do więzienia-klasztora w Grodnie. Odwiedziła tu mnie ś. p. Eliza Orzeszkowa. „Przybyłam—rzekła—odwiedzić cię, nasz drogi więźniu, a te książki, które ci tu ofiaruję, niech ulgę przyniosą i czas się nie zdłuży”. Po odbyciu tam rocznych „relekcji”, udałem się do Rzymu na czele pielgrzymki. O. Zygmunt Janicki przedstawił mnie Papieżowi.

Leon XIII udzielił mi wszelkich przywilejów misjonarskich, a J. E. ks. biskup Zwierowicz zaszczycił mnie złotym krzyżem z napisem: „Niezapomnianemu ks. Józefowi Borodziezowi” i tytułem kanonika wileńskiej Kapituły katedralnej. To wszystko miało być tajemnicą przed Moskalami.

Podróż do Rzymu odbyła się szczęśliwie. Wszędzie mieliśmy dostęp łatwy; zwiedziliśmy Bolonję, Florencję, Padwę, Asyż, Loreto, Rzym, Neapol, wyspę Kapri z Lazurową Grotą; wspinaliśmy się na Wezuwusz a z powrotem zawadziliśmy o Wenecję i Wiedeń. Nie obeszło się naturalnie bez przygód. Ojciec św. wyznaczył nam audjencję w kaplicy Sykstyńskiej. Przy wejściu zabrakło mi biletów. Towarzysze podróży zaczęli szemrać, że, będąc jedynym raz w Rzymie,

nie będą widzieli Papieża i nie otrzymają Jego błogosławieństwa. Mimo to poprowadziłem wszystkich na audjencję. Przy wejściu zandarmi papiescy oglądali starannie „bilety” wstępu. Wszedłem ja i większość mojej kompanji, reszta czekała przed kratą. Nie tracąc czasu, pozbierałem bilety od swoich, włożyłem do kapelusza i, trzymając go za sobą, stanąłem przy kracie w pozycji takiej, że ktoś zrozumiał mnie, wyjął z kapelusza bilety i rozdał pozostałym a ci z nami stawili się na audjencję.—W Neapolu podczas obiadu, słysząc polską mowę, kapelmistrz sądził, że jesteśmy Rosjanami, więc kazał grać „Boże cara chrań”. Oczywiście nikt nie wstał, co wywołało ogólny śmiech.

Rząd carski potem przez sześć miesięcy odmawiał mi posady. Siedziałem przy kościele św. Jakóba w Wilnie a Mszę św. odprawiałem pokryjomu. W 1902 r. ks. bp. Zwierowicz posłał mnie do Żosel a gdy chory ks. Kibelis odjechał do Sławuty na kurację, zastępowałem go i kościół tam zbudowałem. W parafji tej byli ogromnie poróżnieni Polacy z Litwinami. Pomimo, że fundamenty kościoła były zbudowane, przez trzy lata nie mogli dojść do zgody, a stosunki tak się zaostrzyły, że ks. Kibelisowi i jego wikaremu ks. Krysztopenisowi wygrażali malkontenci pięściami. Ks. bp. Zwierowicz polecił mi lud uspokoić. Wszedłem tedy na ambonę i, zacząwszy od tego, że nie jestem ani polonomanem, ani litwomianem, a tylko księdzem katolickim, zaklinałem obecnych, aby pogodzili się i aby każdy przemawiał do mnie swym macierzystym językiem, aby składali ofiary i budowali kościół. Skutek był nadspodziewany. Polacy i Litwini zaraz po kazaniu złożyli tysiąc rubli, ziemianie ofiarowali cegłę i wapno, lud je zwiózł a sprowadzonych 50 murarzy z Dyneburga w sześć tygodni kościół zmurowało.

Z Żosel pojechałem na administratora do Kluszczen, gdzie stary kościół o pięciu cebulkowatych wieżach i plebanja w ruinie przysporzyły mi lat kilka pracy nad ich odbudową. Tam zaskoczył mnie manifest 1905 r. i tam udało mi się wypłenić schyzmę w mojej i sąsiednich parafjach a cerkiew w Żeladzi zamienić na kościół parafjalny.

W sam dzień Wielkiejnocy 1905 r. ogłosiłem z ambony ukaz tolerancyjny. Prawosławni rozplakali się z radości, że i oni mogą teraz wrócić ze schyzmy na łono Kościoła i być jawnie moimi parafjanami. Byli oni bowiem zapisani pod terorem kozaków na prawosławie a kościół ich i klasztor OO. Karmelitów oddano popowi. Pop skoro utracił parafjan, spalił cerkiew i zwrócił się do Petersburga o pomoc w odbudowaniu cerkwi. Otrzymał na ten cel 30.000 rb.

Już fundamenty były założone, gdy, wracając od chorego, ujrzałem widok, który mną wstrząsnął do głębi: grobowce, pomniki, krzyże, kapliczki — tworzyły jedno wielkie rumowisko, z którego

sterczały deski trumien i kości umarłych. Profanacja, świętokradztwo, gwałt! I to miałyby ujść bezkarnie?

Co na to lud? Lud milczał, ale wzbierało w nim już oburzenie. Potrzeba było, aby ktoś rzucił pierwszą iskrę. I taki ktoś się znalazł. A był nim Franciszek Wołujewicz, mój zaufany. Jemu poddyktowałem, jak ma zorganizować kobiety i dzieci, by wypędziły popa. Wystraszony pop uciekł do Święcian, zaalarmował policję, a ta, przestraszona odruchem ludu, prosiła mnie, abym tę ruchawkę uśmierzył. Gdy otrzymałem tę prośbę, wyrażoną przez sprawnika na piśmie, kazałem zwołać lud i tak pokierowałem sprawą, że p. gubernator Tatiszczew polecił oddać ludowi zaczęłą budowę, popa wysiedlił a mnie do monarszej nagrody przedstawił. Przysłano mi order św. Stanisława i krzyż. Jak wiadomo, pod rządem rosyjskim, o ile było zaszczytnem i miłem otrzymać krzyż od swego biskupa, o tyle przykrym był order lub krzyż od rządu. Od hańby tej zachował mię Bóg. Order i krzyż były nadesłane pod adresem: „PW ks. Proboszcz w Święcianach”. Spostrzęglszy pomyłkowy adres Petersburga do mnie, nastąpił na sprawnika, by te „honory” odwiózł do ks. dziekana Burby, mego b. proboszcza ongi w Dawgeliszkach i potem w Święcianach. Nagroda ta ks. Burbę ogromnie zasmuciła, czułem się w obowiązku wyjaśnić to nieporozumienie ks. Biskupowi i ks. Burbie.

Probostwo w Miorach.

Niedługo po tych wypadkach byłem z wizytą w Szemiatowszczyźnie. Matka ks. prałata Skirmunta podczas gościny pokazała mi portret swego syna Kazimierza, szambelana Dworu Papieskiego i powiedziała, że jej syn ma zostać wkrótce biskupem wileńskim. Zdziwiony zapytałem, skąd ona wie o tem. Odpowiedziała, że przed paru dniami był z wizytą u niej gubernator wileński i zapewniał ją, że wkrótce J. E. Biskupa Zwierowicza ześle na wygnanie, a na stolicę, tą drogą opróżnioną, — Petersburg przedstawi Watykanowi ks. Kazimierza. Czasu nie tracąc, stawiłem się u biskupa Zwierowicza, opowiedziałem zeznanie p. Skirmuntowej. J. E. kazał ks. prałatowi Kurczewskiemu spisać to, co mówiłem i to zeznanie, podpisane przeze mnie, przez ks. Kurczewskiego i Arcypasterza, odesłał przez specjalnego kurjera do Leona XIII. Parę tygodni później nastąpiła tragedia. J. E. ks. biskupa wywieziono do Tweru, a Stolicy Apostolskiej zaproponowano trzech nowych kandydatów na opróżnioną stolicę biskupią. Leon XIII, największy w świecie dyplomata, odrzucił owych trzech „kazionnych rabinów”, natomiast przetranslokował do Wilna J. E. Biskupa Roppa ze Saratowa, a J. E. Wygnaniec pojechał do Sandomierza.

Niedługo po tych wypadkach kazał mi J. E. ks. Biskup Ropp jechać na nowe probostwo do Mior nad Dźwiną.

Miory miały kartę zapisaną krwawemi zgłoskami prześladowania i męczeństwa. Kiedy po zgnieceniu powstania padło ze strony rządu hasło tępienia katolicyzmu chwycili się (czynownicy) środka wypróbowanego na unitach, i taktyki gwałtu. W tej pracy misyjnej odznaczyli się książe Chowański, tatar Jakubowski i żyd Zawadzki. Ta trójka zamieniła dziewięć kościołów na cerkwie, a wiele ludu zapisało na prawosławie. Przyszła kolej na Miory. Ze wspomnianymi misjonarzami przybyły do Mior wozy z wódką, mięsem, chlebem, pierogami i podarunkami. Cały ten tabor rozmieścił się w gminie, dokąd spędzono lud z całej parafji. Przyprowadzono do gminy i proboszcza, sadzając go przy stole pomiędzy urzędnikami.

Zaczął się pojenie wódką i namawianie na prawosławie. Zmuszano do picia i księdza, który się wzbraniał. Podpici czynownicy stali się zbyt natarczywymi, gdy nagle jakiś młodzieniec nieznanym się i woła: „Księżu, czempredzej do kościoła!” Ksiądz się zerwał, a przerażeni krzykiem policjanci i popi nie śmieli go zatrzymywać. Ludzie też uciekli i skryli się gdzie kto mógł. Tak ocalono parafję.

Wobec tych trudnych warunków nie dziw, że tak zachwaszczona parafja, jak Miory, nie widziałem nigdy: kościół mały, drewniany, czterechset-letni, pochylony, grożący zawaleniem a zabudowania parafjalne wszystkie dachami wsparte o ziemię. Okolica ładna, nawet nadzwyczaj malownicza i kościół na pagórku, opasany jeziorem i rzeką.

Największą plagą ludu i proboszcza miorskiego byli: urządnik, przystaw i pop czereski. Ten ostatni ciągle siedział mu na karku wraz z dziewięciorgiem dzieci. Kosztowało to wiele ks. proboszcza, bo ile razy pop potrzebował pieniędzy, zawiadamiał swego sąsiada, że doszły do niego wieści o ochrzczeniu, ślubie, wyspowiadaniu jakiejś prawosławnej owieczki. Ksiądz irytował się, gniewał, fukał, wzdychał i ciągle powtarzał: „Pandzieju, klasztor.. więzienie.. Sybir”. Kończyło się na tem, że brał 25—50 rubli, jechał do popa i błagał go o przebaczenie. Ks. Wincenty wracał pocieszony. Oczywiście, przy takich warunkach lud był zaniedbany. Zjechałem do Mior, kiedy umysły były najbardziej wzburzone. Zgłosił się do mnie ziemski naczelnik Paszkowski, prosząc, bym przybył do włości uciszyć zebranych, którzy grozili wójtowi utopieniem w jeziorze. Pośpieszyłem i jałem ludowi przedstawiać ohydę zbrodni i odpowiedzialność przed Bogiem. Czułem, że serca miękły i umysły się uspakajają. Tu i ówdzie słychać było głosy: „Ma słuszność. Dobrze mówi”.

Po mnie wystąpił z mową pop Paweł, począł łajać: wszyscy oburzyli się na niego. Musiałem użyć dłuższych perswazyj, żeby wyrwać i popa z ich rąk, bo i jego chciano wrzucić do jeziora.

Pierwsze nabożeństwo w Miorskim kościele zrobiło na mnie

silne wrażenie. Kiedy ks. gość Janukowicz wyszedł z Wotywą, ja słuchałem spowiedzi. Widziałem, jak lud się cisnął do kościołka, jak się zalewał potem i ciągle spoglądał w górę. Spójrzałem i ja, i zrozumiałem, że oni się boją, aby chwiejący się strop nie runął im na głowy. Ze Sumą nie odważyłem się wyjść w kościele, kazałem urządzić nazewnątrz prowizoryczny ołtarz i tam Mszę św. odtąd przez cały rok odprawiałem. Robiłem staranie o pozwolenie budowy nowego kościoła. Byłem 20 razy w Wilnie u gubernatora, ale mi odmawiał, bo pop twierdził, że stary kościół jest wystarczający. Oburzony tem do żywego udałem się do gubernatora, zacząłem opowiadać mu, jak przez zimę dla wielotysięcznego tłumu odprawiałem nabożeństwo pod gołym niebem, jak wiatr, zimno, śnieg i słota przeszkadzały ludowi się modlić, jak mi ręce kostniały. W końcu dodałem, że i barbarzyńca przy takich warunkach uznałby konieczność budowy nowej świątyni...

W następną niedzielę w czasie Sumy zjechała komisja. Po Sumie pokazałem jej kościół i kij przez zgniłe ściany przetknąłem. Wezwał mnie gubernator do siebie i podyktował następujące zobowiązanie. „Ja niżej podpisany ks. Józef Borodzicz zobowiązuję się niniejszem, że po otrzymaniu pozwolenia J. M. hrabiego Tatyszczewa na budowanie kościoła w Miorach nie będę zbierał ofiar w parafji Miorskiej”. Kazano mi podpisać się, ja zaś zdążyłem dopisać „lecz poza parafją” i wtedy podpisałem.

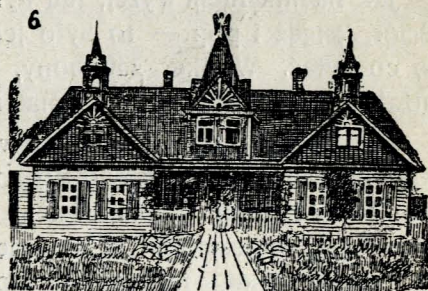
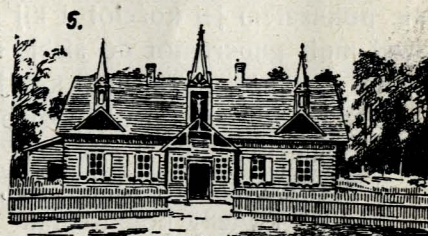
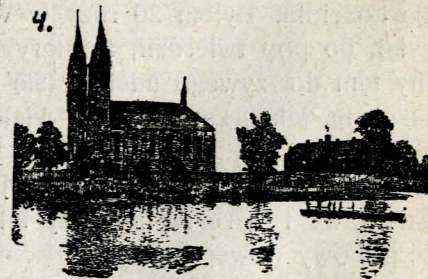
Jak nadmieniałem wyżej, lud był w stanie obojętności, zdziczenia. Kościół, ksiądz i pop — to było jedno, a o pacierz, katechizm nie było co pytać. Wódka, zabobony, karty, wróżbiarstwo, pijaństwo obniżały moralność parafjan i materialnie ich rujnowały.

Z początku mało kto bywał w kościele, jednak później przez ciekawość zobaczenia nowego proboszcza zaczęło zbierać się więcej ludzi. O ile mogłem, przemawiałem do nich, oświecałem, pouczałem, pocieszałem, wreszcie uciekłem się do środka radykalnego: urządziłem przez 9 dni rekolekcje. Nowość pociąga. Garnął się lud z bliska i daleka, katolicki i prawosławny. Gdy to spostrzegli popi, uderzyli na alarm i poczęli mi przeszkadzać.

Trafiło się, że dwie prawosławne siostry Konachowe szły do Mior na to nabożeństwo. Strażnicy, nastawieni przez popów — poznali je i zamknęli w pobliskim chlewie. Tymczasem strażnicy udali się: jeden do lasu, gdzie tegoż dnia podpiłowane przez niego drzewo, padając, zmiażdżyło go, a drugi — do sąsiedniej wsi, gdzie znowu koń go poniósł, wpadł na płot i rękę mu złamał. Wołał skaleczony: „Oto kara, żem posłuchał popa, żem przeszkadzał ludziom iść do kościoła i owe kobiety zamknął w chlewie”. Skutek rekolekcji przeszedł wszelkie moje oczekiwania. Łaska Boża działała cuda. Od rana

do wieczora słuchałem spowiedzi, albo przyjmowałem prawosławnych, którzy tłumnie przechodzili na łono Kościoła.

Podczas kolendy miałem sposobność zetknięcia się z tymi, którzy nie mogli odbyć rekolekcji. Przy odwiedzinach parafjan trzymałem się tego samego porządku jak w Niemenczynie i Lidzie. Przybywszy pierwszy raz do wsi, szedłem od chaty do chaty, po-



1. Zaszczepianie prawosławia nad Dźwiną za czasów Murawjewa. 2. Kara za uczęszczanie „opornego” do kościoła. 3. Policja zamyka z nierogacizną prawosławne kobiety za uczęszczanie na rekolekcje do Mior w 1906 roku. 4. Nowy kościół i plebania w Miorach. 5. Dom dla kościelnej służby tamże. 6. Nowa plebanja w Kluszczanach.

święcąc mieszkania, potem egzaminując każdego z katechizmu, oglądając podarunki popów; gromadziłem wszystkich, gdzie było obszerniej. Tam ich sumienia rozbudzałem, uświadamiałem co do wiary św., kładłem nacisk na to, aby usuwano oznaki schyzmatyckie, medaliki, krzyże i ikony, a zawieszano obrazy, które sam rozdawałem; namawiałem, aby chodzili do kościoła; odwiedzałem i domy prawosławne, jeżeli o to proszono. Gdy pewnego razu zapo-

wiedziałem z ambony, że będę z kolendą w następny wtorek w Konachach, miejscowy lud, za poduszczeniem popa, przyjął postawę groźną. Dowiedziawszy się o formalnym spisku, moja matka padła na kolana, błagając, abym nie jechał. Jakby nigdy nic, ruszyłem w dzieńznaczony do Konachów. Gdy wjechałem do wsi, spostrzegłem, że mnie śledzą, bo tu i ówdzie wychylały się głowy, wreszcie jeden odważniejszy wyszedł na spotkanie z kijem w rękę. Podszedłem do niego śmiało, zrzuciłem płaszcz, który zasłaniał komżę, stułę i bursę, trzymając krzyż w rękę. Zdetonowanego wziąłem za rękę, kazałem sobie prowadzić do chaty katolika, u którego miałem odbyć kolendę. Tam rozpocząłem z nim i obecnymi pogawędkę. Ośmieleni prawosławni otwarcie przyznali się, że za kilka garncy wódki od popa zgodzono się mnie zbić i wyrzucić z wioski. Ponieważ zebrano się z całej wsi wiele prawosławnych i dzieci przez ciekawość, pouczałem, wszystkich a dzieciom rozdałem obrazki i cukierki. Wszyscy przy pożegnaniu dziękowali mi za „biesiedu”, zepewniali, że podszeptów popa słuchać nie będą, a mnie tu mile oczekiwać pragną.

Niepowodzenie w Konachach nie zraziło mego „przyjaciela” z Czeresy. Gotował mi nową zasadzkę w Gientowie. Tu wszystko tak zręcznie przygotowano, że nie byłem uprzedzony o niczem. Przyjechałem do wsi o zmroku. Przez wieś szedłem pieszo. Do spotykanych ludzi przemawiałem, a chętnych rozmowy zapraszałem do chaty katolickiej na dłuższą pogawędkę. W ten sposób utworzyła się spora gromada ludu. Po poświęceniu pytałem katechizmu i t. p. Wywiązała się pogawędka z prawosławnym ludem, który opowiadał mi, że popi twierdzą na serjo, iż „jezuita skusił Ewę w raju”, inni, że „św. Andrzeja Bobolę zabili Polacy”... Noc była już zapadła, a myśmy przy świetle łuczywa ciągle jeszcze gadali.

Wtem widzę, jak do chaty wchodzi kilkunastu chłopów z kijami i krzyczy: „Ty, wilku! Wiemy pociś tu przybył. Ach ty — duszechwat! Za swą śmiałość zaraz nam życiem zapłacisz”. Dzieci i kobiety przestraszone zaczęły krzyczeć i płakać, kościelny i organista pouciekali. Chwila była groźna. Przed sobą miałem twarze rozognione, oczy iskrzące, ręce podniesione — wokoło siebie działy, a w rogu izby, ja sam... Nie tracąc czasu zacząłem wołać: „Stójcie, ludzie! Parę słów pozwólcie! Osądźcie sami. Jestem sam pośród was! Rozważcie co czynicie!!! Kościołowi sprawicie tryumf... a wam co z tego przyjdzie? Co jutro z wami się stanie? Jutro moi parafjanie przyjdą tłumnie tutaj. Kto wie, może krew się poleje nie dla chwały Bożej, ale dla zemsty za zamordowanie przez was ich proboszcza? Kto ich gniew powstrzyma? Ja będę martwy, nie przemówię za wami, jak w gminie, kiedy chcieliście wójta i popa utopić. Czy wy wiecie co teraz robicie? „Nie zabijaj!” — rozkaz Boży. Lu-

dzie zaślepieni, wołałem do was, abyście wzięli udział w rekolekcjach i posłuchali Słowa Bożego, a wyście dali posłuch tym, co was w kije uzbroidli. Oto, jak Kain z kijem w ręku, chcecie zamordować, już nie Abła, ale kapłana Chrystusowego, aby siebie i swe rodziny zhańbić. Ale jeżeli chcecie koniecznie mnie zamordować, śmierć męczeńską przyjmę z waszej ręki. Pozwólcie mi przedtem ostatni raz pobłogosławić mych parafjan i za was się pomodlić“...

Pod koniec przemówienia zrobiło się cicho, chłopci słuchali jak skamieniali, wielu ocierało łzy, chrząkało, patrzyło z przerażeniem, a kiedy zacząłem żegnać moją parafję, podniósł się taki krzyk i płacz, że mimowoli zbójom powypadały z rąk kije i poczęli wychodzić, mówiąc jeden do drugiego: „Czort poputał — wot do czecho naszyje popy dowodiat“.

Popi okoliczni, widząc, że z każdym dniem przerzedza się ich owczarnia i topnieje prawosławie, starali się mnie zgubić, doprowadzić do „sprawy“ za jakieś nielegalne spełnienie funkcji. Na razie jednak dawali spokój. Byłem u władz zapisany nieźle, bo kiedy moi parafjanie pod wpływem Łotyszów chcieli rabować dwory, do tego nie dopuściłem. Dziękował mi gubernator, marszałek hr. Grabowski i inni. Natomiast, kiedy sąsiedni prawosławni poczęli rąbać las księcia Lubomirskiego, miejscowy pop nie pokazał się, wdała się policja i aresztowała tych, których pop wskazał, t. j. skłaniających się do katolicyzmu, a nie tych, co las rąbali. Wyjaśniłem to gubernatorowi, poparłem świadkami i niewinnych z więzienia uwolniłem. Oswobodzeni stali się katolikami i gorliwymi apostołami, opowiadali o przewrotności popa i wielu przyciągnęli do Kościoła.

Używali popi jeszcze innego środka, aby ratować prawosławie: rozrzucali „Poczajowskie Listki“, zawierające oszczerstwa i kłamstwa na Kościół, Papieża i kapłanów, albo grożące przechodzącym z prawosławia na katolicyzm Sybirem, więzieniem, konfiskatą majątku i t. p.

Walka ze mną moich sąsiadów nie była równą: obarczeni liczną rodziną, troską o chleb codzienny i „zapijaniem robaka“, który ich mózg toczył — podkopywało to ich powagę u ludu. Ot choćby taki fakt.

Zjechało się dwóch młodych popów na jarmark do Mior. Nie mieli za co zjeść i wypić. Długo nie namyślając się zajechali do mnie. A, że pop i policja bez wódki nie gości, wypili parę butelek, a potem prosili, abym im pokazał mój nowy powóz. Próbowali go ciągnąć, a, że żartowałem z nich, że są zbyt słabi na to, wsadzili mnie na siedzenie, porwali za naszelniki i powlekli wprost na rynek. Oczywiście oklaski i śmiechy były ogólne. Ja zaś, gdy moje przygodne rumaki potrząsały grzywami, ciągnąc za sobą wóz, dodałem animuszu batem. Trzeba wypadku, że pisarz gminy nas sfotografował. W kilka dni zostałem przez gubernatora zawezwany w tej

sprawie. Ledwo mi się udało przekonać go, że to było po pijanemu i, że przemocą byłem na wóz wsadzony. Skończyło się na tem, że popów zesłano do klasztoru na pokutę za podrywanie ich powagi.

Był w Czeresi pop młody z żoną i niemowlęciem. Jednej niedzieli, kiedy pop wybierał się do cerkwi odprawić nabożeństwo, żona jeszcze leżała w łóżku, a dziecko poczęło płakać, kazała mu żona niańczyć dziecko. Kiedy jednak familijna scena trwała trochę za długo, dało się słyszeć szemranie koło cerkwi; pop wobec tego wypowiedział posłuszeństwo żonie i udał się do cerkwi; ale rozgniewana popadja dopędziła go i przy wszystkich wypoliczkowała pan toflem. Jasne więc, że mąż-pop stracił wpływ na swoje owieczki.

Procesje.

Za najlepsze środki do nawracania prawosławnych uważałem: kazania, rekolekcje, kolendowanie, uroczyste procesje, długie i staranne przygotowanie dzieci do spowiedzi, uroczysta I Komunia i bezinteresowność. Gdy szedłem z uroczystą procesją, tłoczył się nie tylko lud katolicki, ale i schyzmatycki. Nieraz wsie czysto prawosławne zmuszały mnie, abym się u nich zatrzymał z procesją przy ustawionym przez nich ołtarzyku. Były wypadki, że cała wieś „in gremio“ przechodziła na łono Kościoła, aby mieć u siebie tę procesję. Były to chwile triumfu Łaski Bożej. Serca się kruszyły; każde słowo nauki wygłoszonej w ich własnej wsi, zapisywało się głęboko w pamięci. Popi starali się temu przeszkadzać. W czasie jednej z procesji pop Bielawski wpędził przed procesją stado bydła na ulice, by nam utrudnić przejście; dopiero policjant, towarzyszący procesji, utorował nam drogę. Tenże sam pop, gdy widział, że i w dniu krzyżowe prawosławni biorą w procesji udział, wołał do nich w cerkwi. „Jak wy śmieliście iść za „miorskim antychrystem“ i jego procesję? Czyż wam nie wstyd było, że nad waszemi głowami powiewały katolickie fartuchy (chorągwie)?“ Nazajutrz i on urządził procesję, by oczyścić drogi, rzekomo sprofanowane przez katolików. Za daleka była jednak na niego droga — spocił się biedaczek i oświadczył, że dalej iść nie może. Dostał zapalenia płuc. Zjawia się u mnie dyrektor poczty, p. Fedukiewicz i prosi w imieniu popa Bielawskiego o wypowiedzianie tego ostatniego. Ruszyłem natychmiast do Czeresy; przeszło godzinę bawiłem u chorego. Ciekawsi dopytywali mnie o szczegóły; oczywiście odpowiedzieć mogłem tylko tyle, że co między nami zaszło wtedy, to nasza rzecz i P. Boga. Faktem jest, że gdy pop wyzdrowiał i mógł przemówić do ludu, oświadczył, że P. Bóg ukarał go za bluźnierstwo przeciw Kościołowi katolickiemu, przeto zgorszenie dane odwołuje i wyznaje, że Kościół ten trzeba szanować.

Ciekawy epilog miała inna procesja. Na odpust św. Antoniego udałem się w 1907 r. z paru tysiącami wiernych do Drui, odległej

o 25 wiorst. Ks. Lachowicz wyszedł nam na spotkanie pod krzyż na trzeciej wiorście i, przyłączywszy się do naszej procesji przyprowadził nas na plac, na którym stał dawniej kościół, rozerwany dwa lata temu dynamitem. Na tymże placu był i drugi kościół, w którym był obraz św. Antoniego, słynnego cudami. Ten kościół został spalony przez popów. Ponieważ kościół trzeci był wobec kilkunastutysięcznego tłumu, przybyłego na uroczystość św. Antoniego z okolic odległych za mały, uważaliśmy za stosowne i konieczne odprawić nabożeństwa przed ołtarzem prowizorycznym na tym placu.

Po Sumie wszedłem na ambonę. Nagle na cały głos odezwały się dzwony cerkiewne. Pop drujski chciał kazanie zagłuszyć. Na szczęście cerkiew stała dosyć daleko, dzwony były niewielkie, to też, podniósłszy głos, mogłem wygłosić kazanie i być przez wszystkich zrozumianym. Wtedy przystaw Bortnowski zorganizował żandarmerię i policjantów, a gdy zwróciłem się w stronę policji, kazał wymierzyć karabiny we mnie. Mówiłem dalej nieustraszony, a kończąc kazanie dodałem: „Biada temu, który dzwonów poświęconych na chwałę Bożą ośmielił się użyć na obrazę Boga. Rok nie przemienie a spadnie nań straszny gniew Boży”.

Jak się dowiedziałem dzwonił kowal z Przybrodzia, najęty za 5 rb. Otóż nazajutrz, kiedy w dzień pogodny, otoczony dziećmi, siedział on za stołem i spożywał obiad, nagle zagrzmiało i piorun uderzył.. gdzie?.. w dom jego. — Jego zabił na miejscu, dzieci ogłuszył, ikony osmolił. Prawosławni i katolicy widzieli w tem palec Boży.

Na uroczystość św. Trójcy moi Mioranie procesjonalnie udali się do Pohostu. Kiedy zbliżaliśmy się do miasteczka, uderzyły dzwony kościelne, ks. Mingin wyszedł na nasze spotkanie. Pop Kulbicki zamknął zawczasu swych parafjan w cerkwi. Na odgłos dzwonów prawosławni chcieli wyjść z cerkwi, wymyślali popowi i tak go poirytowali, że nagle umarł. Wypadek ten wywarł wrażenie ogromne, potęgując jeszcze bardziej przechodzenie prawosławnych na katolicyzm. Ten sam pop jeszcze wcześniej, dowiedziawszy się, że prawosławna chora prosiła o księdza, posłał żonę i psalmistę, aby spoiili sąsiadów i księdza do chorej nie dopuścili. A kiedy pijani wpadli do domu chorej, połamali ołtarzyk, księdza poturbowali, kobiecie rękę złamali, chorą zbili,—pop z ambony im dziękował.

Następca po Kulbickim pop Siniawski spalił kaplicę w skonfiskowanych dobrach pp. Konoplańskich. P. Konoplański przez wzgląd na groby rodzinne, postawił na tem miejscu pamiątkowy krzyż. Siniawski kazał zrobić podobny krzyż, ale z przecznicami i postawił go przed tamtym tak blisko, aby katolicki zakryć. Poświęcając ten prawosławny krzyż, wyrzekł takie bluźnierstwa, że tu ich powtórzyć nie można.

Zemsta popów i policji.

Utwierdzanie katolików, nawracanie prawosławnych, budowa kościoła, pewne dotychczasowe lekceważenia tradycji w opłacaniu się haraczem sąsiednim popom i policji — wszystko to razem spowodowało na mnie burzę. Doszło do tego, że, kiedy wyjechałem po kweście na budowę kościoła i czas dłuższy nie wracałem, popi z ambon ogłosili, że P. Bóg ich uwolnił od „miorskiego antychrysta“, który zebrał pieniądze i uciekł do Ameryki, aby się tam ożenić. Mieli się zpyszna, kiedy niedługo wróciłem i zabrałem się do budowy. Prystaw Bortnowski użalał się przed ks. Bieniaszem: „Co to za porządki, że policjantowi należnych datków dziś nie płaci? „Może być źle“. I stało się źle. Bo jak te groźby nie poskutkowały, poszczuł mnie drabem policyjnym, najzjadlejszym uradnikiem Moszarą.

Właśnie o potrzebie zgody z policją mówił mi przystaw na plebanji, gdy tenże Moszara we własnej osobie za drzwiami nadstawiał ucha. Ostrzeżony przez służącego, rozmawiając dalej, zbliżyłem się do drzwi a potem w mgnieniu oka tak silnie je otworzyłem, że Moszara upadł do pokoju na ziemię jak długi. Nie omieszkalem wyrazić przystawowi oburzenia, że mnie otacza szpiegami.

W parę tygodni potem zjeżdża przystaw, żąda zapłacenia kary 100 rb. Za co, nie mówi. Pod ręką pieniędzy nie miałem, zafantował mi cztery krowy, które parafjanie wykupili. Wkrótce potem Moszara jeździł po parafji, straszył tych, co przeszli na katolicyzm, zmuszał do podpisywania fałszywych na mnie donosów, a gdy mu się kto sprzeciwiał, to go wzywał do swego mieszkania i tam bił nahajką. Gdy się dowiedział, że mój organista był czegoś niezadowolony, namawiał go, aby mi do mieszkania podrzucił zakazane książki. Kiedy wyjechałem do Wilna, wpadł do mojej matki na plebanję i tak ją przestraszył, że w tydzień potem umarła. J. E. Biskup Ropp pozwolił mi ją pochować pod prezbyterjum budującego się kościoła.

Wreszcie, kiedy kościół był gotowy i dzień wyświęcenia zapowiedziany, Moszara doniósł gubernatorowi, że budowa grozi zawaleniem, sklepienia się rysują i t. d. Dowiedziawszy się o tem, obawiałem się, aby w ostatniej chwili kościoła nie zamknęto, więc czempredziej przeniósłem doń Najświętszy Sakrament, a stary kościół jako bezwartościowy kazałem zapomocą powroźów rozhuścić i powalić tak, że po dokonanych fakcie, gdy zjechała komisja gubernjalna, szkodzić już nie mogła.

Na uroczystość poświęcenia kościoła przybyło wiele duchowieństwa, a ludu napłynęło do 15.000. Kazania wygłaszał ks. Juljusz Rodziejewicz i ja.

Jeszcze przed tygodniem otrzymałem z Kurji Biskupiej polecenie, aby poświęcić kościół i potem odjechać o 380 wiorst do Sobotnik na proboszcza. Nazajutrz po wyświęceniu kościoła, mimo płaczu i lamentu ludu, który kładł się pod koła i nie dawał mi odjechać, przy pomocy ks. kanonika Czerniawskiego i innych, uspokoiwszy go, wyjechałem do Sobotnik.

Cieężko mi było opuszczać Miory, chociaż w nich byłem tylko jeden rok. Zapomocą Bożą tu zbudowałem kościół, plebanję i inne zabudowania. Pokochałem lud — a lud mnie. Wprawdzie w Sobotnikach nie trzeba było budować kościoła, ale jechały za mną sprawy miorskie, co do których rozpoczęto śledztwo. Na moje nie szczęście zostałem wybrany z powiatu Dziśnieńskiego do parlamentu. Żeby temu przeszkodzić i wybór unieważnić, wszczęła policja śledztwa. Były to już czasy, kiedy Stołypin wstąpił znowu na drogę reakcji i zaczął prześladować Kościół katolicki. Poszły tedy kary, areszty, przenoszenia księży i wygnania. Tak ks. Biskupa Roppa wezwano do Petersburga, a stamtąd wysłano na wygnanie, z Wilna wypędzono ks. dziekana Mokrzeckiego, ks. Fordona i prałata Sadowskiego, rozpędzono Kapitułę, zasekwestrowano jej dobra, a ks. Korna wygnano do Kostromy. Wkrótce i na mnie miała przyjść kolej.

Do zesłania mnie dwa były powody: sprawy miorskie i hr. Ignacy Milewski, który, jako szczerze oddany rządowi rosyjskiemu, nie mógł znieść księdza sąsiada „niebłahonadiożnego“. Czego nie dokonał Moszara, to Milewski w Petersburgu uskutečnił. Dowiedziałem się w Konsystorzu wileńskim, że mam być deportowany na Sybir. Poradzono udać się do „Departamentu obcych wyznań“. Tam znalazłem wiele skarg nagromadzonych przez popów, policję i Milewskiego. Kiedy jednak wyjaśniłem osobiście sytuację, w jakiej musiałem duszpasterzować w Miorach i zbytnią usługowość Milewskiego względem rządu, p. Smirnow skinął na sekretarza. Okazano mi owe moje zeznanie, które J. E. Zwierowicz przed paru laty przesłał do Leona XIII. To ostatnie było najcięższem oskarżeniem: oskarżało mnie o nielojalność względem caratu i wyrządzoną obrazę pp. Konstantemu i Kazimierzowi Skirmuntom-szambelanom.

P. Smirnow pertraktował ze Stołypinem, próbował zmniejszyć winę i dzięki tej interwencji zamieniono Sybir na zesłanie do Jarosławia nad Wołgą. Zaledwo wróciłem do Sobotnik — gubernator Lubimow polecił mnie aresztować. A że lud czuwał, wezwano mnie do Wilna i stamtąd odwieziono do Jarosławia.

Tak tedy byłem wieziony... na wygnanie. Pociąg ruszył. Wprawdzie towarzyszący mi oficerowie byli bardzo uprzejmi, radzili spocząć; zastosować się jednak do tego nie mogłem, bo myślą i sercem żegnałem dogorywającego ojca, domowników, parafję, chorych i penitentów. Bołęśnie i smutno zadumany stałem przy oknie wagonu,

patrzyłem z niewymowną tęsknotą, bo niesiony na skrzydłach pary, coraz więcej się oddalałem od mogiły matki, chorego ojca, Wilna, od rodzinnego kraju. Wreszcie, wyczerpany wrażeniami dnia i zmęczony, padłem na ławkę i usnąłem. Sen mi ulżył, ukoił duchowe rany... Kiedy stanęliśmy w Jarosławiu mróz sięgał 30 stopni. Zdjęci litością oficerowie przykryli mnie swemi szynelami. Odwieziono mnie na policję. Wzruszony moim losem p. naczelnik Wołków natychmiast odwiózł mnie do ks. Bujny, miejscowego kapelana i pozwolił mi zamieszkać na wolnej stopie.

Zmęczony padłem na łóżko. Zaledwo oczy zamknąłem jak przez sen ujrzałem nade mną krążącego białego gołąbka. Ten widok sprawił wrażenie, że ojciec w tej chwili umierał. Padłem na kolana i zmówiłem za duszę ojca: „Aniół Pański“. W parę godzin później otrzymałem depeszę, że istotnie ojciec umarł. Biedny staruszek na wiadomość, że zostałem wywieziony na 3 lata w głąb Rosji, ciosu tego nie mógł przeboleć... Śmierć jego była też dla mnie strasznym ciosem! Wysłałem telegraficzną prośbę do Stołypina, aby mi pozwolił pojechać na pogrzeb ojca. Trudności nie robił i pozwolenie mi dał. Można sobie wyobrazić, jakie było moje spotkanie z rodziną, z parafjanami... ile serca mi okazano. 14 dni później odbył się pogrzeb ojca mego w Miorach, gdzie go złożyłem obok matki. Zwłoki były przewiezione ze Sobotnik do Mior. Na stacji Balbinowo czekała cała miorska parafja. Gdy przebyliśmy Dzwinę po lodzie i ledwie weszliśmy na brzeg, ruszyła kra. Spóźnienie o jedną minutę moglibyśmy wszyscy przypłacić życiem. Cudownie nas Pan Bóg ocalił. Przez cały czas pogrzebu Milewski czuwał i pomagał policji robić mi różne utrudnienia. Czuając, że lud go znienawidził, skarżył się, że czuje się utrudnienia. Czuając, że lud go znienawidził, skarżył się, że czuje się utrudnienia. Czuając, że lud go znienawidził, skarżył się, że czuje się utrudnienia. Czuając, że lud go znienawidził, skarżył się, że czuje się utrudnienia.

Wygnanie.

Z pogrzebu ojca wróciłem do Jarosławia. Na skutek prośby katolików pozwolono mi zamieszkać w Rybińsku. Tu w wynajętym domu urządziłem kaplicę. Garnęło się do mnie około 3.000 wiernych. W pierwszą niedzielę, a była to Palmowa, lud zapełnił kaplicę i cisnął się do spowiedzi. Koło jedenastej pociąg z Bałagoje i Moskwy przywiozły katolików z dalszych okolic; wzrosła liczba modlących się. Wiele niewiast, dzieci, mężczyzn a przeważnie żołnierzy i urzędników stało przed kaplicą. Ubrany w ornat białego koloru (nie było innego) wyszedłem przed ołtarz, poświęciłem palmy i lud.

W czasie procesji po ulicy ludzie słali pod nogi gałązki palm, dzieci sypały kwiaty a w czasie Mszy spływały rzęsiście łzy rozrzewnienia a szczególnie u zesłańców.

Wciągu Wielkiego Tygodnia kaplica zapełniona była szczególnie młodzieżą. Wielu z nich po raz pierwszy było na takich uroczystościach, bo w Rybińsku ani kościoła, ani księdza nigdy nie było. To też w dzień Wielkanocy śpiewano: „Wesoły nam dziś dzień nastał“ z prawdziwą radością!

Opisałem moje wrażenie w prasie Warszawskiej, wyraziłem potrzebę zbudowania kościoła i plebanji i konieczność opieki duchowej nad naszymi rodakami. Zaczęły tedy napływać bardzo hojnie ofiary z Polski, Litwy, Inflant, Podola, Wołynia i Rosji, nieco z Galicji i Wielkopolski. Pośpieszyłem wyłonić z pośród mych przygodnych parafjan Komitet Budowy Kościoła. Pan Bóg cudownie dopomógł i stanął w Rybińsku jeden z najpiękniejszych nietylko z dwunastu zbudowanych przeze mnie kościołów, ale i w Rosji. Przy kościele, podobnie jak w Ostrejbramie, zbudowałem kaplicę z obrazem Matki B. Częstochowskiej, której widok pociągał z ulicy przechodniów, sprowadzał licznie Rosjan. Ogromna kamienica, jednocześnie wzniesiona kosztem publicznym, służyła nietylko za plebanję i przytułek dla biedniejszych parafjan, ale i dla przyjeżdżających zdaleka. Większą zaś część, t. j. parter i drugie piętro proboszcz wynajmował i za pobrany czynsz utrzymywał kościół, siebie i służbę. Gubernatorem Jarosławskim został ten sam hr. Tatyszczew, który był niejaki czas w Wilnie, potem w Łomży. Dowiedział się on, że ja, za pozwoleniem Arcybiskupa Wnukowskiego, nad Wołgą rozwinałem misyjną pracę i Rosjan kazaniami w ich języku z powodzeniem nawracam. Wezwał mnie do siebie; oświadczył, że ponieważ dochodzą doń częste skargi popów i policji na mnie, że całe okolice nadwołżańskie bałamucę i do katolicyzmu skłaniam, że on tego nie ścierpi i napisze do Stołypina, aby mnie odesłał z powrotem do Wilna. Stołypin zarządził inaczej, bo kazał mnie zamknąć w klasztorze Agłańskim.

Nie był to rygor w Agłonie jak w Grodnie, bo dyrektorem więzienia był zacny ks. Poszko, który z naczelnikiem Dyneburga był w przyjaznych stosunkach i od czasu do czasu przegrywał doń rubelki. To też księża - więźniowie wszędzie bywali; po różnych odpustach, gościli u hr. Platerów, Mohlów i w innych dalszych i bliższych okolicach i wracali do „więzienia“, jak p. naczelnik zakomunikował, że będzie z rewizją u więźni. Na ten dzień nas zwoływali gońce ks. Poszki, który starannie nas w celach klasztornych zamykał i klucze nosił za cholewą a na zgrzyt klucza, otwierającego drzwi, ustawiał nas w szeregi z rękoma w dół. Pan naczelnik surowszym był, gdy mu towarzyszył jakiś urzędnik i pozwalał nam wyjść do

ogrodu tylko pod strażą urzędową. Ale jak był sam a zabrakło partnera, to zapraszał do preferansa paru pokutników.

Bawiłem w Agłonie ledwo pół roku, bo sądy w Grodnie za „znieważanie popów i cerkwi“, a w Pskowie za „bałamucenie prawosławnych, (nawrócenie ich około 3.000 na katolicyzm) i niewyjawienie sądowi tego, co ci nawróceni na spowiedzi mówili“, skazały mnie na długą i ciężką pokutę w twierdzy Dyneburskiej.

P. Bóg uratował mnie w drodze do fortecy. Zbiegłem z pociągu, przybyłem do Warszawy; potem na granicę pruską do ks. Czoka, który mi ułatwił ucieczkę w ten sposób: gdyśmy jechali „na karty“ do proboszcza sąsiada po stronie pruskiej, żołnierz carski za jednego rubla na pograniczu salutował mnie odjeżdżającego z kraju.

W Krakowie, studjując filozofję na Uniwersytecie Jagiellońskim na prośbę ks. Markiewicza obsługiwałem zakład 150 sierot w Pawlikowicach. Zakład ten był wystawiony na sprzedaż za długi. Zaaapelowałem do rodaków, pod zaborem austriackim i pruskim zamieszkałych, nadesłali około 90.000 guldenów na imię dyrekcji zakładu. Wszelkie długi zostały umorzone i zakład został gruntownie odrestaurowany.

Po ukończeniu studjów zostałem zaproszony przez J. E. biskupa Daffrę na włoską Rivierę. Za pozwoleniem J. E. Ordynariusza Wileńskiego zostałem przyjęty do djecezji Wentymilskiej jako przymusowy emigrant. Tu od 1912 — 1914 r. zorganizowałem 7-o tysięczną parafję, oczywiście z Polaków i Litwinów, którzy przybywali na zimowy sezon na wywczasy, rozrywkę lub kurację.

Do dyspozycji mojej i rodaków, ks. bp. Daffra oddał mi kościół Św. Rocha w San Remo przy „Campo Santo“. Na wykończenie tej świątyni kolonja polska wyłoniłemu „ad hoc“ Komitetowi złożyła 5.343 lir. Pozostałą sumę od remontu tegoż kościoła 2.464 lir Komitet w dniu rozwiązania się 1-go maja 1914 r. ofiarował mi jako honorarjum a wobec mojej odmowy, złożył tę sumę na ręce J. E. ks. b-pa Daffry do rozporządzenia. Kościół Św. Rocha, za miastem i na górze, był niezbyt przystępny. Kupiłem więc plac przy „Giardino Imperatrice“ (centrum miasta) i na nim zbudowałem kościół i małą plebanję kosztem własnym 45.000 lir. Zaintabulowałem je na imię brata mego, ks. Jana i mojej siostry Anny; a to w tym celu, żeby oni—na wypadek, gdyby mnie rząd rosyjski usunął z Rivieri—mogli mnie zastąpić.

Plebanję moją nazwałem „Polonją“ i poleciłem namalować na frontowej ścianie al fresco Białego Orła. Tu założyłem: Biuro Informacji gratisowych dla Polaków, Czytelnię, Bibliotekę, redakcję „Polaka na Rivierze“ a w czasie wojny wydawałem paszporty polskie rodakom z polecenia p. ministra Orlandy.

Na całej Rivierze włoskiej i francuskiej byłem jedynym księ-

dzem Polakiem i obsługiwałem rodaków na przestrzeni od Lago di Como aż do Marsylii. W czasie wojny franc. władze wojskowe poleciły mi obsługę szpitali, w których byli ranni Polacy. Miałem bilet wolnej jazdy I-szą klasą i rangę kapitana.

W 1917 r. odebrałem z Paryża list następujący: „Ministerjum Wojny. Misja Francusko-Polska. Szef Sztabu. Paryż 15.VIII. PW. Ks. Proboszcz Józef Borodicz, Prezes Komitetu Polskiego we Włoszech.

Ceniąc gotowość służenia świętej sprawie Polski, wyrażamy nasze wielkie uznanie dla Jego patryotyzmu i poświęcenia.

Znana jest działalność, energia i popularność Księdza Proboszcza we Włoszech, przeto prosimy Go o zwrócenie się do Konsula francuskiego w Genui, który otrzymał odpowiednie instrukcje, aby ułatwić akcję w tym kierunku...

Szef Sztabu (—) płk. Mokiejewski“.

Zaledwo rozpocząłem we Włoszech organizować legjony polskie z jeńców Polaków zaborów rosyjsko-niemiecko-austriackich, gdy ambasada rosyjska stanęła mi na przeszkodzie i nasłala na mnie szpiega z carskiej ochrony J. Ten nie omieszkiał sparaliżować wszystkiego. Włosi pod presją Rosji wysłali mnie do Florencji a potem do Hiszpanji. Był już wtedy zjechał p. Konstanty Skirmunt do Rzymu i został zainstalowany przy ambasadzie rosyjskiej jako „Dyrektor od spraw polskich“. Na moją prośbę o pomoc odpowiedział, że pamięta mnie, gdy byłem proboszczem w Kluszczanach. Zrozumiałem, że ma na myśli sprawę ostrzeżenia b-pa Zwierowicza przed jego deportacją. Poszczuty na mnie ochrańszczyk J. zadencjonował w Hiszpanji, że jakoby nie jestem księdzem. Władze hiszpańskie, mając wiadomości od dyplomacji petersburskiej, wsadziły mnie na okręt i skierowały do Odesy, gdzie już byli panami sytuacji bolszewicy. W raporcie do b. min. Żeligowskiego pisała Misja Polska Wojskowa, że byłem przez ochrańszczyka J. skierowany do bolszewików na rozstrzelanie.

Okręt „Manuel Calvo“, wiozący mnie do Odesy, natknął na minę. Uratował go okręt angielski „Sportif“ i na nim dostałem się do Konstantynopola; zostałem umieszczony w więzieniu, z którego Konsul Polski generalny, p. Antoni Świerzbński wydobył mnie i umieścił w hotelu. Byłem w ostatecznej nędzy, tembardziej, że nawet ubranie moje pozostało w kajucie uszkodzonego statku, który groził lada chwila zatonięciem; musieliśmy przygotować się do przymusowej kąpieli i mieć na sobie, prócz bielizny, tylko pasy ratownicze. Na okręcie angielskim, po wyratowaniu, marynarze pożyczili mi kurtę. Pan Konsul towarzyszył mi tak ubranemu do Nuncjusza Apostolskiego, któremu mimo przedstawienia przez Konsula trudno było przez dłuższy czas pogodzić fakt mojego kapłaństwa

z moim wyglądem. Zwróciłem się doń po łacinie, i po krótkiej rozmowie uzyskałem celebret i nominację na proboszcza w Adamopolu nad Bosforem. Tegoż wieczoru w hotelu wyprałem swoją jedyną koszulę w nadziei, że wyschnie do jutra; nadzieja ta zawiodła, musiałem odprawić Mszę św. w samej tylko kurcie. Uszczęśliwieni Adamopolanie wiadomością, iż do nich zjeżdżam, przystali mi wierchowca, i tak konno, przez lasy i góry, dostałem się na przygodne probostwo do Adam pola, gdzie od lat 4-ch księdza nie widzieli. Tam przygotowałem działwę do I-szej Komunii a lud do uroczystości potrójnej, bo oprócz święta Wielkanocy i I-szej Komunii, obchodziliśmy uroczyste zmartwychwstanie Polski (1919 r.).

W Kraju i znowu zagranicą.

Po pracy parumiesięcznej na ziemi sułtańskiej odjechałem do Warszawy w charakterze pierwszego kurjera dyplomatycznego ze Wschodu ze 7 walizami i poufnymi zleceniami tegoż p. Świerzbńskiego. Prowadziłem do kraju 40 rodaków z Rosji.

Tak tedy jechałem okrętem do Konstancy, w dwóch wagonach przez Rumunię do Polski. Na granicy, gdy ujrzałem po raz pierwszy nasze wojska, urzędy, ucieszyłem się niezmiernie; ale i smutek mnie nie ominął na widok ruin i zgliszcz, któremi zasiali Polskę: Niemcy, Rosjanie i Austriacy podczas wojny.

Na stacji w Lublinie miałem przygodę. Tu zwróciłem się do komendanta, aby zaopatrzył moich ludzi w żywność. Zaledwo udałem się z paru ludźmi do kuchni po chleb, jak pociąg ruszył. Zwróciłem wołając na maszynistę, ale ten śmiejąc się dodał pary i odjechał. P. Komendant, który zapomniał o kurjerze dyplomatycznym, teraz musiał śpiesznie zadepeszować, aby pociąg na stacji następnej zatrzymano a wagon z walizami dyplomatycznymi otoczono strażą, mnie zaś specjalnym pociągiem odesłał.

Kiedy przybyłem na stację i szedłem do mego wagonu nie tylko żołnierze, ale i ów maszynista mnie salutowali. Na kurytarzu mego wagonu był tłok, wśród którego dostrzegłem znajomego mi profesora uniwersytetu Wileńskiego, ks. Żongołłowicza, obecnego wiceministra Oświaty. Zaproszony do przedziału opowiedział mi o przeżytych ciężkich chwilach w czasie wojny i o radosnych przy zmartwychwstaniu Polski.

Gdy w M. S. Z. w Warszawie doręczyłem walizy dyplomatyczne i wiadomości poufne premierowi Paderewskiemu. pokazał mi depeszę: rzymscy moi wrogowie donosili, iż rzekomo jestem agentem bolszewickim. Śmiał się premier ze zbłaźnienia się p. J. i S. „bo gdyby tak było istotnie—mówił—walizy byłyby trafiły nie do Warszawy, ale do Moskwy“.

Po paru miesiącach pobytu w Stolicy wróciłem na Rivierę. Przeciwnicy moi znowu stawiali mi przeszkody i usiłowali zawładnąć moją własnością.

Ponieważ ludzie ci aż tak nadpsuli mi opinię i nie przestawali szargać mojego imienia, wystąpili w obronie mojej J. E. ks. Arcybiskup Cieplak, Biskup Daffra i Audytor św. Roty, ks. prałat Florczak. Z tym ostatnim moi przeciwnicy załatwili się prędko, bo w niesumienny sposób skompromitowali go wobec Watykanu.

Idąc za radą moich przyjaciół i Syndykatu Prasy Warszawskiej, oddałem całą sprawę w ręce sądu honorowego, który zawyrokował:

a) „Mając na względzie: Dokumenty wspomniane wyżej, zalegalizowane przez odpowiednie instytucje odnośnych państw; b) Dwudziestopięcioletnią pracę kapłańsko - obywatelską księdza kanonika Borodiczka, nieposzlakowaną przeszłość, jego czyny patriotyczne i poświęcenie się; c) Gorliwość, czego dał dowody budując kościoły, nawracając ze schizmy tysiące; d) Jego cierpienia w więzieniach, wygnania i prześladowania za czasów reżymu carskiego — wyrokujemy zgodnie z sumieniem i przekonaniem a przekonaniem niewzruszonym: 1-e, że wszelkie zarzuty, skierowane przeciw ks. kanonikowi Józefowi Borodiczowi są bezpodstawne, 2-e, że on jest ofiarą wstrętnych oszczerstw, 3-e, że konsul generalny Janiszowski jest autorem tych oskarżeń zbrodniczych; że p. Konstanty, prałat Kazimierz Skirmunci i Cielica zawinili ciężko ławowiernością, dając posłuch kłamstwu generalnego konsula Janiszowskiego.

Sąd honorowy, wydając ten wyrok i publikując go, jest głęboko przekonany, że Rzeczpospolita Polska, Episkopat Polski i Prasa zrehabilitują ks. Borodiczka, otoczą go wysoką protekcją, tak potrzebną do zniszczenia ciężkiej konsekwencji, ponoszonych w ciągu lat siedmiu oszczerstw, które wołają o sprawiedliwość do Boga i ludzi. Montreux 29.IV 1925 r.

(—) Henryk Croisier, prezes sądu honorow. i redaktor gazety „Feuil d'Avis“.

(—) Zygmunt Karski i Jan Twardzicki, czł. s. h.

Powyższy wyrok został zatwierdzony przez Trybunał sądowy szwajcarski.

Rehabilitacje tak ze strony Rządu Polskiego, jak i ze strony Episkopatu nastąpiły kolejno. W tym to czasie p. Fougère napisał broszurę na tem tle osnutą pod tytułem: „La calomnie est l'arme des lâches“, hr. de Bresson — „Incartamento“, a tysiąc odbitek in extenso motywów i wyroku sądu honorowego moi parafianie z Rivieri rozesłali wszędy.

Minister S. Z., p. Karol Morawski polecił Berneńskiemu posłowi przywrócić mi paszport, a Min. S. W. p. Sławoj - Składkowski nadesłał akt przynależności mojej do Polski.

Bronił pośrednio mego dobrego imienia i Ojciec św. Pius XI, którego tu opinię załączam:

Vaticana 20. VIII. 25

Mgr. Achille Ratti

Archevêque de Lepante

Nonce Apostolique

riverja 1. 12. 25. Maresse Comany de Duchetier
e p' ora di presentargh di raccomandargh il
rev. can. Borodick D. Giuseppe di casa in Italia
anche sege come pastore una chiesa a San Remo

Atestacja zaszczytna Jego Świątobliwości Papieża Piusa XI.

Nastąpił tryumf zamiast poniżeń: Mussolini zrehabilitował i pozwolił wrócić do San Remo, Biskup Nicejski prosił kontynuować obsługę Polaków na Rivierze francuskiej. Mogłem więc z podniesionem czołem udać się do Polski i w 1927 r. przybyłem na Kresy Wileńskie.

Kiedy mieszkańcy z nad Dźwiny dowiedzieli się o dniu mego przybycia, na st. kol. Druja znaleźli się gromadnie. W drodze do Mior było 38 bram tryumfalnych, pod którymi witał mnie lud z pobliskich wsi, a przed Miorami wyszło na me spotkanie około 5000 ludzi. Tego wzruszającego widoku nie zapomnę nigdy. Ile było szczerych łez smutku, kiedym od nich odjeżdżał — tyle teraz było radości.

Leonpol.

To niezwykle powitanie skromnego księżyny, przybywającego do b. parafian (z przed 20 lat), nie uszło uwagi J. E. Metropolity Wileńskiego. W Dawgeliszkach podczas swej pasterskiej wizyty przyjął mnie serdecznie i zatwierdził moją prośbę o „wakacje“ w Leonpolu, dokąd, będąc w Miorach, nie miałem dostępu. Oczywiście, byłem bardzo wdzięczny za powierzenie mi tam duszpasterstwa i budowy kościoła. Placówka to była dla mnie najzaszczytniejsza na Kresach.

Spędziłem nad Dźwiną dwa i pół miesiąca. Odprawiłem z ludem przez 6 dni rekolekcje, przygotowałem dzieci do 1-szej Komunii św. Miałem okazję zetknąć się i obcować znowu z ludem na Kresach. Przestrzeń zamieszkała wynosi 350 kilometrów kwadratowych; jest tam 7 cerkwi, zaś ani jednego kościoła. Zwiedziłem cały ten obszar, badając stan

moralny i polityczny. Przyszedłem do przekonania, że poziom religijny i polskość były wyższe tam przed 20 laty. Dziwnem mi się wydało, że za czasów Polski nikt tu nie zajął się nawracaniem prawosławnych, którzy z dziada i pradziada noszą szkaplerze i różańce, modlą się z ksiąg polskich i śpiewają pieśni polskie.

Popi i niektórzy z prawosławnych, zamieszkujący pogranicze z Bolszewją, mieli tendencje bolszewickie, a niektórzy jawnie byli wrogami Kościoła i Polski. Próbowałem przekonać ich o konieczności zgodnego pożycia z nami i lojalności względem Polski. Są to przeważnie ignoranci pod każdym względem, zaprzeczali nawet faktów historycznych: za fałsz uważają to, że tu Katarzyna i jej następcy lud polski ruszczyli, katując go na śmierć różgami. W samym Leonpolu zasiekli siepacze carcy: Jana Żugara, Jana Kośkiewicza, Antoniego Piroga, Marka Markiewicza, Marka Kozła, Ignacego Markowicza i Onufrego Nieminionka. Gdy powiedziałem, że prawosławie zgubiło Rosję i zrodziło bolszewję, która morze łez i krwi niewinnych wylała, oni dali do zrozumienia, iż wolą być z bolszewikami, niż trzymać z Polską. Oto fakty: w jednej tylko parafii prawosławnej leonpolskiej było 16 jacejek. Utworzona przez bolszewję partja „Hromadowców“ zdążyła zorganizować w Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie około tysiąca hurtków (jacejek). Popi na prawo i na lewo sypali dolarami, popierali te gniazda wywrotowe.

Nie mało byłem zdziwiony, że księża okoliczni byli jakby zaspensdowani: nie reagowali na bezprawia. Otóż i temu poradził wróg Polski. Gdy Polska zmartwychwstała, Niemcy łamali sobie głowę, jakby wbić Polsce taki klin, któryby ją rozsadził. I znaleźli. Potrafili wpłynąć na Rzym i szczególnie na Litwę, by na Kresach Polski zaprowadzić unję rosyjską. Zwolennikiem takiej unji okazał się J. E. ks. biskup Matulewicz, który w tym celu przetranslokował nad Dźwinę księży znanych z agitacji rusyfikatorskiej i szowinistów, dążących do wyżenienia polskości z naszych Kresów. Szczególnie na tem polu odznaczeni się: ks. Ildefons Bobicz, dziekan miorski, Zienkiewicz Antoni, dziekan głębocki, Stankiewicz Adam, poseł na Sejm w Wilnie, Godlewski Wincenty w Żodziszkach, Szutowicz Wiktor w Borodzieniczach i inni. Wszyscy oni skoncentrowali swą wywrotową akcję w klasztorze OO. Marjanów pod egidą superjora Andreja Cikoty. Ci księża nie wahali się współpracować ze sławetnymi przywódcami Hromadowców posłami: Miotłą, Taraszkiewiczem i Rak-Michajłowskim. Założyli oni redakcję „Biełaruskaja Krynica“, i inne. Przetłumaczyli i wydali wiele ksiąg dla ludu, szczególnie Bobicz, Zienkiewicz i Stankiewicz; założyli przy klasztorze Marjanów w Drui gimnazjum polskie imienia „Króla Stefana Bato-rego“ i cała ta „spółka“ zaczęła lud polski nawracać na „białorusów“ i obrządek unicki.

Przy pierwszym spotkaniu O. Cikota zaczął mnie namawiać, abym wstąpił do klasztoru drujskiego OO. Marjanów, którzy mają za cel rozszerzenie Unji. Zgodziłem się na tę propozycję, ale postawiłem za warunek, że tak ja, jak i oni mamy przenieść naszą akcję do Rosji. Ks. Cikota warunku tego nie przyjął.—W takim to sąsiedztwie i w takich warunkach znalazłem się w Leonpolu.

Z powyższego może zdawać się Czytelnikowi, że ja nie jestem za Unją. I tak — i nie. Jeżeli ta Unja ma być pomostem między Rzymem a Rosją, piszę się na apostoła. Jeżeli ta Unja ma być klinem do rozsadzenia Polski, Białopolski lub Litwy i na szkodę Kościoła, — takiej „unji“ byłem, jestem i będę wrogiem.

Unja Kościołów.

Ach! zagraniczni ci apostołowie Rosji. My do nawracania Rosji, zdaniem ich, nie nadajemy się. My Rosji nie znamy, bo ksiąg teologicznych prawosławnych nie studujemy — z archirejami się nie bratamy, pomiędzy prawosławjem i katolicyzmem z Piusem X zakreślamy granicę, prawdy nie skrywamy, — o unji Kościołów wiele nie rozprawiamy, a zato ludzi nawracamy tysiącami!!

My nie jesteśmy zdadni!!? My Rosji nie znamy, a oni znają? Doprawdy śmiać się, czy płakać?! Oni, Włosi, Francuzi, Niemcy nadają się więcej, bo jak ongiś twierdził ich samozwańczy przedstawiciel O. Palmieri, wiedzieć nie chcemy, że „obok nas istnieje prawosławie“.

Tak! prawda! My w czasie seminaryjnych studiów poświęciliśmy zamało czasu na literaturę i historję rosyjską a zawiele zajmowaliśmy się wyuczaniem i pogłębianiem prawd wiary św., my do apostołstwa nad sąsiadującym z nami ludem prawosławnym nie nadajemy się, bośmy, stosownie do uchwał II-go welehradzkiego zjazdu „nie czerpali teologicznych naszych wiadomości ze źródeł słowiańskich, — w pracach naszych nie posługiwali się wschodnią literaturą, zwłaszcza rosyjską i studiów teologicznych słowiańskich nie pchnęli na własne (oczywiście od czysto-katolickich różne) tory, pozyskując w ten sposób umysły Wschodu i Zachodu dla wielkiej idei“, — bośmy, tym razem z Mieńszykowem i ze zdrowopatrzącymi samymiż Rosjanami, byli tego przekonania, że teologja prawosławna jest zarażona duchem protestantyzmu, że w kwestji prawosławia, zarówno jak protestantyzmu, anglikanizmu, starokatolicyzmu, jansenizmu i t. d., chodzi nie o zjednoczenie dwóch Kościołów, ale o powrót na łono Kościoła jedynego, prawdziwego, — o nawrócenie, nie o pojednanie.

Unja Kościołów!.. Dobrze to tam przy zielonym stoliku, zdala od pola bitwy duchowej pomiędzy Wschodem a Zachodem,

Kościółem a cerkwią, kulturą zachodnią i bizantyńską, w murach bezpiecznych welehradzkiego monasteru rozprawiać o Unji; ale nam, walczącym nie piórem, tylko własną skórą, na rozprawy takie czcze nie czas; ponadto praca taka jest pusta, bezcelowa, nawet szkodliwa. Przecież ks. metrop. Szeptycki wyznał na jednym z welehradzkich zjazdów, że na urzeczywistnienie Unji co najmniej trzech wieków potrzeba. A inni, więcej od niego ze stosunkami w Rosji obznajomieni, a mniej niż on rozentuzjazmowani, po jednej i po drugiej stronie utrzymują zgodnie, że Unja kościołów tego rodzaju, jak w Polsce pod koniec XVI w., a potem na Węgrzech — jest dziś niemożliwością i mrzonką, nie łatwiejszą do urzeczywistnienia, niż przywrócenia bizantyńskiego cesarstwa. Kto ma czas, niech go poświęca na pracę według programów Welehradu, ale nam niech pozwoli pracować nad tem, co się da osiągnąć, t. j. nad przyłączeniem pojedynczych prawosławnych do Kościoła, nad ich osobistym nawróceniem, — i niech nam pracy naszej i jej rezultatów nie dyskredytuje. Tu, przyznaję, dla nas, gdy bolszewizm spłowieje, gdy Rosja z niego otrząśnie się, — otworzy się pole działania ogromne. Przejścia moje w jarosławskiej gubernji są tego najlepszym dowodem.

Ciekawe to, że ci ludzie uczeni, w teorii bardzo mądrzy, nie widzą często, że tuż pod nogami grunt im się usuwa. Tych bardzo uczonych polityków kościelnych „na papierze niezwycięzonych“, w życiu nie tylko jakiś Iwan Groźny jak Possewiniego, ale pierwszy lepszy pop chytry bierze na kawał“. (Rzeczpospolita Nr. 45). Weźmy rzecz spokojnie i roztropnie. Kto ma po trzech wiekach tę Unję zrobić? Kto ma w objęcia ojcowskie katolickiego Kościoła, zawsze szeroko otwarte dla marnotrawnych synów—kościół wschodnie pchnąć? jak i kto? bo pchnąć ktoś musi, bez tego bowiem pchnięcia i to zewnętrznego, jak uczy historia — te strupieszale, na mumie poschnięte kościoły wschodnie ruszyć się nie mogą i nie ruszą. Otóż kto ma je pchnąć? Kto? Kto szczególnie ma pchnąć cerkiew rosyjską, t. j. 150 jej władków z Synodami i 100.000 armją popów, djaków, ponomarów i wszelkiego prycztu, nie mówiąc o popadkach, popowiczach i popadjankach — stanowiących z pół miliona kasty duchownej. Oni sami siebie? Żarty na stronę. Oto dziesięć dopiero lat minęło, jak część cerkwi prawosławnej pozostaje pod opieką Białego Orła. Przecież już nie mają obawy przed Petersburskim Synodem, ani przed caratem. A jednak popi, ze względu na swą kastowość i przyzwyczajenia, woleli poddać się przez nich utworzonemu synodowi, niż pójść za przykładem katolickiej Polski i jej duchowieństwa, połączyć z Rzymem, chociażby Unją już znaną, — jak Rusini galicyjscy.

Ks. Jan Urban T. J. w Przeglądzie Powszechnym Nr. 551 tak

pisze o Uui. „Najpierw co do przypisywania brzeskiej unji nam, Polakom, to dużo jest w tem nieścisłości. Prawdę mówiąc, nie zdobyliśmy wielkiego tytułu do chluby, jeśli było dzieło wielkie i pożyteczne, i nie potrzebujemy się bić w piersi i żałować za grzechy, jeśli było ono historyczną pomyłką. Rzecz w tem, że nie my, ale kto inny był twórcą owej unji. Dokonywała się ona... przez biskupów Pocięja i Terleckiego, a potem św. Józefata Kuncewicza i metrop. Rutskiego. Myśl o unji zrodziła się i dojrzała w umysłach samych biskupów ruskich, przez lat kilka... unji chcieli oni nie dlatego, by do niej byli pchani przez rząd Rzeczypospolitej, lub zachęceni przez społeczeństwo polskie, ale ponieważ w niej upatrywali jedyny środek do wydobywania cerkwi z anarchji, chaosu i moralnego upadku, w jakim się znajdowała cerkiew w drugiej połowie 16 w.“

Dalej O. Urban przytacza zdanie jednego z dzienników: „Unja, zamiast zbliżać ludność ruską czy białoruską do polskiej, utrwała między nimi przedział, stając się wyznaniem narodowym owych grup, wyrażając z nich polskość i rusyfikując je, a pozostając pod opieką Kościoła katolickiego i jego władz najwyższych. Unja to narzędzie nacjonalizmów obcych. Przy nawracaniu prawosławnych na obrządek łaciński wciąga się ich w orbitę wpływów polskich, czego się nie osiąga; pozostawiając im obrządek wschodni. Misją kulturalną Polski jest krzewienie tam cywilizacji łacińskiej; sprzeniewierza się ona temu zadaniu, podtrzymując obrządek wschodni, tak ściśle związany z cywilizacją inną, — bizantyńską czy turańską. W historii unja okazała się tworem nietrwałym, który też legł pod ciosami zaborcy, podczas gdy Kościół łaciński oparł się wszelkim uderzeniom; upadek unji pozbawił Polskę milionów jej synów (a Kościół?), — i zasilł narodowość wrogą. Słowem unja w przeszłości była błędem ze strony polskiej, błędem, którego nie należy więcej powtarzać“.

Ten sam O. Urban rzuca ciężkie oskarżenie i pod adresem kresowego duchowieństwa: „Co do zdobyci dusz, to pominawszy pewną liczbę jednostkowych nawróceń, nie czyniono ze strony katolickiej prawie nic, jakby w oczekiwaniu, że prawosławie w Polsce samo się rozpadnie i wyznawcy jego tłumnie się zwrócą do Kościoła, kiedy stosunki w kraju się uporządkują i utrwalą. O ile wiem, tylko w paru parafjach Lubelszczyzny zarządzane były zaraz w pierwszym roku niepodległości misje ludowe w celu ułatwienia przyjęcia katolicyzmu tym, którzy się wahali, jakby stojąc na rozdrożu“. Przegląd Powszechny rezultatu unji z lat ostatnich nie aprobeuje. „Dwa przedewszystkiem“, powiada „smutne objawy zaciemniły czystość obrazu. Pierwszym z nich były dezercje księży, nawróconych z prawosławia. Niektórzy z nich, czy to zawiedzeni w swoich rachubach na awans lub korzyści materialne, czy z innych powodów, niech ich

Bóg sędzi, — zdradzili pokładane na nich zaufanie Kościoła i powrócili do cerkwi prawosławnej, w której zresztą nie spotkali się z radosnem przyjęciem, otrzymując lekceważącą nazwę ptaków wędrownych — pierelotów. Ich ucieczka z unji, którą tylko co zachowali, wprowadziła dezorientację wśród wiernych, których część także odpadła od jedności kościelnej, a wśród kleru i społeczeństwa polskiego posiała nieufność do księży - konwertytów wogóle, którzy nie dali się pociągnąć złemu przykładowi“...

A jakże się zapatruje na to prasa polska, boć ona jest wyrazicielką opinii ogółu, albo ją tworzy? Odpowiada na to pytanie tenże O. Urban w redagowanym przezeń piśmie: „Pominiemy prasę redagowaną przez przedstawicieli Kościoła, której stanowisko zasadnicze łatwo zgóry odgadnąć, a które z zewnętrznych jej wynurzeń możnaby przeciętnie określić jako powściągliwie życzliwe... Prasa lewicowa, z socjalistyczną na czele, albo zagadnieniem katolizacji Kresów wschodnich wcale się nie zajmuje, albo się oburza, ilekroć ktoś wspomni o jakiejś misji religijnej Polski na wschodzie.

Jednakże i owa — wspomniana prasa — nie umie utrzymać tego stanowiska konsekwentnie, bo nie oburza się na propagandę wszelkiego sekciarstwa nawet wśród katolików, owszem bierze je w obronę, ilekroć sposobność do tego się nadarza...

A więc obrządek wschodni czy łaciński?

Powiedzą mi: „Unja na wielką skalę, zaprowadzona zgóry jest niemożliwością i mrzonką — niech będzie; ale czyż utworzyć jej nie można z dołu, zachowując nowo nawróconych w ich obrządku wschodnim?“. Otóż i w tem jest zasklepienie i łudzenie się w kierunku welehradzkim. Zwolennicy obrządku wschodniego, jak O. Palmiery, Max Saski, X Buczys etc. wołają, że obrządek łaciński niczem nie przewyższa obrządków wschodnich, ale my im wtórować nie możemy, a to dlatego, że 1-o, tylko dzięki przyjęciu łacińskiego obrządku przez szlachtę i część ludu w Białą i Małą-Polskę (Biała i Mała-Rusią nazwała Katarzyna, dlaczegoż za nią mamy dalej krzywdzić naszych rodaków niewłaściwą im nazwą?) utrzymał się katolicyzm, który ich uchronił przed bolszewią i upadkiem wiary jak w Rosji. 2-o, obrządek łaciński jest pod względem bezpieczeństwa co do utraty wiary o całe niebo pewniejszy, niż obrządki wschodnie, choćby dlatego, że naczelnikiem jego jest Papież, który na manowce herezji zabłąkać się nie może, jak się zabłąkała większa część patriarchów Wschodu. 3-o, że duchowieństwo łacińskie, jako stan, dorosło swego stanowiska, t. j. stoi wyżej, bo żyje w celibacie.

Ostatnie wypadki na wschodzie byłej Galicji dowodzą aż nadto, czem stać się może unja, gdy się w niej kastę kapłańską zachowa. O ile siły biednego ludu nie są wyczerpane w kierunku nienawiści do

Polaków, polskości, łacinników i latynizmu... aż do Papieża, — to marnieją w bratobójczej walce moskalofilów z ukraińcami. Nienawiść, nienawiść i wszędzie nienawiść. Miłość łączy, uszlachetnia, — nienawiść rozdziela, poróżnia, upadła. Napady hajdamackie, bezmierne morze kłamstw, mordy, gwałty, zniewagi pomników, Białego Orła, Pogoni i Archanioła, walka z Rządem, — oto początek katastrofy, to przygrywka do końca Unji.

Jestem Polakiem, po polsku czuję i myślę, wyrosłem na Litwie, narodowość litewską, łotewską i wszelkie inne kocham, ale jestem, i to na pierwszym miejscu, kapłanem katolickim i dlatego we mnie nie masz nienawiści do nikogo. Wszędzie, gdzie mi tylko sposobność się nadarzyła pracować nad nawracaniem dusz do Boga, nad uszlachetnieniem ich serc, zwróceniem ich do P. Jezusa, a siły mi pozwalały, siebie nie oszczędzałem. W Warszawie, gdym w czasie katastrofy na ul. Wspólnej spowiadał tych, co najbardziej tego potrzebowali — bez względu na to czy byli Polakami lub też Rosjanami; w Lubimie, Myszkinie i Rybińsku, w baraku cholerycznym w Jarosławiu, gdym do samych Rosjan przemawiał — cóż mówić o Lidzie i Miorach, gdzie się zetknąłem z Białorusinami i Litwinami, w Żośłach i Dawgieliszkach, a na Inflantach z Łotyszami: wszędzie mogłem jakieś inne błędy popełnić, ale tego mi nikt nie zarzuci, żebym kiedykolwiek różnice jakie robił pomiędzy „Żydowinem i Poganinem, Greczynem i Barbarzyńcą“ — pomiędzy Polakiem, Litwinem, Łotyszem czy Rosjaninem“.

Nie jestem wyjątkiem. Takimi, jak ja, jesteśmy wszyscy kapłani z powołania, a jeżeli komu z nas brak takowego, to i to pewne, że w przeważnej części za radą św. Augustyna czynią tak, jakby je mieli. A że pomiędzy tymi ostatnimi znajdują się tacy, którzy nie idą za radą tego świętego i, wdziawszy sukienkę dla kariery, światu się wysługują, a nie P. Bogu, — że w danym wypadku obojętnymi są dla „nawracania owieczek zgubionych“, — że wyżej stawiają miłość ojczyzny ziemskiej, niż niebieskiej, czyż można kłaść to na karb wszystkich? Tacy kapłani-szowiniści bywają wszędzie. A już najwięcej ich zastałem w r. 1927 na Kresach wileńskich.

Otóż, jak wyżej wspomniałem, szowiniści — księży postanowili w dekanatach swoich (miorskim i głębockim) wytepić wszystko co polskie, a nawet zaprowadzić Unję dla Białopolan. W drujskim kościele o. o. Marjanie zaczęli byli śpiewać nawet po rosyjsku „Światy Boże“ i inne pieśni, wydierać książki polskie modlącym się i narzucać im inne, nawet rosyjskie. Lud protestował jak mógł. Pewnego razu, gdy ks. Cikota zabrał książkę polską dziecku, wystąpił jeden z parafjan Drui i rzekł: „Dlaczegoż to księży, wydzierający nam książki polskie, używają brewjarza i mszału

łacińskiego? Niech i nam będzie wolno ofiarować Bogu to, co uważamy za pierwociny. Przecież matka nauczyła nas polskiej wiary, książkę polską nam dała, a tej broniliśmy, jak i wiary naszej, przed Moskalami, nasi ojcowie woleli ponosić męki, niż sprzeniewierzyć się polskiemu Kościołowi i księży dotąd tak nas nauczali...”

Tak ludek walczył, gdzie był utwierdzony w wierze przez kapłanów z powołania.

Inaczej było w Leonpolu. Niemalże zdziwiony tu byłem, że oficer polski prezentował broń przed popem i pędzał żołnierzy Polaków i katolików do cerkwi na nabożeństwa schyzmatyckie. Tenże oficer kazał żołnierzom wyciąć z cmentarza katolickiego w Leonpolu sosny i ten piękny budulec oddał popowi. Za czyny „heroiczne” pop zaofiarował mu „arcyprawosławną” swą córkę, a podczas ślubu w cerkwi urządził iluminację. Pop S. przez wdzięczność w parę miesięcy później ochrzcił córeczkę zięcia w cerkwi.

W gminie czereskiej rozdawano odezwy bolszewickie. Osadnicy pokazali je sędziemu pokoju. Wójt T. został przeniesiony do Leonpola. Za nim przybył komendant policji O. Ta trójka wykazała większą dbałość o gorzelnictwo w kraju, niż o jego bezpieczeństwo. Skutki były zadziwiające. Pana N. wojskowe władze nie ścierpiały, ale kuratorjum szkolne go przygarnęło w charakterze inspektora szkół polskich. Pan T. odjechał do Plus—już rozwiedziony z żoną—a p. O. zaręczył się z drugą córką popa. Przyszła zmiana i na batiuszkę. Został przeniesiony, a jego następca Surwiłło (ojciec popa czereskiego) łaskawie przygarnął osieroczonego p. O. Smutno mu było, bo Leonpolanie, korzystając z odwiedzin p. woj. Raczkiewicza i gen. Minkiewicza, zanieśli skargę na p. O. za zniewalanie kobiet. Pan O. prosił mnie o obronę, ale cóż, kiedy naoczni świadkowie zbrodni, ją udowodnili.

Prosił parafianie moi o wysiedlenie z pasa pogranicznego Safki-Żugiera, ławnika, archimandryty Morozowa, popa renegata z Czeresi i drugiego z Uzmion.

Nie było lepiej i pod względem oświaty. W szkołach polskich nauczycielami byli Rosjanie, nawet synowie i córki popów. Stan moralny i materialny był tu okropny. 150 lat niewoli, 75 lat prześladowania Kościoła i polskości przez carat, szczególnie nad Dźwiną, pogrążyło lud w ciemności egipskie. Wydzierano mu cnotę, wiarę, patriotyzm, a zaszczepiano przemocą prawosławie; rusyfikowano go, w konsekwencji czego szły: kradzieże, podpalania przez zemstę, ojcobójstwa, pijatka, rozwiązłość, sodomja i choroby nieuleczalne...

Gdy ten lud, zbryzgany krwią, ciemną za Dźwinę przepędził, kiedy przybyły tu wojska i urzędy polskie, — prosił o rewindykację kościołów; prośbom jego zadosyć nie uczyniono. Ta źle zrozumiana pobłażliwość dla „mniejszości” w praktyce okazała się zgubną dla

Ojczyzny i Kościoła: żołnierze zarazili się moralnie i fizycznie. Pop w swej parafii liczył 16 jacejek, a wieś Czuryłowo napadła i związała polskich żołnierzy i, gdyby nie ratunek, okazany żołnierzom przez katolików, byłiby wydani bohaterowie nasi bolszewikom. Tutaj a nie gdzieś Szapiel, Miotła et consertes próbowali oderwać Kresy dla Rosji. Tu nad Dźwiną najbardziej agenci bolszewicy zasiewają wywrotową prasą, jak „Białoruskaja Krynica”, „Sielanskaja Niwa”, i inne. Klasztor Marjanów w jednym z artykułów pisał w „Białoruskiej Krynicy” w Nr. 36 różne paszkwile na mnie a obok na szpalcie mówił: „Białorusy powinny pamiętać, szto ich daroha razem z Litoucami”.

Jest garstka warcholów i wśród ziemiaństwa. Zaledwo zamieszkałem u p. Korzeniowskiego, który na swym domu przy ulicy napisał: „Aleje Piłsudskiego”, zaledwo odezwałem się do parafjan, zachęcając naśladować w obronie Ojczyzny i Kościoła, szczególnie tu na pograniczu, naszych wielkich rycerzy—cała ta banda opornych rządowi naszym stanęła mi w poprzek drogi i wysłała delegata z uprzedzeniem, że takich twardych mów nie ścierpi. Każdy z tych panów miał swego „zajączka” w głowie. Na szczęście takich „inteligentów” nie było wielu. Nie cieszyli się oni zaufaniem ludu, który ich uważał za zdegenerowanych, o dwuklasowym wykształceniu, zmieniających wiarę i żonę jak rękawiczki, z których każdy prawie rozwiedziony z prawowitą żoną a poślubiony w zborze ewangelickim. Szczególnie jeden z tych „towarzyszy” zasłynął daleko swą ekscentrycznością, rozwiódł się z żoną, biegał za Esterkami, a kiedy jedna z nich umarła, z żydami na popiele odsiadywał żałobę. Po kilku dniach stał się adoratorem wiejskiej dziewczyny prawosławnej i przyłączył się do owieczek popa Surwiłły.

Budowa Kościołów.

Pojawienie się tu kapłana pierwszego po 80 latach przerwało czarne sny caryzmu, które dotąd było ukołysane częściowo nawet nasze ziemiaństwo lokalne; a popi i ich adepci zerwali się na mnie, jak czarne kruki, spłoszone celnym strzałem—wszystko tu się zakotłowało. Jedni — dnie i noce pracowali ze mną, budując kościoły, drudzy — wysilali się, aby temu przeszkodzić. W tym celu skierowali do różnych władz 80 skarg i pisali artykuły oszczercze w „Białoruskiej Krynicy”, „Kurjerze Wileńskim”, „Słowie” i t. p. Dochodziły mnie wieści, że planowano na mnie zamach, ale znane mi to było jeszcze z przed 20 lat, gdy byłem proboszczem w sąsiednich Miorach — sterroryzować się nie dałem.

W seminarjum wileńskim, za czasów ciemnych uczono nas, iż kapłan katolicki powinien nauczać lud wyłącznie religii. Racja —

ale dziś kiedy katolicka Polska zmartwychwstaje i dłonie siostrzane wyciąga, dewizą nie tylko obywateli, ale i duchowieństwa, powinno być: „Bóg i Ojczyzna”.

Moja tu praca intensywna, w duchu katolicko-obywatelskim spowodowała, że kilkutysięczny tłum zażądał, aby zamknąć cerkiew i zwrócić ją katolikom. Trzeba przyznać temu żądaniu rację i dla-



Cerkiew w Leonpolu.

tego, że 1-o, schyzmatycy posiadają w tych okolicach siedem cerkwi, gdy katolicy ani jednego kościoła nie mają, 2-o, cerkiew leonpolska jest to dawniejszy kościół, odebrany katolikom przemocą, 3-o, w cerkwi tej znajdują się obrazy kościelne, figury, ołtarzyki, chorągwie i aparaty kościelne fundacji Sapiehów i Łopacińskich. Wiele z tych przedmiotów, jako niezgodnych z rytuałem wschodnim, ponieważ się na strychu cerkwi, 4-o, siedem grobów ofiar Polaków zasieczonych przy odbieraniu kościoła na cerkiew, pobudza ten lud do odebrania tejże świątyni naszej, 5-o, tłum składający się z 10.000 osób, dla braku kościoła był zmuszony słuchać Mszy św. tuż przed cerkwią na placu Trzeciego Maja, gdzie

skwar lub deszcze, wiatry i zimno, jak i cerkiewne dzwony nam przeszkadzały, 6-o, napisy polskie na dzwonach cerkwi „Konstancja i Franciszek Świąteczny”.

Warunki materialne były tu bardzo ciężkie. Pomimo wpływów, jakimi cieszyłem się przed 20 lat, kiedy byłem proboszczem w Miorach i entuzjazmu, z jakim mnie witano w Dru, Miorach i Leonpolu, gdy przyjeżdżałem z San Remo budowa kościołów szła z trudem. Po dwu i pół miesiącach pracy kosztem ofiar ludu i J. E. Metropolity Jałbrzykowskiego stanęły wreszcie świątynie: w Leonpolu pod wezwaniem Chrystusa Króla, w Bobolowie — św. Andrzeja Boboli, w Zastarzyńcach — św. Józefata, w Bogudziękach — św. Magdaleny, w Potasznicy św. Stanisława Biskupa i szósty na grobach ofiar zasieczonych — Matki B. Nieustającej pomocy. Kościoły te miały być poświęcone 6 i 7 września 1927 r. Gdy na tę niezwykłą uroczystość lud i różne stowarzyszenia zaprosiły J. W. Panów Prezy-

denta Mościckiego, Marszałka Piłsudskiego. Ich Eksc. Arcypasterzy i innych dygnitarzy — „mniejszość” uczuła się do żywego dotkniętą. „Białoruskaja Krynica”, a za nią cała prasa lewicowa uderzyła na alarm i zaczęły rzucać najpodlejszego gatunku oszczerstwa na mnie, a kiedy to nie pomogło, obwieścili całej Polsce „zaburzenia w Leonpolu”. Władze, czułe jak zwykle, gdy chodzi o „mniejszość”, żeby jej broń Boże nie skrzywdzić, pośpieszyły do Leonpola, ale ani prokuratura, ani policja nie dopatrzyły się żadnego przestępstwa i zaburzeń i, pomimo żądania popów i innych agitatorów, materiału budowlanego nie zasekwestrowały, budowy kościołów nie zakazały. Zrozumiałem, że wszelka zwłoka może być niebezpieczną. Gdybym się opóźnił i na dzień zgóry wyznaczony na uroczystości poświęcenia świątyni, owych nie wykończył, mogło być źle; tembardziej, że i księża „mniejszości” z ks. dziekanem Ildefonsem Bobiczem na czele i mało bogobojnymi o. o. Marjanami w Dru zaczęli na mnie nastawać a i z najbliższem sąsiedztwem stosunki się zaostrzały coraz bardziej z powodu oszczerstw, jakie na mnie rzucała prasa lewicowa w swem piśmie „Białoruskaja Krynica” i innych płatnych gazetach.

J. E. Arcypasterz Jałbrzykowski wizytował sąsiednie parafie. Przyjechałem w przeddzień wizyty do Idolty. Ks. Bobicz zarządził, abym wrócił do Leonpola i tam oczekiwał Arcypasterza, który jakoby w parę dni miał przybyć. Oczywiście, całą parafię postawiłem na nogi: robiono porządki w budujących się kościołach, reparowano drogi, mosty, stawiano bramy tryumfalne i gdy J. E. nie przyjeżdżał, posłałem gońca z zapytaniem. Ks. Meysztowicz pismem odpowiedział, że w programie nie była ta wizyta przewidzianą obecnie, lecz na 6 i 7 września. Okazało się, że ks. Dziekan dopuścił się żadliwego żartu, narażając nas nie tylko na koszt przyjęcia, utratę pracy, materiału rozmaitego, ale i parę dni drogiego czasu. Rozgoryczeni panowie oficerowie i urzędy pograniczne protest wysłali do Jego Ekscelencji.

Rozwózka kościołów.

Polecił mi Arcypasterz, abym przybył do Dżysny w dzień jego wizytacji i towarzyszył mu przy zwiedzaniu nowych kościołów. Pragnął sam je poświęcać. Kościoły były gotowe w parku: pięć wież w swych częściach górnych zbudowane i pomalowane na czerwono, z kondygnacją poniżej dachu białą, w stylu gotycko-zakopiańskim. Same ściany kościołów, wykonane w zrab, były wykończone. Zapytany p. Orkisz dlaczego tak często do parku zagląda, odpowiedział, iż ma polecenie czuwania nad robotnikami, by poniedziałków angielskich nie świętowali. Zrozumiałem jednak, że on coś innego ma na myśli. Obawiałem się grubszych komplikacji, bo wiedziałem, że p. Orkisz stał się prawie domownikiem i doradcą

popa. Odbudowanie kościołów aż sześciu na ziemi, o której Pius IX namawiał: „Ściśnijcie garść ziemi waszej, a wytryśnię krew męczenników za wiarę”, — było mi ponętne. A ileż tam leż po bohaterach i obrońcach Wolności!!!

Na wielkość święta kościelnego i narodowego, nietylko z powodu przybycia tu po raz pierwszy od lat 80 Arcypasterza, boć i o kapłana było tu trudno, ale i poświęcenia aż sześciu odbudowanych świątyń, zwróciłem uwagę swoich parafjan. Zapytany lud, czyby nie należało zaprosić na tę niezwykłą uroczystość, jak tego się domagali osadnicy, wysokich gości z Warszawy, jednogłośnie przez podniesienie ręki tę myśl zaaprobował, a żołnierze wołali: „J. Piłsudskiego!”

Podania przygotowano natychmiast i, podpisane przez tysiące parafjan, frunęły ku Warszawie.

Zawrzało potem wszędzie, szczególnie gdy, mając na względzie przybycie wysokich gości i drogi bez mostów, słynne z grzeskości, rozesłałem specjalną marszrutę urzędów w Wilnie, Brasławiu, jako też okolicznym gminom i posterunkom P. P. z prośbą o nakaz zbudowania dróg takich, by samochody mogły nas dojść. Piękne było to zamieszanie: powiat Brasławski i Głębocki zasiał drogi i ścieżki końmi i ludem tu, na naszej polskiej Syberji; — Sejmik i właściciele dróg słali faszyny, wieźli piasek, glinę i żwir, by zasypać przepaście i, gdzie można pobudować mosty.

Jedni się śmieli, drudzy mnie przeklinali za takie niespodziane figle.

Wypadło gorzej z traktem pogranicznym nad samą Dźwiną. Tu nietylko nigdy samochodu nie widziano, szczególnie między Uźmianami i Hrygorowiczami, ale i wozem trudno zjeżdżać i wspinać się w wąwozach. Biedni tam nasi żołnierze, dniem i nocą chodzący, grzęzną i toną w błocie. Jeszcze niedawno utonęło ich aż czterech pod wsią Czuryłowo na trasie między Drują i Dżisną nad Dźwiną.

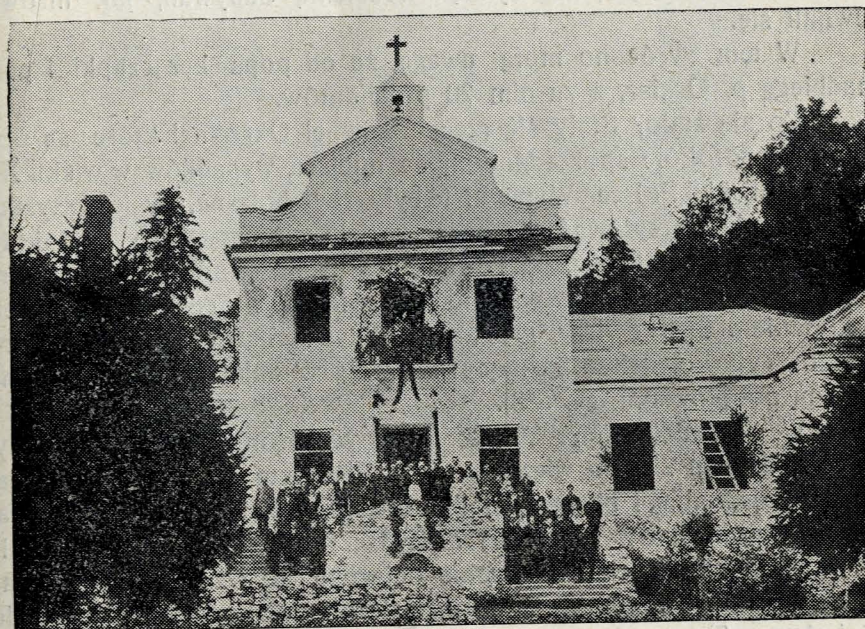
Pozostawało 10 dni do przybycia gości. Nagle prasa wywrotowa ogłosiła, iż w Leonpolu rzekomo są zaburzenia. Dowiedzieliśmy się od przyjezdnych z Wilna, że jakoby zarządzano karnych oddziałów. Przeciwno komu?

Moi parafjanie rozwozili budulec i stawili kościoły. Przeszkody za przeszkodami rosły na poczekaniu... Gdy posłałem do Czeresy wóz mchu, trochę budulca i kilku ludzi, rzekomo w celu budowania tam przy cerkwi kościoła, a właściwie w celu wprowadzenia w błąd kogo należało, i skupienia całej uwagi na miejsce raczej obojętne, policja odpędziła wozy, a ludziom, zbierającym się tam do pracy zagrożono aresztem. Posłany wywiadowca doniósł mi, iż P. P. ma rozkaz użycia teraz broni. Rady nie było. A tu zjechało całkiem

gdzieindziej, mianowicie do dworu Zastarzyńców 40 wozów materiału i cieśli.

Robota zawrzała. Cieśle składali kościół. Lud, jak mrówki, podawał, niósł, a że dookoła aż 12 wsi prawosławnych, pojawiły się najpierw dzieci oglądać dziwy, a te, obdarzone medalikami, sprowadziły tłumy.

Kościół i ołtarz były gotowe na godzinę 11-tą. Pojawili się i ludzie z Czeresy, niepotrzebnie usunięci stamtąd przez policję. Prowizorycznie z pośpiechem poświęciłem kościół. A podczas kazania o Zacheuszu patrzę — dwaj Zacheusze z karabinami, — to policja z Czeresy.



Nowy kościół w Leonpolu.

Po skończonem kazaniu prosili mnie prawosławni o pozwolenie bywania w tej świątyni. Mówili, że mają do cerkwi Czereskiej aż 5 klm. złej drogi. Jedna duszyczka zaraz przeszła na katolicyzm. Po Mszy św. pośpieszyłem do Bogudzięk, gdzie też policja molestowała pracujących przy kościele. Wyświęciłem ten, jak i trzeci dom Boży w Potaszn, by mogła policja zakomunikować p. Kubarskiemu, iż już „zbrodni” dokonano: kościoły poświęcone.

Po tem wszystkiem sądziłem, iż w Leonpolu będę mógł wykończyć kościoły spokojnie, boć tam nikomu do głowy nie przychodziło, by stawiać w tem przeszkody. Czyż nie tak?

Byłem jednak ostrożny. Lękałem się prowokacji — nie ze

strony prawosławnych, bo oni byli za tem, a to dlatego, iż w dzień Serca Jezusowego nie dałem odebrać im cerkwi, a natomiast obiecałem katolikom wybudować aż dwa kościoły w Leonpolu, — ale wiedziałem, że niektórzy zbyt alarmowali władzę wieściami o rzekomych buntach w Leonpolu.

W sobotę po obiedzie, gdy chwilę zdrzemnąłem, a byłem zmęczony po nocnych wyprawach, by „mniejszości nie drażnić“, powiedziano mi, że cieśle z 40 wozami materiału jadą na cmentarz. Pobieglem. Kazałem rozerwać drut kolczasty akurat przed mogiłami 7 męczenników i na tym placu zaczęła rosnać świątynia magicznie. Była godzina 3 po południu, a lud w ten dzień pogodny był w polu, i tylko ci, co to „pańszczyznę“ kościelną odbywali, jak mrowie uwijali się.

W tem zwrócono moją uwagę, że od popa bez czapki i pasa nadbiega p. Orkisz, a za nim 20 policjantów.

Co się stało? Stały się rzeczy dziwne! Okropne! które są opisane w protokole sporządzonym na miejscu wypadków w wieku XX i w katolickiej Polsce. Wypadki te były zbyt bolesne, by je wszystkie na tem miejscu cytować. Zaznaczę wszakże, że oryginały protokołu, świadectwa lekarskiego, jak również i innych dokumentów posiadam.

Biedny ludek, spłoszony tem co widział na cmentarzu, biciem i kopaniem Szarkowicza, groźbami licznych aresztów, ukrył się gdzie mógł. Tylko żydzi szabasujący i policja z najeżonymi bagnetami, jak na poboju, chodzili.

W poniedziałek p. Orkisz kazał więźniów okuć w kajdany.

Zbliżyłem się do więźniów i ja. Złożyłem im na drogę pocztunek pożegnalny i błogosławieństwo kapłańskie. Poszli oni w towarzystwie policjantów uzbrojonych. Żydzi, prawosławni i swoi płakali.

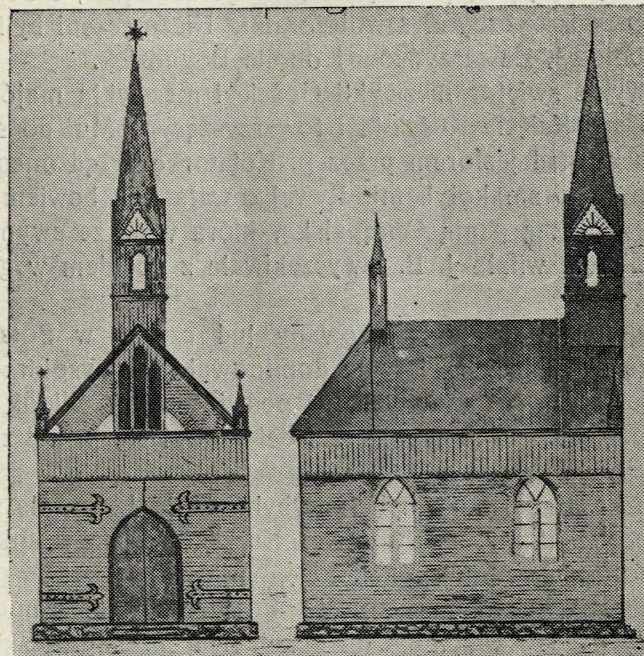
Konieczność zmusiła i mnie odjechać do Dżisny, by spotkać Arcypasterza, jak miesiąc temu mi zalecał. Po drodze zjechałem do Bobolowa. Tam wciągano wieżę na dach. Pp. Rzeczycki i Okulicz opowiedzieli mi, że i tam policja robiła przykrości, ale wreszcie zgodziła się na oświadczenie, że zastała kościół już wykończony.

Prasa antykatolicka i wywrotowa, skargi popów i delegacje „mniejszości“ oskarżyły mnie przed M. O. Dobruckim. Ten domagał się, aby J. E. natychmiast usunął mnie z kresów, bym „mniejszości nie drażnił“. Arcypasterz obiecał sam zbadać, czy i o ile słuszne są zarzuty. I zbadał.

Poświęcenie nowych Kościołów.

Wtorek rano. Niebo rozjaśniło się nad Dżisną. W kościele kapłani z Arcypasterzem na czele, jak w przeddzień wieczorem, siedzieli w konfeksjonale. Jeszcze Msze św., Bierzmowanie i odjazd. J. E. Arcypasterz polecił mi odjechać do Bobolowa i tam

czekać z moim następcą, ks. Sylwestrem Małachowskim, naznaczonym na moją prośbę 16 sierpnia r. b. na administratora mojego nowego „dekanatu Leonpolskiego“ jak to koledzy nazwali siedem zbudowanych przeze mnie kościołów. Arcypasterz, w towarzystwie PW. ks. ks. Meysztowicza i Bałobana, odwiedzał Ryżmonty.



Pięć nowych kościołów drewnianych, zbudowanych nad Dźwiną w 1927 r.

Z Bobolowa J. E. zabrał nas, księżę Leonpolskich, do swego samochodu i żegnani okrzykami śpieszyliśmy dalej. W drodze do Zastarzyńców, jak i przy kościele, ludu prawosławnego i bram tryumfalnych było więcej. I tu Arcypasterz witany, jak zwykle przez swoich i obcych, pocieszał strapionych, zachęcał do jedności, miłości Boga i Ojczyzny. Obiecał dać proboszczów do nowych kościołów.

Stąd odjechał Arcypasterz do mojego trzeciego kościoła, zbudowanego przed 20 laty w Miorach. Prosił go p. Starosta, by J. E. nie zabierał mnie do Mior. Powody tego są dla mnie tajemnicą. W Miorach było wielkie natłoczenie ludu. Ingres był chwilą niezapomnianą. Gość nasz oglądał kolosalne mury świątyni o ślicznych ołtarzach gotyckich i wszystko, czego tylko mogła ongi dostarczyć firma p. Sprzedkowskiego w Warszawie.

Przepiękny poranek zgromadził tłumy i do Bogudzięk. Kościół na tle zieleni, nad brzegiem jeziora, stał olśniony wchodzącym słoń-

cem i kąpał cienie swej wysmukłej wieży w przezroczystych wodach jeziora.

Pp. kolatorowie Potoccy czuwali: mąż w kościele miorskim witał Arcypasterza, Sakrament Bierzmowania przyjmował, a młoda jego małżonka przypinała gałązki mirtu i kwiecie do tronu tego, który miał tę świątynię poświęcić. Przybył dostojnik, otoczony cwałującymi, prowizorycznymi szwoleżerami. Niezmęczeni byli to osadnicy z Bobolowa, Zastarzyńców i okolic Bogudzięk.

Niezwykłe święto, niezwykli Goście i niezwykła majówka zważyła po pracy Księcia Kościoła i towarzyszących Mu do stołu „ad hoc” w lasku nad jeziorem przez p. Kolatorkę urządzonego i sownicie zastawionego smakołykami. Rywalizowała ona bowiem w sztuce kulinarnej z piękną panią Obrąpalską, która wraz ze swym małżonkiem inżynierem witała J. E. i wyczekiwała z obiadem w gościnnym Oblatowie.

Spragniony i rozentuzjasmowany lud czekał w Potaszn, gdy Arcypasterz nadjechał. Świątynia dominowała na wysokim pagórku. Była to siostrzyca rodzona tych już poświęconych. Widok był przepiękny. Rozglądał się Arcypasterz i delektował się przestrzenią, błogosławiąc ją.

My z ks. Kapelanem J. E. przybyliśmy do Leonpola wcześniej. Tu niezliczone tłumy zalały ulice. Kurz kłębił się wysoko, a zbyt wielu policjantów, pod kierownictwem powiatowego komendanta p. Kubarskiego, za głośno musztrowało moich parafjan. Smutna scena z cmentarza i ten widok, ongi mi tak drogiej policji polskiej, przypomniały wypadki niedawne.

Na hasło, iż Arcypasterz się zbliża, stanąłem przy bramie. Przemówił pierwszy p. Orłowski, drugi p. Markiewicz, a trzecią była p. Jadwiga Korzeniowska, której wypowiedziane wierszyki ogromnie Arcypasterzowi się podobały. Oto jej słówka pamiętne:

„Mamuś, tatuś, śliczny lud —

Mówią, że to drugi cud:

Arcypasterz na Syberji nam

Błogosławi tam i siam.

Tobie w darze wielka cześć!

I kościołów pięknych sześć!

Nie złamali nas Moskale,

Choć męczyli jak szakale.

Knuty, różgi, Sybir srogi —

Nasza Wiara ponad wrogi!

Ksiądz Borodicz miesiąc trzeci

Do roboty zaprzął dzieci —

Z martwych wstajem i poznajem,

Że tu Polska — przy niej stajem!

Choć i wrogie idą rzędy,
By zakłócać pracę wszędy.

Święty Ojciec, żniwo wielkie,
Boć zbawienia pragnie wszelki,
Daj nam więcej tu pasterzy,
Každy błaga o to szczerze!..

I Wy, Goście, czci dostojni,
Bądźcie sercem dla nas hojni,
My z ciemności do jasności
Pragniemy z Wami, Wasze Moście“!

Gdy p. Jadwiga, mówiąc słowo „z ciemności” wydostała garść kwiatów i, wołając do „jasności” sypnęła je raptem na zasłuchanych gości, było to miłą niespodzianką. Smutną była jej twarzyczka: „Tatuś”, wice-prezes budowy tych kościołów, które Arcypasterz wyświęcał, był w areście.

Przemówił ładnie rabin, Boruch Szugol, po hebrajsku, a jeszcze ładniej i dłużej odpowiadał mu w tymże języku Książe Kościoła.

Gdy J. E. po modłach zasiadł na tronie w kościele pięknie wykończonym a ubranym w kwiaty przez p. p. Korzeniowską i Wiewierowską, odezwał się chór pod batutą p. Jerzego — (syna zakrystjana), organisty, potężnym „Ecce Sacerdos”. Zakrystjan Szarkowicz też był uwięziony.

Stałem i ja, składając pokornie moje „homagium” i rachunek z włodarstwa. Nigdy tak smutnej przeszłości nie opowiadałem, faktów historycznych z męki za polskość i Wiarę, i tak okropnych nie powtarzałem, ile tu doznano za czasów caratu.

Nie mogłem nie dotknąć bolesnej chwili sprofanowania cmentarza kilka dni temu. Ze względu na delikatność kwestji ograniczyłem się do powiedzenia: „Opatrznościowy Arcypasterz przysłał tu kapłana, poświęcił kościołów pięć, bo szóstego moce piekielne i ziemskie, wrogie Kościołowi, nie dopuściły wykończyć, a ten na— grobach 7 męczenników“.

„Kurjer Wileński” Nr. 207 i „Sielanskaja Niwa” Nr. 66 tak przeinaczyły: „Ks. Borodicz powiedział.... „Nad polską ziemią w Leonpolu zaciążył znowu duch Murawjewa, policja prześladuje Kościół i jego wiernych kapłanów“.

Arcypasterz przemówił do ludu, a byli tam prawosławni i żydzi. Zachęcał wszystkich, by garnęli się do nowych świątyń, dziękował prawosławnym za współpracę przy budowie, za dzwon ofiarowany przez wieś prawosławną Słoboda, a ponieważ ci naiwnie powiedzieli, że im do nawrócenia się potrzebny jest „prikaz”, jak to było za cara z prawosławiem, Arcypasterz objaśniał, że Kościół do przemocy nie ucieka się, ale i to, w imieniu Chrystusa, daje im przykazanie.

Po poświęceniu Kościoła J. E. i goście zasiedli przy stole na plebanji, w której zaledwie stołowy pokój wykończyłem. Podczas obiadu odczytałem depesze. Przytoczę tu jedną.

„Do Księdza Kanonika Borodiczka w Leonpolu.

Nie mogąc przybyć osobiście na uroczystość poświęcenia odbudowanych kościołów w Bobolowie, Czeresy, Bogudziękach, Potaszn i Leonpolu, niniejszém ślę Księdzu Kanonikowi słowa szczerego uznania dla zbożnej pracy. Przyjmijcie zapewnienia, że, czy w dniach radosnych jak dziś, czy w dniach ciężkich, myślą i sercem jestem zawsze z Wami”.

(—) Józef Piłsudski, Marszałek Polski.

Podobnie gratulacje nadesłali:

J. E. Pan Prezydent I. Mościcki,
Ks. Kardynał Prymas Hlond,
Pierwszy Prezes Najw. Trybunału, Wł. Seyda,
Minister Sławoj-Składkowski,
Komendant Główny P. płk. Maleszewski,
Minister Spr. Zagr. Zaleski,
Ks. Arcybiskup I. Dubowski z Rzymu.
etc. etc.

Depesze i listy z Kraju i z zagranicy odczytałem gościom podczas obiadu, a potem ludowi.

Odjechał Arcypasterz serdecznie żegnany. W sercach naszych pozostały jednak uczucia pogrzebowe: — ofiary niewinne były uwięzione, a „Kurjer“, „Krynica“ i „Niwa“ pocieszały „mniejszość“, że mnie wsadzą z ks. Godlewskim, a p. p. Korzeniewskiego z Szarkowiczem na 6 lat na Łukiszki.

Bolałem, ale cóż począć? Arcypasterz prosił bym pozostał jeszcze w Leonpolu, młodego następcę wdrożył, a że ten zaraz na 9 dni odjechał, nie wolno mi było zejść z posterunku.

Tymczasem lud wysłał skargę do Prokuratora. Ta nosiła 1500 podpisów. Dałem sędziemu śledczemu protokół o zajściu, listę 60 świadków. Wreszcie dnia 20 września, po podpisaniu inwentarza, w którym przekazałem ks. Admin. Małachowskiemu kościoły i ich sprzęt, (wartość ruchomego sprzętu wynosiła 168.567 złotych), odjechałem.

Dnia 21 września przybyłem do Wilna. Moja pierwsza wizyta była w Ostrej-Bramie i u Św. Kazimierza, potem w gabinecie p. Prokuratora. Ten zgłębił całość sprawy i więźniów z Łukiszek zwolnił. Dałem im znowu pocałunek i bilety kolejowe, by prędzej przywrócić ich rodzinom. Cała ta tragi-komedja jest zbyt bolesną i krzywdzącą wierne syny Kościoła i Ojczyzny, by o niej zapomnieć.

Wycieczka na Wołyń.

Po załatwieniu spraw w Wilnie, w towarzystwie Ks. Kanclerza A. Sawickiego, przybyłem do Białegostoku. Jednocześnie z naszym pociągiem przybył pociąg z Warszawy, którym przyjechał J. E. Ks. Arcybiskup Jałbrzykowski. Gościnność Księży Kanonika Chodyki i Kan. Abramowicza zobowiązały i mnie do współpracy w ich świątyniach z Arcypasterzem na czele. Miłe tu były niespodzianki, szczególnie dla mnie, którym od lat 20 w Białymstoku nie był.

Spotkały J. E. tłumy, wypełniające place, ulice i świątynie. Las różnobarwnych sztandarów powiewał. W przepięknym kościele Farnym potężny chór i organ, przy akompanjamencie dzwonów, odświeżnie ubrane ołtarze i szaty pontyfikalne podnosiły ducha. Ks. Dziekan Chodyko pochlebnie mówił o Białostoczanach; nowy kościół, bogate ołtarze, Dowódca wojsk, Wojewoda, Prezydent miasta i Komendant P. P. klęczący, lud ścielący się u stóp błogosławiącego ich Księcia Kościoła — świadczyło, iż tu są w Królestwie Bożem i mają serca kochające Ojczyznę.

J. E. nazajutrz poświęcił kamień węgielny pod kościół św. Rocha. Ks. Kan. Abramowicz w powitalnej mowie do J. E. powiedział, iż nowa świątynia powstaje na starożytnym katolickim cmentarzu.

Podczas obiadu u Ks. Kan. Abramowicza spotkałem Ks. Kanonika Sperskiego, z którym nie tylko kolegowałem w Seminarjum Duch., lecz także był moim towarzyszem niedoli. Razem w 1908 r., stanęliśmy przed Sądem Okr. w Grodnie, gdzie nas skazano na osadzenie w forticy. Po tylu latach jeszcze dzisiaj mam przed oczyma smutny ten obraz, jak go żołnierze odprowadzali do forticy, krzyżując obnażone szable nad jego rogatywką.

Po trzydniowym pobycie w tak miłym towarzystwie Arcypasterza, Kolegów i Białostoczan, którzy b. serdecznie nas podejmowali, udałem się w okolice Pińska i Wołynia, by zbadać osobiście stosunki panujące w tej części Kresów.

Siedzę tedy sobie w wagonie klasy III-ciej. Wchodzi do mego przedziału p. Chmielowski, Prezes Sądu Okręgowego w Równem. Zmusił on mnie do przejścia do przedziału klasy II-ej. Słyszał bowiem moją rozprawę z popem i djakiem z Brześcia. Gdy spałem snem twardym w kącie, pop tak perorował: „Polaki naród choroszyj. Dali nam swabodu. Dietiej swoich obuczajut po białoruski i rusinski.. kak żałko, czto oni jeszcze nie prawosławny“... Słyszałem to przez sen. Sądziłem, że to nie na jawie. Przecieram oczy a tu i pop na mnie patrzy. Nie wytrzymałem. Zapytałem popa, na jakiej zasadzie on uraga otoczeniu? Gdy go przekonałem, że prawosławie zrodziło w Rosji bolszewizm krwiożerczy, który sięgał aż po Warszawę, lecz

sromotnie został przez katolicką Polskę odparty aż za Dźwinę,—obydwaj z djakiem z wagonu uciekli.

Towarzystwo p. Prezesa rozweseliło mnie znowu. Odwiedziliśmy po drodze Kowel i oglądaliśmy tam budujący się „tum“. Budowa tego kolosalnego kościoła sprawiła b. miłe wrażenie. Okazuje się, że za dolary Ameryki, uźbrane ręką Ks. Infułata Sznarbachowskiego, Ks. Kanonik Jarosiewicz tego arcydzieła dokonuje. Byli i oni niedawno ofiarami nieuczciwej prasy.

Na kresach Wołyńskich jak i na Wileńskich lud żadnych pretensji do faworyzowania go i przywilejów nie rości. Dużo tutaj jest przysyłanych agentów niemiecko-sowieckich, którzy zbyt głośno o prawo „mniejszości“ walczą. „Divide et impera“...

Co się tyczy prasy, to ta oczywiście przeważnie jest wywrotową. Na każdym kroku widać jej destrukcyjną robotę. Znać, że ona za srebrniki judaszowe współpracuje z wrogami naszej Ojczyzny. Jak ongi, gdy jakiś patryjota-spryciarz wysmarował sadłem wilczym nowopostawiony pomnik Murawjewa, wyły pieski wileńskie dookoła Wieszatiela, tak i teraz prasa nam wroga ośmiesza, pluje, bezczęści i dyskredytuje naszych działaczy na Kresach; co gorsza, sama umiejętnie maskując się, okłamuje nasze władze nie tylko kresowe, ale i centralne.

Włodzimierz-Wołyński był celem mej podróży może i dlatego, że to gród św. Jozafata, patrona Kresów, do którego mam szczególniejsze nabożeństwo. Po odwiedzeniu świątyń, zwiedziłem tu i kryjówki, gdzie miały być przechowywane skarby narodowe.

Po spożyciu obiadu u gościnnego J. E. Arcypasterza Mańkowskiego udałem się do Łucka. Zjazd był ziemian i kupców, trudno było o nocleg. Usłużny policjant objaśnił, iż za miastem jest kościół, przy którym J. E. Ks. Biskup i Kapituła zamieszkują. Była godzina 24. Zmuszony byłem zakolatać do zakrystjana. Gdy ten otworzył podwoje i wskazał na sofę dla podróżnych, ujrzałem na ścianie jego dyplomy. P. Dubicki nie był zwykłym zakrystjanem: za ukrycie skarbów katedralnych przed bolszewikami, gdy ci domagali się, trzymając brauning mu przy skroni, Rzym obdarzył go aż dwoma „Bene merenti“.

Po Mszy św., udałem się do „Stołówki“, gdzie p. Kwaśnicka całą Kapitułę stołuje. Spotkałem tam większość X.X. Prałatów, znajomych z przed laty 20. Przypomnieliśmy sobie ową pamiętą chwilę, jak to na pogrzebie ś. p. Arcyb. Wnukowskiego fotografo waliśmy się i jak J. E. X.X. Biskupi mnie polecili podać dłoń X. Tokarzewskiemu w czasie fotografowania na znak, że my dwaj najbardziej byliśmy ścigani przez carat. Tym razem rywala mego nie było: b. Prezydent Wojciechowski wyniósł X. Tokarzewskiego do godności swego kapelana, lecz gdy byłem, „pod wozem“, pisałem

doń, ale ten kolega zhardział, bo i było czego — nie raczył odpisać. Dzisiaj i on ze swym pryncypałem usunął się w cień i powtarza sobie: „Tout passe, tout casse, tout lasse“...

J. E. Ks. Biskup Szelażek przyjął mnie łaskawie. Powagą, nauką i subtelnością w obejściu się zaimponował mi. Wysłuchać mej raczył prośby i zwolnił z probostwa w Kołodnem mego brata, X. Jana, pozwalając mu udać się do San Remo.

Z Łucka odjechałem do Warszawy a po paru dniach do Kluczkowicz. Pozwolę sobie tutaj zwrócić uwagę Sz. Czytelnika na tę „perłę“ Powiśla. Przybyłem tu po raz pierwszy w nocy. Widziałem tylko jak przez szosę przemykały zające przed wiozącym mnie samochodem. Gdy przybyłem, oświetlony rześcicie pałac otworzył podwoje, ręce ugrzęzły w przyjacielskich dłoniach. P. P. Kleniewscy skierowali mnie do holu „Gersona“. Zwiedziłem bibliotekę, słynną z ozdób Witkiewicza. Nie będę opisywał tu dzieł sztuki, wolę poznać Czytelnika z gospodarstwem tych dóbr.

Dratów, Kręciszówka, Wrzelów, Nieciecz, Brzozowa, Wilków, Łaziska górne i dolne, Zagłoba, Opole-Wrzelów — są to dobra p. p. Kleniewskich. Ś. p. Jan Kleniewski, wobec kryzysu rolnictwa w 1865 r. oparł swą pracę nie tylko na produkcji zboża, ale i na fabrykach do przetwarzania produktów rolniczych. W tym celu buduje on szosy, trakty i drogi w obrębie 6.500 ha, zмага się z trudnościami czynionymi przez rząd rosyjski, osusza kanałami dziesiątki kilometrów bagnisk, moczarów, ujmuje sluzami wody nie tylko w swych dobrach, ale i w sąsiedztwie, pozyskując i podnosząc glebę do najurodzajniejszej jakości, tworzy najwzorzowsze stawy, zarybia je, zdobywa najrentowniejszy przemysł rybny. Założył on wielką gorzelnię, rektyfikację, cukrownię „Zagłoba“, fabrykę konserw, leśne gospodarstwo, szkółki, zagajniki, tartak, terpentyniarnię, kaflarnię, fabrykę serów, młyny wodne i parowe. Chmiel ze 180 ha, siarkowany na miejscu, wywozi nie tylko na rynki Europy, ale i Japonji. Ponieważ Wisła podmywała brzegi, p. Kleniewski oprowadził je wałem a odsypy zasadził szlachetną pręcina koszykarską na 500 ha. Odtąd koszyki jego zasłynęły daleko. Mimo prześladowania Moskali potrafił on utrzymywać potajemnie 10 szkół, 6 żłobków dla niemowląt i wiele innych kulturalnych instytucji.

Majątki te zostały podzielone między synów, p. p. Witolda i Przemysława oraz córkę, dziś p. Iłakiewiczową. Pomimo, iż wojska podczas 3-ch ofensyw spustoszyły te dobra, wykształceni wszechstronnie synowie rychło odbudowali i uruchomili wszystko. Przemysł jeszcze bardziej wzrósł. Szczekarków zasłynął najwyborniejszymi różami co do gatunków i ilości (150.000 krzaków) i różnych szczepów owocowych (2.000.000 pni), brzoskwinie, truskawki; morele swym smakiem, wielkością i zapachem prześcignęły owe

z krajów egzotycznych. Łaziska posiadają owce „Meryno-Precote”. Kluczkowice — selekcyjną hodowlę ryb „Lustrzeni” etc.

P. p. Kleniewscy potrafili skupić i zainteresować różne syndykaty, na których czele stanęli.

Poznałem p. p. Kleniewskich, gdy zmarł ś. p. Witold w San Remo, gdzie jego zwłoki parę miesięcy spoczywały w moim kościele. W chwili tragicznej, ciężkiej, Pani Janowa wraz ze swymi synowami i p. Przemysławem tak mężnie zgadzali się z wolą Bożą, że mnie kapłana budowali.

Gdy w Kluczkowicach odprawiałem Mszę św., cała rodzina była rozmodlona. Sama kaplica była tak wzorową i miłą, jakiej w żadnym dworze nie widziałem. Zwócił moją uwagę mozaikowy obraz Matki B. Częstochowskiej.

W chwili odpowiedniej prosiłem p. Janową, by raczyły wyjaśnić tajemnice wychowania rodziny. Pokorna i skromna Pani chętnie to uczyniła. Ona sama odebrała wychowanie u Sióstr Urszulanek w Krakowie. Celem jej życia była miłość Boga i Ojczyzny. Nietylko siebie, swą rodzinę, ale i sąsiednie ziemianki uświęca i podnosi ducha polskości swym własnym przykładem i praktykami pobożnymi.

Wróciwszy do Wilna, zostałem pozwany do Sądu. J. E. X. Arcybiskup udzielił mi pełnomocnictwa. Pojechałem znowu do Leonpola, zrobiłem parę protokołów i wniosłem skargę do p. Prokuratora jako powód cywilny. Przed kratkami sądowymi spotkałem się z moimi oszczercami. Prośli oni o przebaczenie. Na moją prośbę Sąd zaprotokołował moją skargę, iż agenci niemiecko-sowieccy nad Dźwiną rozwinęli swoją akcję b. niebezpieczną dla Polski. Moi opoenenci poprostu terroryzują naszych działaczy na Kresach i zapomocą prasy ośmieszają, bezczeszczą i dyskredytują ich. Świadomie czy nieświadomie sekundują im: Rosjanin Buturlin w „Wiln. Utro”, p. Karuza w „Biełarus. Krynica”, p. Mackiewicz w „Słowie” i „Sielańska Niwa”, red. „Za Swobodu”, „Nasza Prawda”. Czy autorowie oszczerstw są agentami płatnymi, czy też, jak mówi ros. przysłowie: „usłużliwyj... opasnieje wraga”, śpierać się nie będę, ale sam Sąd Okr. raczy cierpliwie zbadać i winnych ukarać. P. Karuzo zażądał zaprotokołowania, że ja rzekomo ubliżyłem, mówiąc „usłużliwyj du-rak”. Pociężyłem tego pana, że nie dopowiedziałem, pozostawiając to jego domysłności. Śmiech był ogólny, — tem więcej, że prośbę o zaprotokołowanie, i zaznaczenie, że myśl moją sam swobodnie rozwinął, gorąco poparłem.

Sprawy prasowe przeciw tym, którzy zawinili w Leonpolu, poruczyłem mecenasowi Jasińskiemu w Wilnie. Pilny był powrót do San Remo, dokąd wzywali mnie moi sezonowi parafianie. Odjechałem więc dnia 8 listopada. W Warszawie spotkałem się z miłą,

wzruszającą niespodzianką. Parafianie Miorscy, Leonpolscy, Bobolewscy, Bogudzieccy i Zastarzyńscy przysłali swych delegatów w osobach pp. Piotrowskiego i Okulicza, którzy wraz z przyjaciółmi moimi warszawskimi, z p. redaktorem Hertzem na czele odprowadzili mnie na główny dworzec a panie ubrały w kwiaty przedział wagonu, który już wcześniej zarezerwowano dla mnie. Nie pomogły moje prośby, by odjeżdżającemu na Riwierę kwiatów nie dawały. Chciały, jak mówiły, uprzyjemnić podróż powrotną po znoonej pracy. Dzięki moim przyjaciołom, długą drogę do San Remo odbyłem bardzo przyjemnie.

Akcja przedwyborcza na Kresach.

Z chwilą ogłoszenia wyborów do Izby Prawodawczych nawet Kresy ożyły: najróżnorodniejsze stronnictwa, organizacje i grupy polityczne, inteligencja i duchowieństwo, kupcy i rolnicy, chlebowdawcy i klasy robotnicze dyskutują, radzą i zmagają się wzajemnie lub blokują. Lud, pomny wyników wyborów, szczególnie nad Dźwiną w 1922 r., debatuje.

Najbardziej ruchliwymi okazali się „towarzysze” z za Dźwiny. Jeszcze w styczniu r. b. rozrzućili oni swe ulotki komunistyczne, wydrukowane w różnych miejscowych językach. Tu się spotkano z odezwami: listy Nr. 1 i 24, „Białoruskiej Hromady”, „Wyzwolenia”, „P. P. S.”, „Blok Mniejszości Narodowej”, „Bundu”, „Zjednoczenia Białorusko-Litewskiego”, „Siły Chłopskiej”, „Obrony Chłopsko-Robotniczej”, „Rosyjskie Zjednoczenie” i t. d. i t. d. Warczą drukarnie po miastach a po miasteczkach szapirografy i maszyny, stada agentów nawołują lud do głosowania na listy „towarzyszy”. Zaczynając od Brasławia aż do Świecian spotykałem bandy grajków na instrumentach dętych i smyczkowych, zwołujących na „wieczory”. Zapytana młodzież dlaczego się gromadzi dokoła obcych, odpowiadała: „Nadto ciekauno tam hrajuć, kažuć i wodki dajuć”.

Wobec niebezpieczeństwa, grożącego ze strony komunistów, lud myślący trzeźwiej, zrywa się do kontragitacji. Oto list, który do San Remo mnie nadesłano.

„...Bóg przeznaczył Narodom rolę rozmałą, a Polskę — być „Przedmurzem Chrześcijaństwa” — bronić świat od bolszewików.

Masoneria przez bolszewję chce za wszelką cenę zdławić chrześcijaństwo w Europie. Temu na przeszkodzie stoi i stać musi lud Polski, Litewski i Rusiński.

Gdy u nas ogłoszono wybory do Sejmu, bolszewicy rzucili tu miliony złota i najlepszych swych agitatorów, a to w tym celu, by przeszmuglować takich kandydatów na posłów, którzy potrafią w Sejmie obalić św. Sakrament Małżeństwa i inne, zakneblować usta naszym kapłanom.

My, katolicy, musimy złotu przeciwstawić ludzi, mających wpływ, popularność i mir w społeczeństwie, lub poddać się występny. W czasie wyborów zeszyły zaufaliśmy tym, którzy wiele obiecywali nam, ci jednak okryli nas hańbą: hurtki bolszewickie u nas zasieli Miotła i t. p.

Księżę Kanoniku, przodowałeś nam dotąd, budując kościoły, opiekując się nami moralnie i politycznie. Twoja popularność, serce ojcowskie i poświęcenia zjednały nietylko nas, ale Rosjan i żydów. Zebrani na naradę przedwyborczą, po różnych debatach, rozważeniu sytuacji strasznej i niebezpiecznej, postanowiliśmy prosić Księdza Kanonika przybyć do nas jaknajrychlej nam przewodzić i pokierować...

Ojczel! Ratuj nas! (Podpisy).

Nadszedł list od nich i do mego Ordynariusza. J. E. ks. Biskup Daffra polecił mi udać się do Polski natychmiast, zbadać akcję wyborów i w konieczności postawić swą kandydaturę na posła.

Jakkolwiek mnie w San Remo na moje stare lata było najlepiej, musiałem usłuchać i pojechać na Kresy Polskie.

J. E. Ks. Arcybiskup Jałbrzykowski wyraził się, iż zasadniczo nie pozwala duchowieństwu kandydować. Jako kapłan i obywatel bolałem, iż nie będę mógł współdziałać z mym ludem dla dobra Kościoła i Ojczyzny. Pojechałem jednak zbadać sytuację na pograniczu Bolszewji. Zwiedziłem w Święcianach różne komitety, rozmawiałem z pełnomocnikami grup, odwiedziłem i p. Przewodniczącego Okręgowej Komisji Wyborczej Nr. 64. Było to 1-go lutego. Sędzia Eljaszewicz miał klienteli b. wiele, a stosy list i podań piętrzyły się przed nim.

Dowiedziałem się od pełnomocnika z nad Dźwiny, że „towarzysze” uzyskali łatwo podpisy mego ludu, wmawiając, iż lista obejmuje mnie, jako kandydata na Sejm. Przy pomocy p. inżyniera Obrąpalskiego udało się namówić pięciu, którzy zgodzili się oddać listy swoich kandydatów, podpisane przez wyborców, w moje ręce i zawrzeć przymierze ze mną. Zaszedłem potem do „Komitetu Zjednoczenia Białorusko-Litewskiego”. Przy stole „prezydjalnym” zastałem 8-miu. Ci pokazali mi odezwy „Jedynki” zamiast swojej. Pytającym o moje zdanie co do tejsze „Jedynki” powiedziałem, iż mają współpracować i zalecać, by głosowano na dobrego katolika i patryotę, bo wtedy Rząd, poparty przez Sejm patryotyczny, odrodzi Polskę. Jeden z tych „działaczy” odparł, iż on jest „bezwyznaniowiec”. Zwróciłem uwagę młodzieńca, iż jest za młody, a skoro nie odróżnia Boga od ludzi, jak owe stworzenie czworonożne, nie powinien zabierać głosu tam, gdzie się rozstrzygają losy naszej Ojczyzny. Zapłonął i wyznał otwarcie, iż nie otrzymał wychowania, matka zmarła mu przedwcześnie.

Poznałem się z pełnomocnikami „Związku Katolicko-Narodowego” pp.: Kwinto, Wojtkiewiczem i rejentem Hryniewiczem. Oni i pan Obrąpalski, (członek „Związku Ludowo-Narodowego”), zgodzili się na moją propozycję połączenia zablokowanych pięciu list z listą ich, t. j. Nr. „24”. Gdy jednak udaliśmy się do p. Przewodniczącego, Eljaszewicza, wytłumaczył on, że jest zapóźno. Zostawało bowiem zaledwie parę godzin terminu składania list. Lista zaś „24” była zredagowaną w Wilnie i tam tylko mogli ją zmienić. Wobec tego uzgodniliśmy naszą akcję i obiecaliśmy poparcie wzajemne. Nad Dźwiną miała figurować lista z kandydaturą moją i pana Obrąpalskiego pod nazwą: „Grupa Wyborców dążących do naprawy bytu na Kresach Wschodnich”. Popularność nasza zapewniała tam powodzenie, gdy pp. Kownacki, Stoma i Gudaniec w tym okręgu byli mało znani.

Pamiętałem wprowadzić zakaz J. E. Metropolity kandydowania duchownym, ale moje otoczenie zbyt przekonawczo twierdziło, iż gdy „strzecha Ojczyzny się pali, powinienem ją gasić”, bo Arcypasterz i potem jest mocen rozsądzić, zasądzić i wyjątki poczynić, a to i dlatego, że XX. Biskupi w innych diecezjach w wypadkach ważnych księżom kandydować do Sejmu pozwolili.

Istotnie czasu i wyboru innego nie było. Z jednej strony obawiałem się odebrania mi list, które przeszkodziłem zgłosić do Okręgowej Komisji, z drugiej — wycofanie się moje z akcji przedwyborczej w danych okolicznościach graniczyło ze zdradą Kościoła i Ojczyzny, bo listy wyłonione zawierały imiona kandydatów tak przeciwrządowych jak i katolickich. Zdecydowałem się stworzyć jednolitą listę pod nazwą: „Grupa Wyborców dążących na naprawy bytu Kresów Wschodnich”. Listę w czas podałem. Ponieważ na przedce nie miałem dostatecznych podpisów, p. Eljaszewicz pozwolił zebrać dodatkowo, co też 7-go uczyniłem.

Moi współnicy z listy, podburzani przez czuwających „towarzyszy” zarządzali, bym z nimi pojechał nad Dźwinę i naszą umowę, sporządzoną w Święcianach, przedłożył jednośnym komitetom. Przeto, zamiast do Wilna, skierowałem się tam, by porozumieć się z tymi, którzy owe listy podpisali.

Przegląd czterech powiatów.

Silne zamiecie i mróz zatrzymały pociąg o 7 kilom. od Braśławia. Gdy dojechałem do plebanji braśławskiej, ks. Dziekan Sawicki zaproponował mi poświęcić gromnice i Sumę odśpiewać. W kilka godzin później odjechałem końmi do Drui, wstąpiłem do mecenasa Zubrzyckiego, inspektora skarbowego p. Janowicza, a potem na plebanję. Nazajutrz potwierdziłem urzędowo umowę, używałem od różnojęzycznej masy „cartes blanches” do działania.

4-go lutego, w towarzystwie p. Janowicza i p. Piotrowskiego, objeżdżałem: Oblatowo, Leonpol, Uźmiony, Oleszczenice, Bobolowo i Zastarzyńcy. Spotkałem tam wiele trudności: O. O. Marjanie z Drui i prowokatorzy sowieccy za wszelką cenę chcieli złamać nasz sojusz i uszczęśliwić nas „18-ą”. Energiczna postawa mego ludu, który oświadczał się wyłącznie za moją listą i kandydaturą, złamała przeszkody.

5-go byłem w Miorach. Dzień był niedzielny. Na wieść o moim tu przybyciu ukazało się wiele pobożnych, a było też dużo i z parafji obcych. Należy to przypisać gorliwemu ks. proboszczowi Świrkowskiemu; posłał on mnie na ambonę i prosił, bym objaśnił ludowi czym jest bolszewizm, — konieczność głosowania na dobrego katolika oraz, aby parafianie zwozili materiał leśny, albowiem z wiosną ma powiększać kościół w Zastarzyńcach.

Tu spotkałem instruktora z listy „24”, a mianowicie, p. Rakickiego z Braśławia. Okazał on legitymację podpisaną przez p. Kownackiego w Wilnie. Ks. Świrkowski zaprosił gościa z nami na obiad. W czasie tym, ku naszemu zdumieniu, p. Rakicki z naiwną szczerością wyznał, iż jest malarzem szyldów dla partyj nam wrogich. Wobec tego gospodarz domu polecił młodzieńcowi nas opuścić.

Po nabożeństwie odjechałem do Pohostu. Tu ks. Proboszcz prędko zorientował parafjan w sytuacji a ulotki komunistyczne poszły na spalenie.

6 — 7 lutego zwiedziłem parafje: Mosarską, Szarkowszczyznę, objechałem częściowo: Głębocką, Hermanowicką, Udziańską, Postawską, Kołtyniańską i Łyntupską. Wszędzie widziałem świstki walające się po drodze i lud odczytujący je skwapliwie. Potem udałem się do Święcian, Strunojc, Kluszczan i Sorokpola.

Czy można tu było liczyć na powodzenie listy „24”? Spotykałem ją u księży nie bawiących się w szowinizm. Czytano coprawda we wszystkich kościołach list Episkopatu Polskiego, ale w niedzielę, gdy był mróz i złe drogi. Ponadto w liście Episkopatu niema mowy o „24”. Ojciec św. i Episkopat kładą nacisk na to, iż wierni winni są wybierać tylko dobrego katolika. Nasz włościanin pojęcia nie ma o „24”, bo szanowny Komitet K. N. zbyt zlekceważył te powiaty i nie troszczył się o należytą propagandę. Liczył widocznie na „Dz. Wileński”, ale i ten ledwo po 2 — 3 egz. na gminę przychodzi. Natomiast nad Dźwiną liście mojej zapowiadano ze sto tysięcy głosów, powodzenie to dzięki tam zbudowanym 7 kościołom przede mną, pielgrzymkom a przede wszystkim prześladowaniom, jakich doznałem przed wojną: z Dawgieliszek bowiem deportowali mnie do więzienia żandarmi carscy, a z Mior usunięto i zesłano za odpieranie rusyfikacji na Kresach. To też, gdy przybyłem do Dawgieliszek w 1906 r., spotkał mnie lud przy odgłosie dzwonów a Dziśnię-

szczyzna w roku zeszłym wystawiła 38 bram tryumfu na moje zjawienie się oraz sześć kościołów zbudowanych, a te w czasie sianozęcia i żniw za 2¹/₂ miesiąca.

W Święcianach spotkałem się z artykułem w „Dzienniku Wileńskim” p. t.: „Warcholstwo”. Przedrukowało go i „Słowo”. Po przeczytaniu zrozumiałem, iż autor tej karykaturalnej wiadomości jest „Polakiem mądrym po szkodzie i że lubi strzelać w swoich z za węgła”.

Dlaczego on nazywa moją akcję „warcholstwem”, odgadnąć trudno. Bo jeżeli chodziłoby mu istotnie o dobro Kościoła czy Ojczyzny, to wie on dobrze, że ks. Borodicz zbudował jedenaście kościołów, nawrócił kilkanaście tysięcy ze schyzmy, za co Moskałe zesłali go na wygnanie a za odpieranie rusyfikacji grzywny płacił, sądy carskie w Grodnie i Pskowie skazały go na fortecę.

Ponieważ PIUS XI i Episkopat wymagają od kandydatów na posła, aby byli dobrymi katolikami, to niechże autor niefortunny nie zaprzecza i mnie prawa zaliczać się do dobrych katolików. Jestem przecież kanonikiem i weteranem, któremu J. E. Biskup Daffra polecił dla dobra kościoła udać się do „Przedmurza Chrześcijaństwa” i kandydować na Sejm. Co do mojego patriotyzmu i wierności dla Ojczyzny, to i wrogowie tego nie zaprzeczają.

Z wielką przykrością mówię o sobie pochlebnie, gdy Apostoł zaleca, by nikt nie przechwalał się, „jeżeli nie w Panu”. Ale tenże św. Paweł naucza, jak to zaznaczyłem wyżej, mówić, gdy milczenie staje się zgorszeniem dla „ludzi ułomnych i słabych”. Na tem więc miejscu piętuję autora artykułu: „Warcholstwo”.

Dnia 8 lutego r. bież., po złożeniu raportu z mej akcji w Kurji Metropolitalnej, odwiedziłem redakcję „Dziennika Wileńskiego”. Pp. Raczkowski i Kownacki prosili, bym zgodził się wycofać moją listę i kandydaturę z Komitetu Okręgowego, a natomiast agitować na rzecz ich kandydatur, zawartych w liście „24”. Propozycja taka z jednej strony zdziwiła mię, z drugiej — wydawała się zbyt delikatną. Wszak ja wyłowilem 5 list i przyczynilem się do unieważnienia szóstej, które żywił komunistyczny wysunął. Ponieważ je obaliłem a lud obdarzył mnie największym zaufaniem i prosił być jego reprezentantem do Ciał Ustawodawczych, — zdradzać go nie zgadzało się z etyką kapłańską.

A gdybym, przypuśćmy, kandydaturę i listę moją wycofał bez rozkazu J. E. Ks. Arcybiskupa, czy nie dawałoby to powodu do zgorszenia? Czy nie powiedziano by, że oszukałem i zawiodłem swoich, oddając lud na łup wywrotowcom? A czy taka zdrada nie graniczyłaby i ze zdradą Kościoła, Ojczyzny? Wszak włościanin ciemny, nie znający, ani listy „24”, ani jej kandydatów, podjudzany przeciw „Jedynce” przez wrogie żywioły, mógłby znowu skierować się do

takich Miotłów, Taraszkiewiczów, jak to było nad Dźwiną w r. 1922 i znowu powstałyby jaczejki, podminowujące nas.

Panowie z „Dziennika Wileńskiego” napewnoby takich propozycji nie zaakceptowali.

W międzyczasie „Słowo” napisało: „X. Kanonik Borodicz z San Remo... ma rację to w tem, że w swoim okręgu wyborczym jest niesłuchanie popularny i że zdobycie mandatu nie przyjdzie mu z trudnością. Będzie to niewątpliwie ciekawy przyczynek do historii głosowania powszechnego w Polsce... Ciekawą postacią jest X. Borodicz. Ile w nim jest niespożytej energii, odwagi, fantazji, jak kolosalnie wpływa na lud i jak umie rządzić jego sentymentami”...

Dziękuję Koledze za komplementy. „Styl—to człowiek”!

Powyższy trzeźwy głos zaniepokoił moich politycznych partnerów.

Pałaszowanie.

Kiedy dobrowolnie nie zgodziłem się wycofać mojej listy i kandydatury, pan Zwierzyński, dopatrując się „zbrodni” za faworyzowanie „Jedynki”, zagroził niedopuszczeniem wydrukowania niniejszej broszury, a gdy zapewniłem, iż widziano ją w Województwie i Kurji Metropolitalnej i drukować pozwolono, dał do zrozumienia, iż sam o tem rozmówi się z J. E. I rozmówił się. Prędko ogłosił w „Dzienniku Wileńskim” rzekomą suspensę i zakaz zamieszkiwania w Wilnie. Na moje nieszczęście nabawiłem się zaziębienia w czasie objazdu 4-ch powiatów i byłem z parę tygodni „zasuspendowany” przez influencję.

Nadszedł list i od J. E. Metropolity za Nr. 747, w którym Arcypasterz nakazał wycofać listę. Z pokorą to zarządzenie przyjąłem, a pan Obrąpalski odniósł do Arcypasterza akt wycofania, podpisany przez chorego.

Skutki były te, że przy pomocy agentów OO. Marjanów druckich zwyciężyła „18”—wybrano pięciu posłów do Sejmu z wrogiej nam partji, z p. Karuzo na czele. Oni to zaatakowali najbardziej J. E. X. Arcybiskupa Jałbrzykowskiego w Parlamencie.

„Dziennik Wileński”, walczący o mandaty dla siebie, pisał i pod adresem X. Biskupa Bandurskiego: „Jeszcze jedno kuglarstwo”. Tym razem ofiara „zawianego” autora jest oskarżana o brak solidarności z „Dz. Wil.” Gromi on Pasterza za to, że ten błogosławił nie Dziennikowi, ale Kurpiom i to takim, którzy zapraszali X. Biskupa do „Jedynki”. Zapomniał widocznie p. Zwierzyński et consortes, że ten Pasterz bohatersko ongiś budził „Spiące Rycerze” a Rycerze ci z Piłsudskim na czele zatknęli sztandary Wolności Ojczyzny.

Skoro „Dziennik Wileński” rzucił rękawicę w stronę moją na łamach swego pisma, niech mi będzie wolno zapytać na tem miejscu mego przygodnego partnera, kogo mam zaszczyt pałaszować?!...

1-o. Dlaczego niektórzy publicyści chcą być gorliwsi od Papieża i zcarska nas karcić, suspendować i ekspulsować? 2-o. W jakim celu tak gwałtownie chcą oni przekuć nas w swoich agitatorów i zmobilizować wyborców? 3-o. Dlaczego ci panowie pomimo naszej woli znowu chcą nas uszczęśliwiać swoją osobą i ich protegowanymi? 4-o. Dlaczego oni nie wypływali za czasów caratu i prusaka, gdy my za „nielojalność” względem ciemieży płaciliśmy grzywny, szliśmy do więzień, na wygnania? Wszak jeszcze w 1907 roku XX. Biskupi i 1564 księży, a iluż cywilnych za patriotyzm było poturbowanych? 5-o. Dlaczego panowie publicyści (niektórzy) atakujecie duchownych, gdy wiecie zgóry, że zniesławieni przez pokorę was po twarzy nie wybiją? czy to po rycersku? Dlaczego waszą niesfornością przyczyniacie się do rozbijania swoich a poparcia „18”, wprowadzacie Karuzów na Sejm?

Bezrobocie.

Po takich perypetjach w r. 1927, gdy zjechałem znowu na Kresy w r. 1928, J. E., pomnąc zarządzenia Min. Ośw. Dobruckiego, idąc za radą ks. dziekana Bobicza i innych moich przeciwników, pozwolił w Jego archidiecezji tylko Mszę św. odprawiać i spowiadać, ale mawiać kazań nie upoważnił, by „mniejszości nie drażnić”. Może i dlatego, że, po zakazaniu mi kandydowania do Sejmu, trafiło tam pięciu posłów, którzy J. E. publicznie w Sejmie zniesławiali i domagali się usunięcia go z Wilna.

Całe więc lato odwiedzałem kolegów, ale unikałem odwiedzania mych b. parafjan w dekanacie ks. Bobicza, z wyjątkiem Mior, gdzie był najserdeczniejszym dla mnie ks. Świrkowski. Odwiedziłem i Kluszczyany. Tu zaszła potrzeba katechizacji dzieci, proboszcz bowiem chciał je przygotować do bierzmowań na przyjazd Arcypasterza do Kluszczyan. Będąc proszony o to, zająłem się dziatwą. Ile to radości mieli rodzice, których akurat lat temu 25 ja katechizowałem. Nie wątpię bowiem, że tak wyrozumiały Arcypasterz nie poczyta mi tego za złe. I nie poczytał.

Prosił mnie ks. Proboszcz kluszczański pojechać do Szajkun oglądnąć czy jest kaplica w porządku. Tam nazajutrz miał być ze Mszą św. Arcypasterz. Tu spotkało upokorzenie. Pp. Swolkieniowie przytrzymali mnie zadługo przed ich pałacem pod pretekstem, że przyjąć nie mogą i że szukają kluczy od kaplicy. Gdy woźnica zwrócił się do nich z prośbą o pośpiech, p. Konstanty w swoim i małżonki imieniu oświadczył, iż kluczy nie wyda a to dlatego, że czytał w prasie o mojej rzekomej suspensie.

Istotnie, jak to wyżej była mowa, „Dz. Wil.“ był suspense opublikował. J. E. obiecał mi to sprostować, ale tego uczynić nie zdążył. Za zniewagę mi wyrządzoną ks. Proboszcz nie przyjął pp. Swolkieniów na plebanję i na obiad wspólny z Arcypasterzem nie prosił. J. E. po Mszy św. do pałacu nie wstąpił a gdy go chcieli p.p. Swolkieniowie wizytować, solidarni goście im ręki nie podali.

Słowem, Szajkuny ongiś tak gościnne, gdzie pp. Edwardowstwo mnie jako ich proboszcza często gościli i podejmowali pięknie J. E. ks. Arcyb. Roppa, stały się innemi. Żał mi jednak pp. Konstantowstwa, bo jeszcze niedawno spalili się ich dwór w Szejkunach.

W czasie obiadu zasiedliśmy u stołu z Arcypasterzem na czele; cisza panowała, bo i Arcypasterz był zmartwiony tem, co zaszło w Gierwiatach. Tam bowiem, podjudzeni przez agentów bolszewickich warcholi wyszli naprzeciw Arcypasterza podczas wizytacji z chorągwiemi żałobnemi. Prosiłem Arcypasterza, by pozwolił zanieść skargę na kluszczańskiego Proboszcza. Zaskoczony tem ks. Proboszcz, który tu niedawno z Gierwiat był przeniesiony, spojrzał na mnie żębrząco, bym mu przykrości nie robił. Arcypasterz, chociaż nie życzył może sobie, abym skarżył w obecności księży, ale mnie, jako starszemu wiekiem w tem towarzystwie, pozwolił mówić dalej. Otóż ciągnąłem: „Arcypasterzu! przed laty 30, gdy mnie wyświęcano, dano przywilej, abym mógł zjechać, jako emeryt do Kluszczań, gdy będę już niedołęga. Przed laty 25, będąc tu proboszczem, zbudowałem plebanję i kościół. Tego roku, gdy zostałem „bezrobotnym“—przybyłem tu po chleb. A ks. Proboszcz kazał mi pracować na ten chleb, katechizować, dzieci“... Arcypasterz i obecni roześmiali się z żartu, „Dobrze ks. proboszcz zrobił, bo nikt darmo chleba nie powinien jadać“ odrzekł Arcypasterz.

W roku 1928 zaczęły napływać do mnie listy ze skargą na bolszewicką agitację w Drui i krzywdy czynione ludowi przez OO. Marjanów. Prosiłi Drujanie, abym odbudował im kościół św. Antoniego. Oczywiście, odmówiłem. Bo i jakże miałem tam jechać bez zgody J. E. Arcybiskupa Jałbrzykowskiego?

W tym czasie moi sanremeńscy parafjanie Amerykanie proponowali dwieście tysięcy lir na zorganizowanie Auto-kaplicy takiej, jaką to już mają misjonarze w Ameryce. O takiej kaplicy ruchomej i misji marzyłem od czasu, gdy bolszewicy zapomocą aut zaczęli rozwozić różne gorszące kina, podkopujące wiarę.

Auto-Kaplica miała być wykonana przez fabrykę „Fiat“ w Turynie, 7 metrów długa; sama kaplica, o 4-ch metrach kwadratowych, miała mieścić ołtarz z dużym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej; obok mały organik i zakrystyjka. Po otworzeniu drzwi o całej szerokości końcowej ściany, z przed ołtarza odchylał się pomost (krużganek) i wieżyczki z krzyżami. Za ołtarzem na dwa

metry szeroki pokój dla księdza, za tem przedział dla zakrystjana i mały hol, w którym w czasie podróży księży i szofer mieli się znajdować. Kaplica miała być przeznaczona wyjątkowo na pograniczne Sowietów po stronie Łotwy i Polski. Każdego dnia miała przebywać 20 kilometrów.

Po przybyciu do wsi z wieczora, (o czem miejscowy proboszcz, mający już program i marszrutę, w niedzielę poprzednią z ambony swych parafjan uświadamiał), kaplica otwiera się, kapłani spowiadają staruszków, chorych i tych, którzy nie są w stanie bywać w odległym kościele, lub przybyłych z Bolszewji. Kiedy zapadnie zmrok, odprawia się solenne nieszpory, a potem zakrystjan-szofer ustawia kino i wyświetla obraz z życia Chrystusa, organista przygrywa i śpiewa z ludem odpowiednie piosenki, kolendy podczas wyświetlania Bożego Narodzenia, „Gorżkie Żale“ podczas Męki Pańskiej i „Wesoły nam dziś dzień nastał“ przy obrazie zmartwychwstania Zbawiciela. Kapłani kolejno mówią jednośne kazania. Na zakończenie obraz: Ojciec św. błogosławi lud z Krużganka św. Piotra.

A ponieważ to się odbywa w nocy, kiedy lud i służba wolni są od zajęcia, tłumnie otaczaliby kaplicę katolicy i inowiercy.

Rano księży odprawiają Mszę św., pożegnalne kazanie i odjazd do wsi następnej o 20 kil. odległej a zawsze najodleglejszej od parafjalnego kościoła.

Taki plan przedłożyłem Świętej Kongregacji Fidei. Konferowałem z J. E. ks. Kardynałem Gasparim, J. E. Cacia-Dominioni, Mgr. Burgonczini i J. E. Biskupem Lubelskim. Wszyscy uznali sposób za dobry i zbawienny. J. E. Cacia-Dominioni poradził złożyć to Ojcu św. na piśmie a jednocześnie poinformować naszą Ambasadę przy Watykanie i otrzymać zgodę naszego Episkopatu Polskiego. Kaplicę, gdyby wszystko pomyślnie wypadło, miał wyświęcić sam Papież.

Rozesłałem mój projekt i prośbę do wszystkich pogranicznych z Bolszewją diecezji. Byłem i w Ambasadzie polskiej, gdzie mnie skierowano do Mgr. Skirmunta, jako radcy w sprawach duchownych. Ten przyjęcia odmówił. Przyjął hr. Komarnicki i obiecał tę sprawę załatwić. Episkopat polski uznał ten rodzaj misji za niedojrzały.

Że Arcypasterze ci nie uznali mego projektu za dojrzały—Ich wola i Rzymu jest dla mnie nakazem. Nie mogłem jednak J. E. ks. Biskupowi Łozińskiemu nie wyjaśnić szczegółów, które zaszły między mną, parafjanami Drui i klasztorem OO. Marjanów, a to tembardziej, że oni przy pomocy swych pismideł znowu zbyt szargali moje imię i w fałszywym świetle przedstawili fakty, jak to miało miejsce i w r. 1927. Tembardziej, że nie miałem czasu dać moim przeciwnikom odprawy za pośrednictwem prasy polskiej: budowałem bowiem i tego roku dwa kościoły, jeden na Inflantach, drugi — w Drui.

Otóż, jak powiedziałem wyżej, zimą odmówiłem prośbom Drujan, bo nie wiedziałem, czy Arcybiskup Wileński wyrazi na to zgodę, a przytem wołałem podjąć misję i wizytować parafje nad granicą Bolszewji w celu utrwalenia tam Wiary, nawracania z prawosławia i przeciwdziałanie szkodnikom Kościoła, Polski i Łotwy.

Odmowa Episkopata Polskiego i propozycja J. E. ks. Arcybiskupa Szpringowicza, abym w Waranowiczach duszpasterzował i budował tam kościół parafjalny, skłoniły mnie do przyjęcia tego ostatniego.

Marjanie Druiscy a odbudowa kościołów.

10 czerwca przybyłem do Wilna. Jak zwykle, Mszę św. odprawiłem przed ołtarzem cudownej M. B. Ostrobramskiej i u św. Kazimierza. Potem zaszedłem złożyć moje homagjum J. E. Arcybiskupowi. Ten przyjął mnie łaskawie. Zapytał, gdzie tego roku zamierzam pracować, ale, gdy powiedziałem, że na granicy Polski, lecz po stronie Łotwy, zdawało mi się posmutniał i pożegnał. Kiedy wstąpiłem do Kurji, tam księża opadli mnie i namawiali, abym koniecznie jechał do Druj na 13 czerwca, t. j. na uroczystość św. Antoniego i robił wszystko, aby tam kościół odbudować. Nazajutrz przybyła delegacja z Druj z ponowieniem prośby.

Odwiedziłem mego kolegę ks. Kanonika Lubiańca. Ten radził i nastawał, abym „przeciwdziałał bolszewickiej robocie klasztoru“, zbudował kościół drugi w Druj, gdzieby mógł kapłan katolicki obsługiwać wszystkich wiernych bez wyjątku. Przytem wytłumaczył, że Arcypasterz nie może mi dać pisemnego upoważnienia do tej akcji, bo OO. Marjanie, bezpośrednio zależący od Rzymu, mogliby tam szargać dobre imię Arcybiskupa.

U ks. posła Nawrockiego, zastałem podkanclerza Kurji i temu okazałem list delegacji parafjan drujskich, zaznaczając, że chciałbym w tej kwestji rozmówić się z J. E. Ten natychmiast zatelefonował do pałacu i Arcypasterz audjencji udzielił.

Po przywitaniu się powiedziałem, — ponieważ wolą W. E. jest abym jechał do Druj, chętnie to uczynię — odbuduję kościoły w Druj i sąsiednich Waranowiczach. Ale jeżeli mam budować w Druj, gdzie mam zamieszkać?—W klasztorze OO. Marjanów, odpowiedział J. E. — A jeżeli OO. Marjanie zechcą mnie szykanować? dodałem pytanie. — Ks. Cikota mówił mi, że w budowie kościoła przeszkadzać nie będzie, — odrzekł J. E.

Takie odpowiedzi Arcypasterza potwierdziły, zdało mi się, Jego życzenia. Znowu udałem się do Ks. Lubiańca, prosząc o radę, wskazówki, jak też mam w Druj postępować. Przedłożyłem moje wątpliwości i obawy, że mogę być przez moich adwersarzy oczerniany,

nawet otruty. Ks. Lubianiec nie zgadzał się z tem ostatniem, lecz poradził wziąć ze sobą wiernego sługę i wskazał na Antoniego, który obsługiwał hotelik księżowski przy seminarjum duch.

Obawiając się, aby nie być w sprzeczności z Rządem, udałem się do Województwa. Przyjął mnie p. Kirtyklis, ale jako kolega ks. Cikoty, widocznie nie chciał tej kwestji poruszać; odesłał do pana Narwoysza. Ten pan dał odpowiedź przychylną i zapewnił, że ma nożyce od tego, gdyby na wypadek gazety chciałyby znowu coś o mnie krzywdząco pisać. Kurja wydała mi celebret i wyraźnie napisała z podkreśleniem, że w całej Archidiecezji jestem upoważniony do spełniania funkcji kapłańskich i mawiania kazań.

Zadepeszowałem tedy do p. Starosty Januszkiewicza, dziękując mu za ofiarowane auto, i odjechałem 12.VI do Druj. Tu spotkała mnie delegacja parafjalna. Udałem się wprost do klasztoru. Podczas kolacji, wobec księży gości, oświadczyłem Ks. Cikocie, superjorowi OO. Marjanów, że „ponieważ parafjanie drujscy prosili mnie o odbudowanie kościoła św. Antoniego a nasze Władze nic przeciw temu nie mają, możeby ks. Superjor uważał za możebne zadośćuczynić temu pobożnemu żądaniu wiernych. Dla większej harmonji i powagi klasztoru jabym tu mieszkał jako gość, budowałiby O.O. Marjanie a jabym tylko kierował budową z ramienia klasztoru“. O. Cikota oburzył się, spisał protokół i zakazał o tem mówić. Odtąd byłem pod ścisłą obserwacją mnichów. Nazajutrz, gdy Superjor mnie nie widział, fukał straż kurytarzową, że spuściła z oka i sam biegał, szukając mnie. Odezwałem się do biegnącego ks. Cikoty. Udobruchał się i pozwolił wyjść ze Mszą a potem spowiadać.

Po Sumie, kiedy spowiednicy opuszczali konfesjonały, poszedłem za nimi do klasztoru. Przy wielkim ołtarzu kilku panów porwało mię pod ręce, lud otoczył i wyprowadzili z kościoła przemocą. Na cmentarzu zwróciłem się do O. Szmulki, by mię bronił, ale ten, widokiem przestraszony, ust nie otworzył. Przy bramie kościelnej zwróciłem się i do komendanta policji, ale i ten z uśmiechem powiedział: „proszę iść tam, dokąd lud prowadzi“...

Na placu przed kościołem wsadzono mnie na wóz umajony, parafjanie, wypręgniwszy konie, sami pociągnęli wóz ku placowi św. Antoniego, podczas gdy orkiestra grała marsza Dąbrowskiego i „Boże, coś Polskę“. Po przybyciu na plac prosili, abym o św. Antonim kazanie wygłosił, a potem przeczytał listę komitetu budowy kościoła. Na prezesa tego komitetu wybrano mnie. Zadośćuczynilem gwałtownej prośbie. Po kazaniu odczytałem listę komitetowych i zapytałem lud, czy wszyscy jednogłośnie ten kościół pragną odbudować? Czy wszyscy obierają te osoby, które są na liście? Przez podniesienie rąk potwierdzili. Jeden tylko ręki nie podniósł, kiedy pytałem o zgodę. Wystawił wtedy, gdy zapytałem: „kto przeciw budowie“. Na

zapytanie, dlaczego on jest odosobnionym, naiwnie wyznał, że klasztor tak mu nakazał. Prezesurę przyjąłem, poleciłem zebrać się na-
zajutrz do roboty i zarządziłem kolektę. Na poczekaniu zebrałem
500 zł., a „Dziennik Wileński” ofiarował 1000 fr. fr.



W dniu odpustu św. Antoniego w Drui lud porwał przemocą Ks. Kanonika
Borodzicza. Na umajonym wozie parafianie drujscy porwanego zaciągnęli
na plac św. Antoniego i wprowadzili na wieżę, gdzie Ksiądz jeniec wygłasza
kazanie 13.VI. 1929 r.

Kiedy wróciłem do klasztoru, zastałem XX. kolegów przy stole. Podczas obiadu zwróciłem się do X. Superjora z propozycją, aby też spisał protokół o porwaniu księdza z jego kościoła. X. Cikota nakazał milczenie. Milczeliśmy wszyscy. Ale to milczenie przerwał sam przełożony, bo zaproponował kwas. Sam nalał szklanki trzem księżom siedzącym na lewo ode mnie, a potem odszedł, przyniósł następną butelkę i moją szklankę płynem nappełnił. Zaledwo jedną trzecią wypilem, gdy uczułem płyn gryzący. Zapytałem, czy nie zaśła pomyłka? Superjor najspokojniej odpowiedział, że to była butelka od chloroformu, a kiedy ks. proboszcz Ikaznieński zwrócił jego uwagę, że chloroformem można otruć, ks. Cikota ironicznie się uśmiechał, ja zaś czułem straszne dławienie, z ócz lały się łzy. Wy-skoczyłem z za stołu, Cikota odprowadził mnie do sąsiedniego po-koju, potrzymał miednicę i ja wszystko to wymiotowałem. Po tej szychanie udałem się do p.p. Janczewskich, prosiłem o zsiadłe mleko. Tu doznałem ulgi.

Nazajutrz ludzie tłumnie przybyli do roboty. Odkopaliśmy fun-
damenty kościoła św. Antoniego i drugiego kościoła M. B. Różań-
cowej. Pierwszy był spalony a drugi przez moskali dynamitem ro-
zerwany. Przybył, posłany przez p. Wojewodę, konserwator, oglądał

wszystkie ruiny, prosił o dalsze odkopywanie i odkrycie drzwi, pro-
wadzących pod Dźwiną na wyspę i do Łotwy, t. j. dawnych pod-
ziemnych tajników. Dowódca pogranicznej straży, kapitan Rafalski
obiecał dać łódź do zwożenia grantu i drzewnego materiału Dźwiną,
ziemianie ofiarowali drzewo a lud dopytywał się (nietylko parafianie
Druj, ale i z sąsiednich parafji), kiedy ma zwozić owe materiały
i zacząć wznoszenie świątyni. Nazajutrz X. Cikota okazał mnie de-
peszę Arcybiskupa, polecającego zastosować się do wskazówek
X. Cikoty.

Mając czas i potrzebę zrobienia klisz do odezw, pojechałem
do Wilna. Spotkałem się z księżmi — wszyscy byli tegoż zdania,
że jest najbardziej potrzebnym kościół w Drui i pomimo
depesz J. E. winienem być w tym kierunku, t. j. budowy działać.
Potrafili przekonać, że nie wszystko Arcypasterz, przy danych oko-
licznościach, jawnie mógł powiedzieć. Wróciłem do Drui, zebrałem
komitet, uradziliśmy budować kościół w lesie drewniany, aby go
nocą przewieźć a tem samem uniknąć przeszkód mnichów i stada
dewotek „sui generis”, które są do usług klasztoru, nietylko w roz-
noszeniu zleceń Marjanów i propagandy w czasie wyborów na rzecz
„18”, ale te podjudzały kogo mogły i oświadczały, że gotowe są kłaść
się pod koła, gdyby parafianie zwozić chcieli materiał na budowę drugie-
go kościoła. Na opłacenie cieśli, wszyscy opodatkowaliśmy się i kto co
mógł ofiarował. Kościół był na ukończeniu w kilka tygodni potem
i kiedy w Miorach zapowiedziałem jego przewiezienie, moi Mioranie
chętnie do lasu pojechali. W tymże międzyczasie X. Cikota zaprze-
dał plac po-kościelny. Ażeby do zraty św. Antoniego placu nie
dopuścić, Drujanie w nocy postavili krzyż i posłali do różnych
instytucji protesty. X. Bobicz nadesłał mi odpis listu z Kurji:

„Do Księdza Dziekana Ildefonsa Bobicza w Hermanowiczach...
Niezgodne z prawdą oświadczenie ks. Kanonika Józefa Borodzicza,
jakoby przybywał w Drui z upoważnienia P. Wojewody lub J. E. Ks.
Arcybiskupa Metropolity, jest ze wszechmiar karygodne i zasługu-
jące na surowe napiętnowanie. Wtrącanie się Księży do zarządu
w obcych parafjach pociągnie za sobą kary kościelne.

W/z Kanclerza Kurji (—) Ks. St. Tracewski.”

Po takim „dictum acerbum”, jakkolwiek rozumiałem, że ten
list Ks. Bobicz otrzymał od ks. Tracewskiego, niedoświadczonego i nie-
znającego stosunków kresowych, ani szkodnictwa klasztoru w Drui
i napewne bez konsensu J. E., to jednak, ponieważ Ks. Dziekan
oficjalnie tego się domagał, a narazie z Kurji innych wiadomości nie
miałem, zrezygnowałem z dalszej mojej akcji, o czym Ks. Kanonika
Lubiańca listem zawiadomiłem. Wobec powyższego listu Komitet
i ja zdecydowaliśmy pozostawić kościół zbudowany w lesie, jako
„signum temporis” i dowód zachłanności Marjanów w Drui, do

czasu aż parafianie uwolnią się z pod ich opieki szkodliwej. Prosił miorski proboszcz, aby go oddać na plebanję do Zastarzyńców i innych zbudowanych przez mnie kościołów w 1927 r. Ks. Szmulka nie omieszkał z ambony przekonywać lud, że „ks. Borodzicz, to djabeł w sutannie”. Słuchacze z oburzeniem odparli. „Nie ten djabeł kto kościoły buduje, ale kto przeszkadza w budowie”.

Oświadczyłem ludowi, że pilno mi jest odjechać do Waranowicz.

Nigdy nie zapomnę mego pożegnania z OO. Marjanami. Gdy o. Cikota okazał mi depeszę i odpis listu X. Tracewskiego. Udałem się do klasztoru, by zabrać stamtąd me ubranie i torebkę. Gdy mnie dostrzegł o. Hermanowicz, natychmiast zadzwonił na alarm. Otoczyli mnie mnisi z o. Cikotą na czele. Na jego skinienie, widocznie jako superjora, zaczęli każdy po swojemu i jak kto umiał lżyć mię i przed twarzą wymachiwać pięściami. Pobożni ci „rycerze” w takim byli podnieceniu, iż lada chwila oczekiwałem, że mnie uderzą. Mimowoli poczułem się wśród nich, jak musi się czuć koń opadnięty przez stado wilków. Ratowałem się jedynie przypomnieniem im, że za uderzenie kapłana grozi ekskomunika. Słowa te podziały magicznie i pięści ks. Cikoty i jego drużyny natychmiast opadły.

Ogromnie byłem zdziwiony, dostrzegłszy wśród podniesionych na mnie rąk i chudą, żylastą pięść o. Vitalisa, którego wielce dotąd ceniłem za okazywaną przez niego pokorę i gorliwość religijną. Wszystko przemawiało za tem, że pięść stała się symbolem OO. Marjanów drujskich.

Tegoż dnia przebyłem Dźwinę a temsamem granicę polsko-łotewską, gdzie Waranowiczanie wzniesli na powitanie bramy tryumfalne, chlebem, solą i mowami mnie powitali.

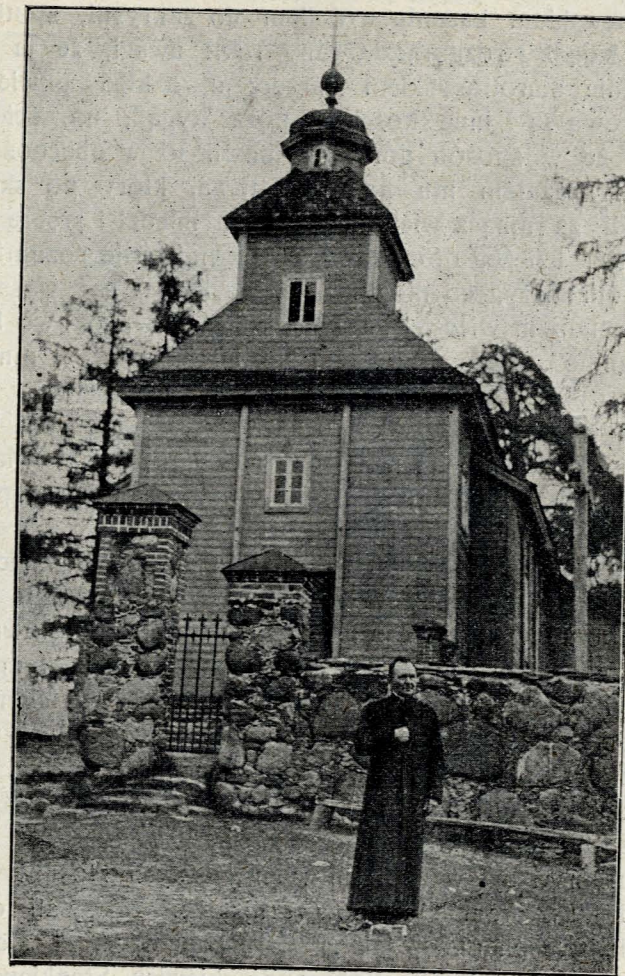
Waranowicze.

Ucieszyłem się niemało widokiem i serdecznością moich rodaków zagranicą, których los pokrzywdził ciężko, bo Ryski traktat przełożył granicę, rozcinając żywe ciało Polski. Parafia długo była bez księdza, zawiadywał nią proboszcz sąsiedniej Indryckiej parafji.

Długo nie mogłem zorientować się, kto właściwie jest Ordynariuszem Metropolii Ryskiej. Miałem nominację od J. E. Arcybiskupa Szpringowicza. Ale kiedy zjechałem do Waranowicz, ks. Kurlański mówił, że Ks. Arcybiskup jest chory, że nie lubi księży, nie przyjmuje, że wszelkie sprawy załatwia tylko ks. Biskup Rancan. Kiedy odjechał ks. Kurlański, dostałem pocztówkę z napisem: „poufne” i tekstem maszyną pisany z podpisem „Kurja”. W pocztówce autor prosił, aby się modlono za J. E. Arcybiskupa Szpringowicza, który rzekomo zmarł...

Udałem się do Dyneburga i tam od księży dowiedziałem się,

że niektórzy księża rozpolitykowani, starający się o względy luteranckich Łotyszy i pragnący utrzymać się i nadal w parlamencie i senacie, podkopują władzę prawowitą a popierają J. E. Biskupa Rancana, senatora. Oczywiście, warchołów tych jest garstka, do któ-



Parafjalny kościół w Indrycy
i Ks. Stanisław Kurlański.

rych należy i kilku litwomianów i rusomanów, oddających niedźwiedzie usługi nie tylko J. E. Biskupowi Rancanowi, Łotwie, Litwie, ale i Kościołowi.

Arcypasterz traktuje ich po-ojcowsku, a ci Jego dobroci nadużywają. Drugiego „patryotę” litewskiego „sui generis” poznałem przypadkowo w Rydze. W celu kwesty przybyłem do PW. Ks. Wołowicza, znanego mi jeszcze z przed lat 40-stu kapłana. Po-

zwolił mi zbierać ofiary podczas uroczystości św. Franciszka w jego parafji, i wygłosić kazania polskie i litewskie, abym mógł w paru słowach o Waranowiczach przemówić. Trzecie kazanie powiedział ks. Łotysz, ja zaś dodałem po łotewsku wyjaśnienie, w jakim celu zbieram ofiary. Wszystkie narodowości złożyły mi około 965 łt. Kiedy po litewskim kazaniu wróciłem do zakrystji, spotkał mnie jakiś młody ksiądz i rozgorączkowany robił uwagi, że ja śmiałem mówić kazanie starolitewskim narzeczem, a kiedy powiedział, że „tą samą krową są i inne kościoły poza Rygą“, nie ścierpiełem, tembardziej, że w sposób gorszący mówił to w obecności służby kościelnej. Wskazałem mu na zakrystjana, który po skończonej kweście szedł za mną z wielkim workiem miedzi i srebra i powiedziałem: patrz, księżu, oto dowód, że Litwini mnie rozumieli, ofiarowali na dom Boży, co mogli. Ale, że ksiądz nazywasz Kościół krową, to chciałbym wiedzieć czy nie jesteś przypadkowo bolszewikiem w sutannie“. I nie pomyliłem się, bo istotnie był nim ks. Jodowalkis, znany agitator, szkodnik Litwy i wywrotowiec.

Pod względem oświaty tak Waranowicze, jak i Indryca były najuboższe. Opieka duchowna nad jedną i drugą parafją była powierzona ks. Kurlańskiemu, który, przejęty indywidualnym superpatryotyzmem wolał wszystko co polskie rusyfikować, lub litwanizować, niż tolerować. Z tego powodu w szkołach dzieci nie katechizował; przeciwnie, dbał o to, ażeby w szkołach byli nauczyciele rasyfikatorzy, przy pomocy których polskich nauczycieli bojkotował. W parafji Indryckiej, w porozumieniu z komunistycznym posłem Pigulewskim, założył szkołę rosyjską w Horowych z nauczycielem eksklerikiem i komunistą Daleckim i użył całego swego wpływu, żeby zniszczyć szkołę polską w Juchnikach, usunąć nauczycielkę. W szkole Waranowickiej ks. Kurlański podobnie nie katechizował dzieci, jak nie katechizował ich w kościele.

Ks. Kurlański był w dobrych i przyjaznych stosunkach z ks. Bobiczem i klasztorem Marjanów drujskich. Nadsyłali oni jemu nie tylko plugawe piśmidła, jak „Bielaruskaja Krynica“, ale i różne bibuły, które redagowali XX. Bobicz, Zienkiewicz, Stankiewicz i Marjan drujscy. Nic więc dziwnego, że na Inflantach zastałem zmianę na gorsze do niepoznania.

Na szczęście ks. Kurlański prosił mnie o zastępstwo w jego parafji i sam odjechał do Kowna i Rzymu. Gorąco polecał mi mawiać kazania Litwinom. Nie wiedział on, że ja nie jestem szowinistą. W dzień św. Jana z ambony w Indrycy powiedziałem, że jestem księdzem katolickim i dla wszystkich katolików bez różnicy narodowości oddany. Przygarnęli się do mnie wszyscy. Waśnie narodowościowe ustały, a Polacy i Litwini jak bracia i siostry udawali się razem z pielgrzymką w uroczystej procesji do Krasławia, Przy-

drujka i dalekiej Agłony. Dwie moje parafje, jakby złąły się w jedno. Miłość braterska zapanowała i każdy z nich czuł się szczęśliwym.

W pierwszą niedzielę po kazaniu zebrałem na cmentarzu parafjan i długo naradzaliśmy się; lud słuchał moich racji przystąpienia do budowy zaraz i oświadczył, że będzie posłuszny. W pierw-



Plan budującego się kościoła pod wezwaniem Serca Jezusowego w Waranowiczach, poczta Krasław.



Najśłodze Serce Jezusa, zmiłuj się nad nami.

Najściszej prosimy Przewielebny Kler, Władze Państwowe i wszystkich, kto może, udzielić i wpisać na listę niniejszą, chociażby najdrobniejszą ofiarę na budowę Kościoła w Waranowiczach.

Przed 25 laty, s. p. Ks. Gungis zbudował tu fundamenty. Parafja, wielka przestrzeń, małodudna, bo ma bardzo piaszczystą glebę i co roku nieurodzaj jest przyczyną głodu. Biedni Polacy, Łotysze i Litwini nie byli w stanie, o siłach własnych dalej budować zaczętej świątyni, a stary kościół tak jest zbitwały, że księża i lud boją się tam wejść. Z tego przyczyną parafja Waranowicka od kilku lat jest bez proboszcza.

Nie dziw, że po wsiach agenci bolszewicy szerzą obecną „raj“ bolszewicki, ruszając go i podaj. Jak wiele Waranowiczanie pragną zbudować kościół, niech mówią za nich ich czynności: 15. VI. 1929 r. przybyłem do nich jako proboszcz. Nazajutrz, zgodnie z ich życzeniem, zapowiedziałem budowę im kościoła i że mają składać na ten cel ofiary i wóże materiały. Plakali z radości. W ciągu trzech dni złożyli 500 łt i za tydzień zwiezieli 3000 wózków budulcu... Zapelnili piekarnię różnymi mebelkami i wiktalami, chociaż sami od głodu niektórzy puchną...

Udałem się do Rygi, opowiedziałem J. E. Arcypasterzowi wrażenia moje w tej parafji. J. E. dał łaskawie swe błogosławieństwo i zezwolenie zbierania ofiar całej Archidiecezji na budowę kościoła w Waranowiczach. Odwiedzałem fabryki cementu, żelaza, ale cóż, kiedy na kupno materiałów niezbędnych, muraży i stolarzy potrzeba około 30000 łt.

Potrzeba więc zebrać i błagać Społeczeństwo, by nam dopomogło i raczyło nadesłać zapomogę w miarę możliwości, gdyż pragniemy tego roku mieć świątynię. Kościół ten budujemy pod wezwaniem Serca Jezusowego i temu Sercu będziemy codziennie w Mszy św. polecać naszych Dobrodziei.

Zbierając ofiary prosimy wyraźnie wpisywać imię i nazwisko Ofiarodawców i przy odesłaniu ofiar wskazać adres zbierającego.

Ofiary prosimy wysyłać pod adresem: „Ks. Kanonikowi J. Borodiczowi, pastre Kraslaw“, lub „PW. Ks. Dziekanowi pastre Kraslaw“. Listę zaś z adresem wysyłającego i imionami Ofiarodawców proszę wysyłać pod adresem: Ks. Kanonikowi J. Borodicz. Po odebraniu listy wysłamy zbierającemu podziękowanie i pokwitowanie, a także obrazki dla każdego Ofiarodawcy. Zapisane ofiary każdy b. mógł sprawdzić w księdze. Zbudujemy kościoły: w Zosłach, Kluszczańach, Miorach, Rubinsku, Leonpolu, Bobolowie, Połazni, Bogudziekach, Zastarzynach, San Remo i nie wapię, iż nasze katolickie Społeczeństwo dopomogę zbudować i ten na Łotwie kościół dwunasty, a da Bóg, że ta świątynia za kilka miesięcy będzie chlubą Katolicyzmu na Łotwie, a też Waranowiczom otarę.

Kto prędko daje, podwójnie daje!
Bóg zapłać!

Ks. Kanonik Józef Borodicz, proboszcz.
Wiceprezes Wł. Saulewicz.
Szkarnik Mieczysław Zołnierowicz.

Widok nowego kościoła żelazo-betonowego w Waranowiczach, wzniesionego wyłącznie przez parafjan bez pomocy muraży. Obraz Serca Jezusowego malowany przez znakomitą malarzkę pannę Helenę Drancenównę. Odezwa ks. Kanonika do społeczeństwa, które nadesłało ofiar około 14.000 łt.

szym tygodniu każdy gospodarz zwiózł po 20 wozów grantu, co nagromadziło około 3.000 wozów. Zebranych na poczekaniu około tysiąca zł. p. (500 łt) pozwoliło czynić starania i usuwać przeszkody. Ponieważ parafja, b. biedna po wojnie i latach głodowych, nie była w stanie zdobyć się na kupno cementu i żelaza, więc udałem się do J. E., prosząc o pozwolenie kwestowania.

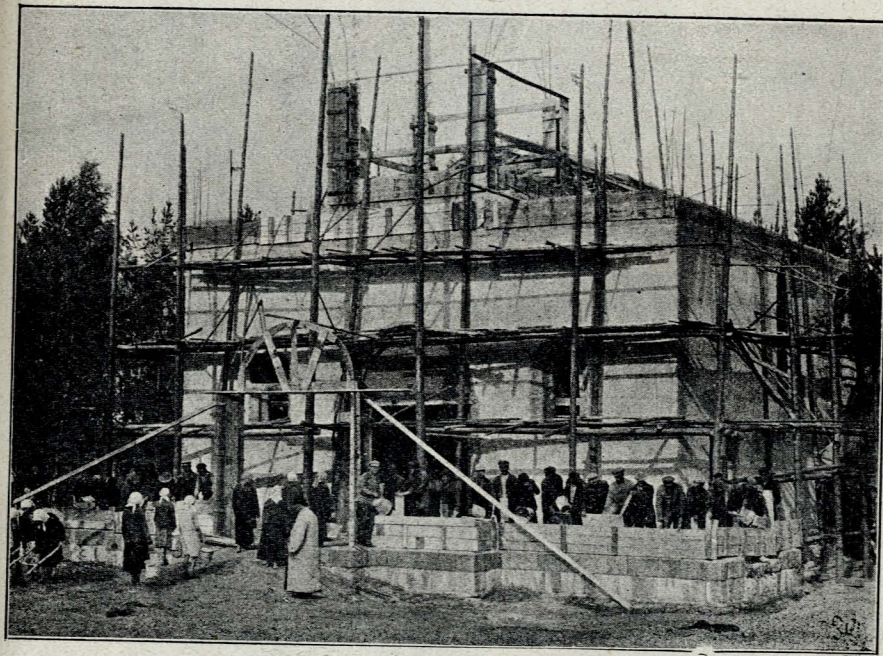
Wydrukowałem kilka tysięcy odezw i rozesłałem do różnych

osób. Miesiąc cały nikt się nie litował. Wtem nadeszła 92 łąty szkoła panien w Rydze pod kierunkiem p. Ostrowskiej. Zaczęły wpływać ofiary, a ja, pełen ufności w Opatrzność Boską, śpieszyłem przygotować plany, przedłożyłem je Ministerstwu S. W. do zatwierdzenia i takowe, ku memu radosnemu zdumieniu, p. Buczyński Antoni w 15 minut zatwierdził. Mogłem we wrześniu rozpocząć budowę. Nie miałem jeszcze zebranej sumy na zapłacenie coś koło siedmiu tysięcy, złożyłem więc kaucję własnych trzy tysiące fr. szwajcarskich. Ryga natychmiast wysłała dwa wagony cementu i żelaza. Po paru dniach moi Waranowiczanie zakasali ręce do pracy: zakładali formy a parafjanki miesiły piasek-grant z cementem, nalewały do form tak, że mury kościelne codziennie podnosiły się o pół metra wyżej. Kiedy nadeszły wagony cementu, parafjanie sąsiedni pomogli zwieźć.

Były przerwy: cement w czas nie nadchodził, musiałem jeździć do Rygi, przynaglać do niezwłocznego wysłania. Podczas jednej z podróży, w pociągu podchodzi do mnie dyrektor banku i podaje gazetę, w której socjaliści krytykowali moją odezwę i grozili sądem za zbieranie ofiar na listy przez rząd nie zatwierdzone. Odwiedziłem p. Wierzbickiego, wiceministra i Rozkosza. Ci ułatwili mi wszystko i obiecali przesłać dokument do J. E. biskupa Rancana. Urzędnik ministerjum p. Wilde okazał się bardzo nieżyczliwym Kościołowi, jako socjalista, zaczął mi mówić w takiej formie, w jakiej mówił do żołnierzy. Zwróciłem jego uwagę wobec p. Ministra, że ja tu przybyłem ułatwić obywatelom Łotwy, ludziom b. biednym, budowę kościoła i że on powinien mi dopomóc a przynajmniej być bezstronnym. Stał się grzeczniejszym i tegoż dnia obiecał wysłać ów list do Kurji. Ponieważ Kurja obiecała wysłać zaraz po odebraniu zatwierdzenia listy ofiar, pośpieszyłem do Waranowicz i znowu cement i grant były w robocie. W ciągu tygodnia owe listy nie nadeszły. Udałem się tedy do ks. Biskupa Rancana z prośbą o przyspieszenie. Powiedział on, że jeszcze pozwolenia niema, ale gdy je okazałem, wyjaśniał, że za takie listy on jest odpowiedzialny i dlatego odpisów list nie daje. Chcąc przekonać, mówiłem mu, że lud waranowski jest biedny, pilne, abym w czasie moich wakacji zbudował kościół, bo inaczej zostanie bez kościoła, że kościółek jest stary, wałczy się, że Pasterz powinien pomagać, a nie przeszkadzać, że tam Polacy są zasłużeni dla Łotwy i że pod fundamentami kościoła odkryłem przy kopaniu wiele grobów żołnierzy w mundurach polskich i z Białym Orłem na guzikach. Narazie X. Biskup zaprzeczył mówiąc, że nigdy i nikt nie walczył o wolność Łotwy na ziemi łotewskiej, lecz że sami Łotysze ją zdobyli. Żartobliwie klasnąłem Mu po rękę i potem ją pocałowałem, mówiąc, że ta ręka dla mnie jest zbyt twardą. Roześmiał się i powiedział, że podpisze owe listy, ale na ich sporządzenie potrzeba miesiąca czasu. Poprosiłem tedy Kurję o formułkę, jako też i Prefekturę, zawiązałem je

do drukarni i w pół godziny miałem gotowe listy. J. E. polecił X. Kanclerzowi podpisać je; potem udałem się do Prefektury. Tam zastałem Prefekta w osobie p. Symonowicza, ongi mego dobrego sąsiada, który był w Dziśnie sprawnikiem b. lubianym przez nas. Ten posadził czterech urzędników do podpisywania, a w godzinę wracałem do Waranowicz z listami zalegalizowanymi.

W Krasławiu urzędnik policyjny zaprosił mnie i pokazał foljał różnych papierów, wraz z denuncjacją do prokuratury o wspomnianej pierwszej liście. Okazałem mu listę urzędową, wyjaśniłem rzecz, a po paru tygodniach prokurator zawiadomił, że sprawę umorzył i radził zaskarżyć zawiadowcę poczty w Rydze, który otworzył jeden z moich pakietów i do niego z odezwą skierował. Odpisałem p. prokuratorowi, że jako ksiądz i gość Łotwy, przebaczam ten nietakt. Jednak prokurator pociągnął pocztarza do odpowiedzialności karnej i z posady usunął.

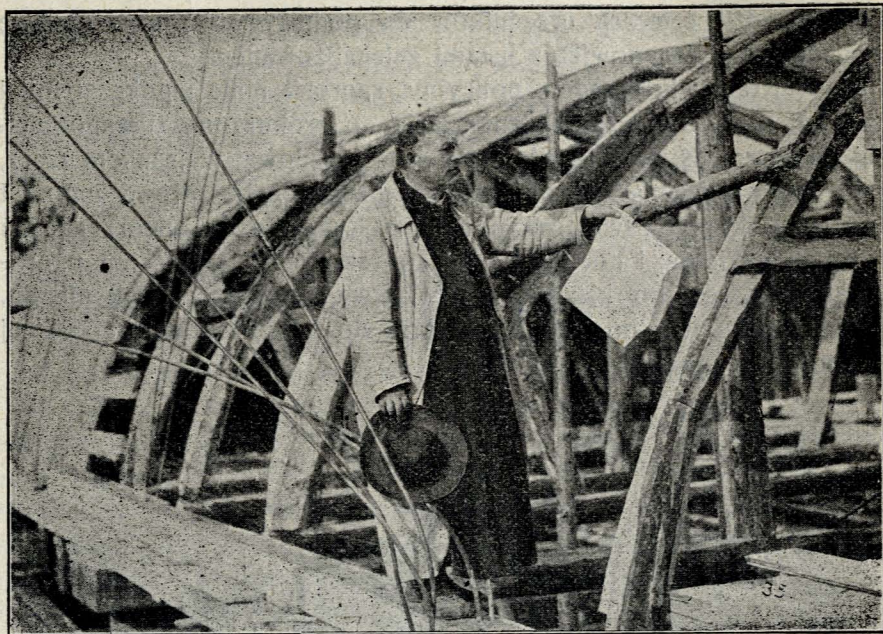


Nalewanie cementu do form przez parafjan przy budowie kościoła pod dykcją Ks. Kan. Borodzieza.

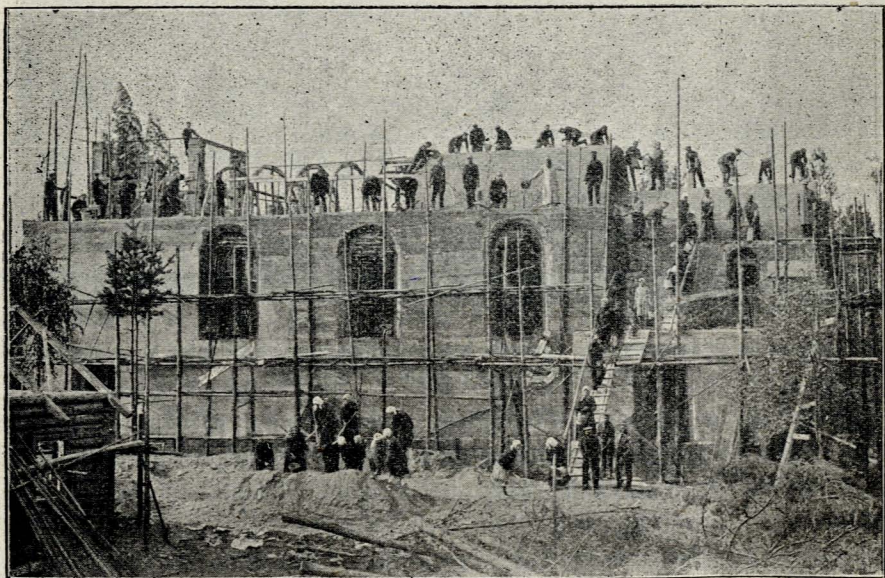
Miałem wprowadzić architekta p. Pawłowa, który plany zrobił i urzędowo je podpisał, ale zanic do budowy zwabić go nie mogłem — nie znał się na robotach żelazo-betonowych i lękał się odpowiedzialności. Sam więc musiałem być na straży i kierować całością budowy.

Gdy roboty szły prędko i dobrze, a byliśmy już ponad oknami, zawiadomiłem Ministerjum i Episkopat o stanie budowy, że w dniu

3-go listopada kościół ma być poświęcony i że na tą uroczystość zapraszam J. E., jak również na odsłonięcie pomnika poległych żołnierzy polskich.



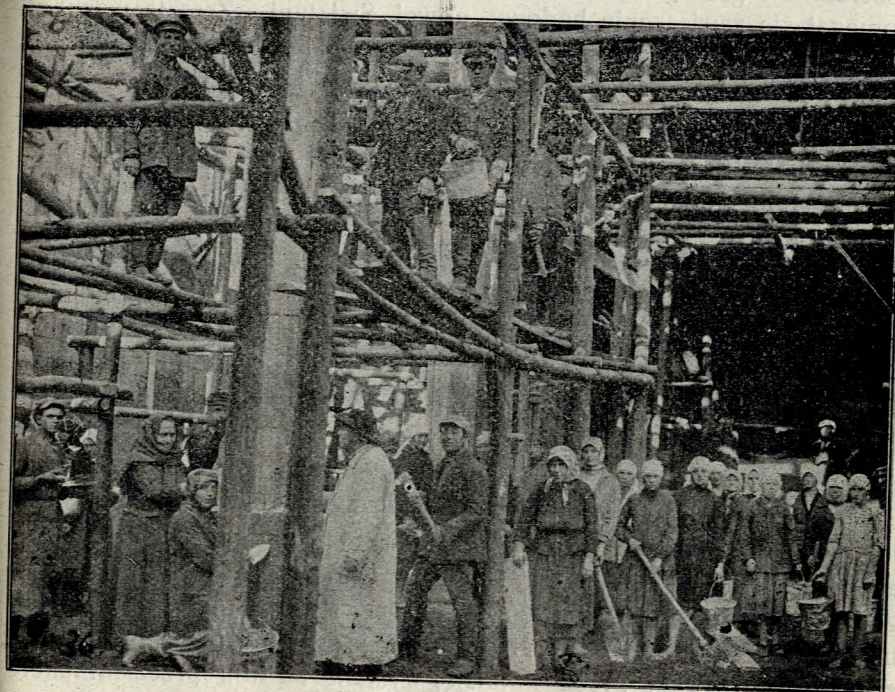
Ks. Kanonik Borodzicz studjuje zalewanie żelazo-betonowego sklepienia na kościele w Waranowiczach.



Moment zalewania sklepienia kościoła w Waranowiczach.



Parafianie Waranowiccy wylewają z żelazo-betonu mury kościoła.



Parafianie Waranowiccy tynkują sami mury kościoła.

W tydzień później zjeżdża architekt powiatowy p. Fejzak, znany polakożerca i fanatyczny socjał. Dowiedział się on przy kartach w Brasławiu od ks. Kurlańskiego, bardzo niechętnego budującemu się kościołowi, że ja rzekomo buduję gmach zbyt pobieżnie, po dyletancku i bez architekta. P. Fejzak obejrzał budowę i oświadczył mi, że każe jej zaniechać, uważając ją za technicznie niebezpieczną. Zwróciłem mu uwagę, że żelazo-betonowe gmachy są o wiele bezpieczniejsze i trwalsze, niż jakiegokolwiek inne i, że zagranicą budują drapacze nieba li tylko przy pomocy konstrukcji żelazo-betonowej, a na Rivierze, gdzie jest ciągła obawa trzęsienia ziemi, wszystkie domy i sufity, jak i mój kościół i willa w San Remo są żelazo-betonowe. P. Fejzak pojęcia nie miał o tego rodzaju budowie. Odprowadzał mnie kilka razy od świadków rozmowy i dawał do zrozumienia, że zawieszenie robót odeń wyłącznie zależy. Z oburzeniem odparłem, że uczciwy człowiek nie może być dwulicowym: jeżeli budowa jest złą, winien temu zapobiedz zaraz i zawiesić, ale jeżeli jest dobrą, jak ta, nie wolno mu myśleć inaczej.

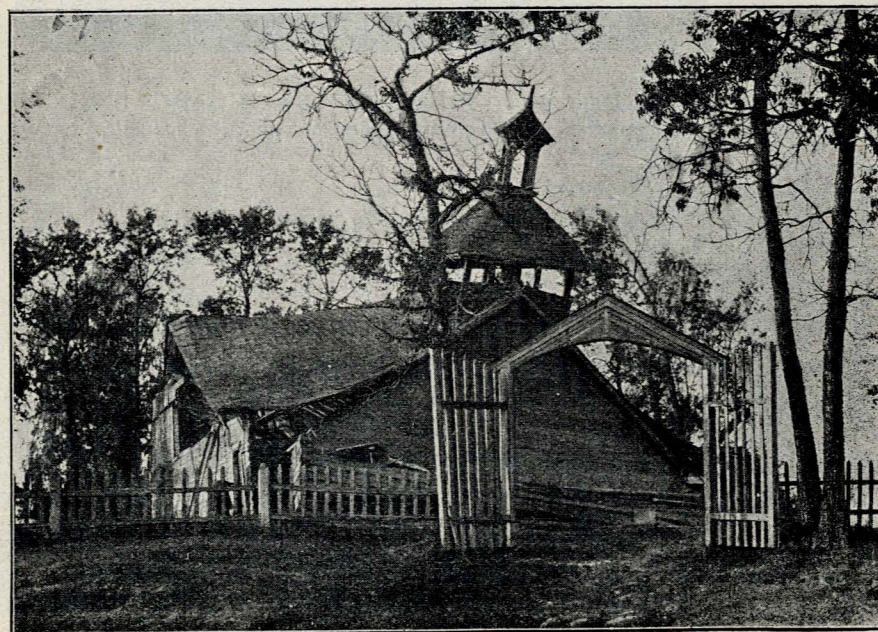
Po jego odjeździe nazajutrz runął stary kościół. Tą nowiną ucieszyłem się bardzo, bo rozbiórka jego miała być dokonana w październiku. Zgniła budowa przy rozbiórce często bywa niebezpieczną. Rozumiałem też, że to mi przyspieszy budowę nowego kościoła a i p. Fejzak będzie miał mniej posłuchu, w razie gdyby domagał się zawieszenia budowy nowej Świątyni. Zresztą wyznam, runięcie starego kościoła, podobnie jak w Miorach, nie było dla mnie niespodzianką. Przen. Sakrament wyniosłem zawczasu.

Urządziłem więc 29 września najuroczystsze ceremonialne przeniesienie Najświętszego Sakramentu i sprzętu z ruin starego kościoła. Sz. Czytelnik z załączonych fotografii łatwo wyczyta szczegóły tej niezwyklej uroczystości.

P. Fejzak, który tyle narobił mi przykrości, więcej się nie pokazał, ale przypominał mi okrutnego Moszarę, który podobnie groził i doprowadził mnie do tego, iżem stary kościół w Miorach zawalił. Był tu w sąsiedztwie ateusz, niejaki Krum. Pewnego razu w szkole okazał on dzieciom psa zdychającego i powiedział, że dzieci nie dostrzegą duszy wychodzącej, bo ani pies, ani człowiek duszy nie ma, — a dusza, to jest czczy wymysł księży polskich Biedni Waranowiczanie przerażeni taką doktryną, jak również ciąglem pijaństwem Kruma, przez dwa lata robili starania o usunięcie go, a ponieważ odczytałem list pasterski, w którym Arcybiskup Szpryn-gowicz zakazuje rodzicom posyłać dzieci do takich nauczycieli, uchwalili w gminie usunąć Kruma ze szkoły. Kiedy zostali w tej sprawie zawezwani przez komisję, wysłaną ad hoc przez Ministerstwo dla śledztwa, okazała ona świadectwo wydane Krumowi, iż ten

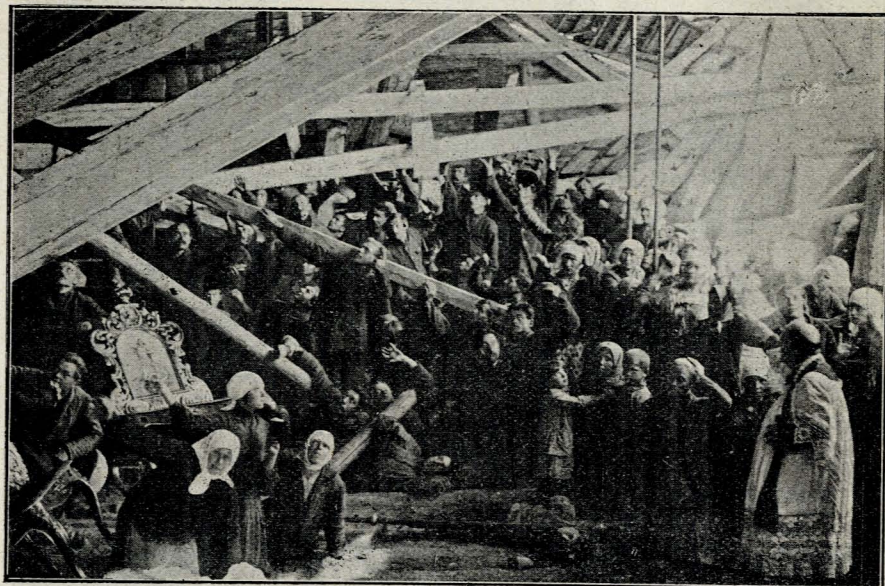


Tartak dla zagatawiania desek etc. przy budowie kościoła w Waranowiczach.



Zawalony stary kościół w Waranowiczach.

jest rzekomo moralnym. Otóż była i dla mnie takiego rodzaju obrona arcydziwną, bo wiedziałem dobrze, że Krum jest nie tylko nałogowym pijakiem ale i degeneratem, poza tem ja tylko mogłem świadczyć o jego moralności, jako proboszcz i najbliższy sąsiad, nigdy zaś proboszcz parafii obcej, ks. Kurlański. Krum pozostał dalej, chociaż go katolicy bojkotowali. Ten sam Krum dzieci polskie, litewskie



Ks. Kan. Borodzicz udziela generalnej absencji podczas runięcia Kościoła w czasie nabożeństwa. Widok odtworzony na tle ruin kościoła.

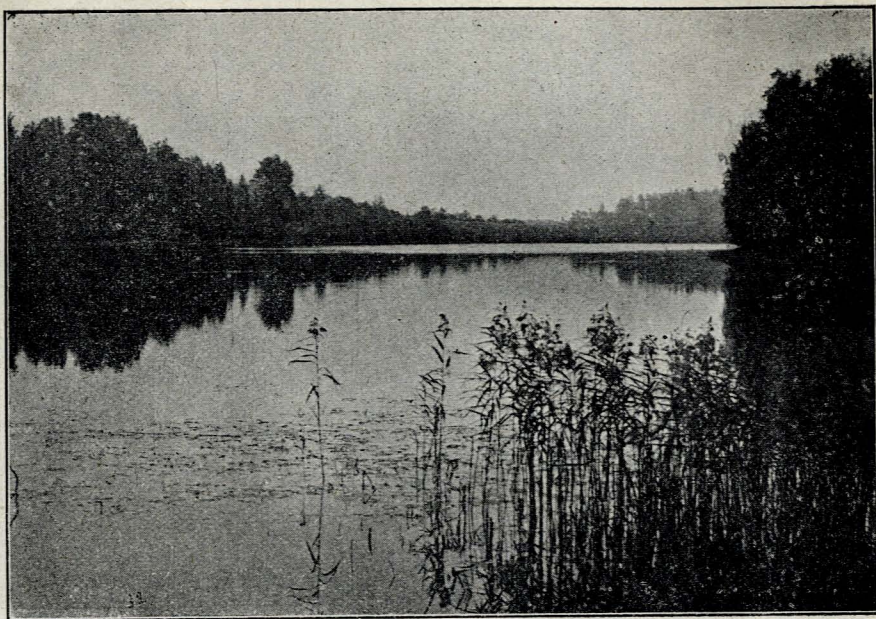
i łotewskie po rosyjsku nauczał i przez to zwrócił na siebie uwagę szowinisty ks. Kurlańskiego, który nie tylko lud rusyfikuje, przemocą do aktów zapisuje Białopolaków jako Białorusinów i tylko po rosyjsku do nich mówi. Waranowiczanie z trudem pozyskali nauczycielkę Polkę. Ta wiele dobrego czyniła i ponad siły dzieci i lud odruszczała. Pp. Krum i ks. Kurlański usunęli ją prędko z Waranowickiej szkoły. Kiedy już mam mówić o krzywdach Polaków w parafiach Waranowickiej i Indryckiej, nie mogę pominąć i tego, że tenże proboszcz z Indrycy zawarł przymierze ze swoim partnerem od kart, komunistą Pigulewskim i ekslerkiem Daleckim; założyli oni szkołę w sąsiedztwie szkoły naszej; robili różne przykrości nauczycielom szkół innych, pragnąc zbojkotować je, raczej zamienić na komunistyczne, niż dać możliwość uczenia dzieci w języku rodzimym. Pewnego razu ci „towarzysze” nasłali na ludzi pracujących swego agitatora, który



Lamentacja Ks. Kanonika Borodzicza po katastrofie, Widok odtworzony na tle ruin.



Waranowiczanki wija wieniec do ozdoby kościoła w przeddzień przeniesienia N. Sakramentu i sprzętu ze starego do nowego kościoła. (29.X. 1929 r.).



Widok Dźwiny, na brzegach której poległo wielu żołnierzy polskich w potyczkach z bolszewikami, padł tam m. i. ś. p. Ignacy Markowski z Wilna. Wszyscy są pogrzebani pod nowym kościołem w Waranowiczach nad Dźwiną.



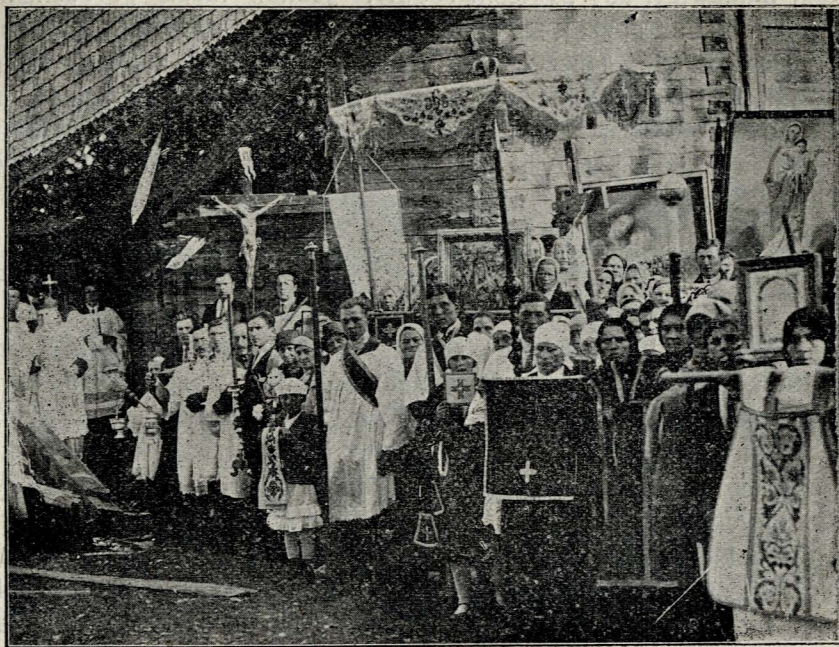
P. Helena Drancenówna i jej uczennice w Dyneburgu.

zaczął namawiać, aby zawiesili roboty. Jednak ludzie poradzili mu zmykać, aby nie doszło do kija. Drugim razem zjawił się przy budowie kościelnej — tenże Dalecki, poszedł kryć dach; zapytany odpowiedział, że i on chce na ofiarę pracować. Po chwili usłyszałem, że zaczął oświecać po rosyjsku moich parafjan, iż są Białorusinami, iż powinni wyzbyć się wszystkiego, co nierosyjskie i że Sowiety, Litwa i Niemcy dopomogą do wyzwolenia się ich z pod jarzma Łotwy. Napędziłem agitatora.

Po wizycie p. Fejzaka odwiedził mnie X. Kurlański, pytał, co mówił mi Fejzak, ale niczego się nie dowiedział.

Poszedł tedy do swego Kruma, a po jego wizycie Krum groził Waranowiczanom, że wkrótce zjedzie policja i zawiesi budowę. Siane przezeń kłamstwa, jak i to, że X. Kurlański powstrzymał swych parafjan, aby szli do pomocy i ofiar na „polonizatorski” kościół nie składali — to wszystko wiele mi dopomogło: lud z parafji Indryckiej, Brasławskiej, Przydrujskiej i Nejbornskiej zjeżdżał na robotę, a kiedy tam zjawiłem się na odpusty — składał mi hojnie ofiary. Przy pomocy swoich kwestarzy i sam zebrałem około 10.000 łąt, zwłaszcza z Rygi, na skutek moich odezw około 4000 łąt. Kościół ogromny i wieża 30 metrowa były gotowe do listopada. Pozostawały tylko do zrobienia podłogi i wieża. P. Fejzak i inni bruzdzić nie przestali, ale i to wyszło na dobre dla Waranowiczian. Ministerjum opinię Fejzaka zakomunikowało Kurji. Ta zawezwała mnie z planami do Rygi. Okazałem zdjęcia fotograficzne całej budowy i plany, wyjaśniłem, że chociaż parafjanie murują sami bez żadnego fachowca, bo na to ich nie stać, to jednak ja czuwałem i kierowałem robotami tak, że całkowicie się udały. Wysłała tedy Kurja swego architekta dla zbadania robót. Ten, gdy zjechał, został trzy dni i radził wstrzymać się z budową wieży i zalewaniem sufitów. Widziałem, że jemu tego rodzaju konstrukcja była nieznaną. A że sypiał zadługo, więc sufity setka ludzi zdążyła na pomostach pokryć siatką i zalać cementem. Gdy zastał popołudniu nawpół gotowe, zdziwiony pośpiechem i trwałością, zmuszony był patrzeć na istne mrowisko ludzi przy zalewaniu dalszem. Na drugi dzień wyrosła wieża o dalsze metry trzy, dalej codzień rosła, a w parę tygodni, t. j. na dzień Wszystkich Świętych był kościół wykończony, wytynkowany całkowicie wewnątrz i na zewnątrz. Brakowało tylko podłogi.

Wtem zjechał pomocnik sprawnika i oświadczył, że Ministerjum pozwala na wyświęcenie kościoła, ale pod warunkiem, że pomosty zostaną przez zimę w kościele, a ponieważ te już są wyjęte, kazano ludu do kościoła nie wpuszczać. Oświadczyłem tedy, że pomostów żadną miarą z powrotem wnieść nie mogę, bo ani czasu, ani materiału nie mamy, a przytem na całą Europę prasa wy-



Wynoszenie przedmiotów kościelnych z ruin kościoła i przenoszenie ich do nowego kościoła w Waranowiczach. Część pierwsza.



Część druga.



Część trzecia.



Procesjonalne przenoszenie wszelkich przedmiotów kościoła Waranowickiego do nowego o 5 klm. odległego. Chwila opuszczania cmentarza starego kościoła.

śmieje głupotę łotewskich architektów, którzy nie znają żelazo-betonu; poza tem przytoczyłem opinię p. Komisarewa, architekta - inżyniera forticy Dyneburskiej, który wizytował po Fejzaku mój kościół i uznał, że tak mocnej budowy w Łotwie jeszcze nie widział i że



Dziady Kościoła Waranowickiego uruchamiają dzwony na wozie podczas procesji przy przewożeniu ich ze starego do nowego kościoła.

tylko w Niemczech w ochronach frontowych tego sposobu budowy używano. Prosiłem o zakomunikowanie p. Ministrowi, że budowa jest całkowicie wykończona, że lud z całej Łatgalji i Polski na uroczystość napływa, bo i prasa obwieściła, że trzeciego listopada ma być poświęcony kościół i odsłonięty pomnik; że gdyby p. Minister nie zmienił zarządzenia, mógłby mieć w konsekwencji tragedję, jak ongi w Krożach. Pośpieszyłem zadepeszować o tem do Biskupa Rancana i do p. Ministra pełnomocnego Polski w Rydze i prosiłem go jako obywatel Polski, aby wytłumaczył sytuację zbyt delikatną

Ministrowi. Okazało się, że p. Minister nie wierzył, iż kościół może być już oddany do użytku publicznego. Słyszac zapewnienia Polskiego Ministra p. Arciszewskiego, wysłał aeroplanem p. Buczyńskiego na zbadanie i ten, po oglądnięciu kościoła, zatelefonował, że gmach jest bezpieczny. Nadeszła depesza, żeby policja ustąpiła z Waranowicz a my jeszcze w dzień Zaduszny zdążyliśmy zniwelować, wysłać cegłą i zalać cementem podłogi.

Miałam niespodziankę nazajutrz po zalaniu podłogi i osta-

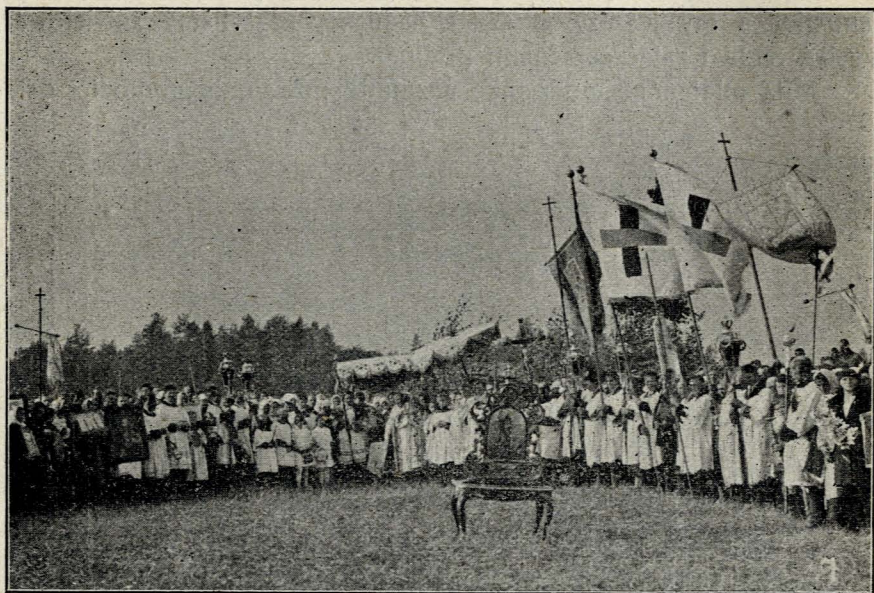


Widok pierwszej części procesji podczas przenoszenia Najśw. Sakramentu i przedmiotów ze starego do nowego kościoła w Waranowiczach 29.X. 29 r.

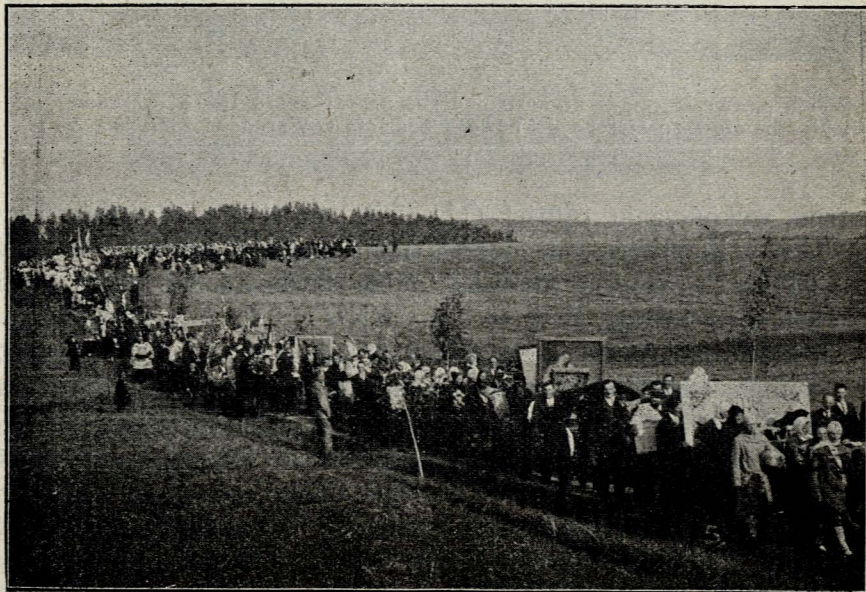
tecznem wykończeniu całości. Gdy zbliżałem się do Kościoła rozmawiając z komitetowymi, doszedł mnie nagle z wnętrza Kościoła głos jakoby chóralny, powtarzający moje słowa. Zdumiony zajrzałem do środka, — nikogo. Było to echo, bijące od ścian żelazo-betonowych, które mają właściwość powielania, wzmagania, przedziwnego oczyszczania i harmonizowania wszelkich dźwięków. Zwłaszcza śpiew ludu przy odgłosie organów w cudną się wzmagają melodję.

Noc w wigilję uroczystości poświęcenia kościoła pozostanie pamiętną dla wszystkich sąsiednich parafjan. Bo pomimo, że zapewniono mnie, iż Ryga zmieniła nakaz policji, to jednak rozsiępane przedtem wiadomości o nakazie opieczetowania kościoła zgromadziły z daleka lud jak i parafje sąsiednie, urządzono bronić kościoła na życie i śmierć. Ja zaś nie wkładałem wielkich drzwi, aby nie

było możności opieczutowania... Całą noc lud się modlił a ja spowiadałem, wreszcie rano odprawiłem Jutrznię, potem odśpiewałem Mszę św. i miałem zamiar wyświęcić kościół, gdyby delegat Arcybiskupi nie był przybył, i drugą już solenną Sumę odprawić.



Widok drugiej części procesji.



Widok trzeciej części procesji.

O godzinie jedenastej i pół mówi mi służba, że zjechali księża, ale stoją przed kościołem, bo się boją, że policja nie wpuści. Okazało się, że ksiądz Delegat Arcypasterza i sąsiedni księża, słysząc o kolizji z policją, zjechali z wieczora do ks. Kurlańskiego, który ich tak nastraszył, że nie śmieli do późnej godziny tu się pokazać. Zaprosiłem ich do zakrystji, wytłumaczyłem i o depeszy powiedziałem, więc przystąpiliśmy do wyświęcenia. Ks. Dziekan Kisieliś odprawił Sumę, inni księża odprawili Mszę św. przy bocznych, no-



Widok w czasie procesji (trzy razy dookoła) przy opuszczeniu kościoła starego i takiejże procesji dookoła nowego kościoła podczas, gdy lud śpiewał: „Wesoły nam dziś dzień nastał“.

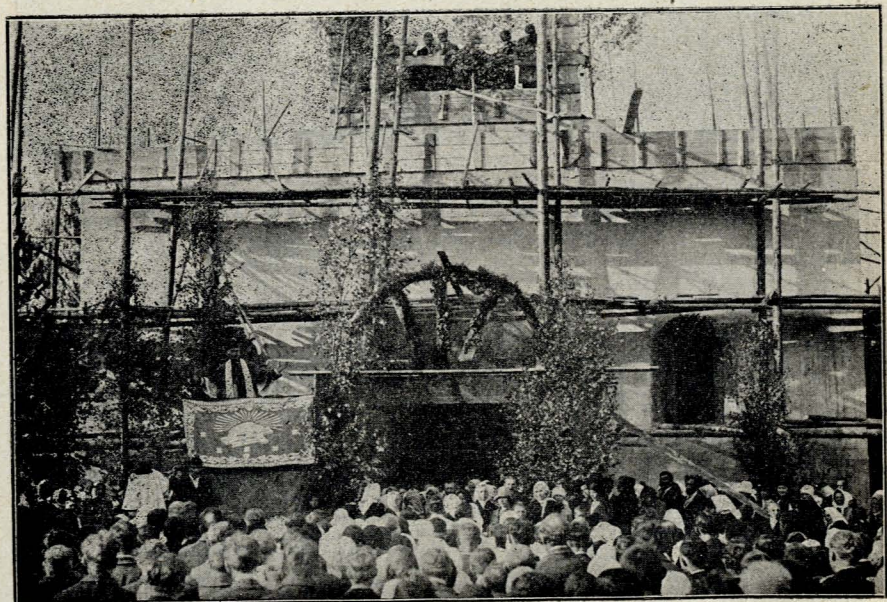
wych ołtarzach a ja powiedziałem kazanie okolicznościowe i przyjmowałem delegację a potem p. Lisiewicz, delegat „Złotu Sokołów Polskich na Łotwie“ dokonał odsłonięcia pomnika. Delegacje różnych stowarzyszeń i korporacji złożyły wieńce; całe szeregi mówców zabierały głos i odegrany został marsz, specjalnie skomponowany ku czci poległych.

Podczas odsłonięcia pomnika nie było żadnego księdza, bo ks. Kurlański wmówił kolegom, że uroczystość ta odbędzie się później niż było w programie i że ja nie lubię pomocy w pracy parafjalnej. Bawił ich jak mógł, aby nie dopuścić obecności przy odsłanianiu pomnika.

Po tych mowach moi parafjanie i goście, najbardziej zaś chór



Kazanie ks. Kan. Borodiczka podczas procesji w pół-drodze ze starego do nowego kościoła w Waranowiczach.



Kazanie ks. Kanonika Borodiczka w dzień przeniesienia N. Sakramentu ze starego kościoła do nowego w Waranowiczach.

śpiewaków tak byli rozentuzjasmowani, że długo musiałem stać w kapie, nie mogąc zacząć Nieszporów, zanim oni uciszyli się i przestali śpiewać „ad multos annos”. Za to ich śpiewanie niezwykle podziękowałem i najnie spodzianie zwróciłem się do nich z pytaniem,



Ich Excelencje: X. Arcybiskup i Nuncjusz Apostolski Antoni Zecchini, X. Arcybiskup Ryski Szpryngowicz, X. Biskup Rancen, ś. p. X. Proboszcz Franciszek Gugis, który założył fundament pod nowy Kościół i w bogate, przepiękne ornaty ozdobił Waranowski kościół, pani Aniela Saulewiczowa, która największe zasługi złożyła podczas budowy nowego kościoła i w ukrywaniu sprzętów i ubiorów kościelnych podczas inwazji bolszewickiej.

dlaczego są tak pjeni. Oszołomieni takim zarzutem, spojrzeli na mnie znacząco, jakby pytając, czemu ich wobec obcych kompromituję. Przyznałem im rację tego opjania tem wszystkim tak pięknem; dodałem, że i ja upiłem się tak wielkiem uroczystem pięknem, jakie w ten dzień przeżyliśmy. W odpowiedzi na to znowu rozbrzmiały śpiewy, które się przeciągnęły do późnego wieczora a wspaniały i o potężnych rozmiarach obraz Serca Jezusowego, pędzla panny Drancenówny, zdawało się majestatycznie nam błogosławił, gdy i kościół swą akustyką te śpiewy zamieniał na anielskie.

Ostatni przybyłem do p.p. Saulewiczów, gdzie XX. Gości i delegacje późnym obiadem b. hojnie, gościnnie, wykwiennie podejmowali.

Nazajutrz odjechałem do Rygi, by J. E. Ks. Arcybiskupowi i Biskupowi, jako też naszemu polskiemu Posłowi, p. Arciszewskiemu podziękować bardzo serdecznie za interwencję i nadesłane gratulacje. Minister łotewski, gdy się dowiedział ode mnie o szczegółach, sam przyznał mi słusność, że skoro ściany, filary, sufity i wieża utrzymały się przy zalewaniu ich cementem, nie może być obawy



Ks. Kanonik Wołłowicz, ks. Kanonik Borodzicz i ks. Wikary otoczeni przez Tercjarzy w Rydze po kazaniu i kweście ks. Borodzicza. (4.X. 1929 r.)

najmniejszej, gdy te już skamieniały. Podziękował mi za pracę tak intensywną i tak pożyteczną na Łotwie.

Odwiedziłem i Nuncjusza Apostolskiego Mgr. Zecchini, który interesował się budową i miał zamiar sam być na wyświęceniu, ale nieporozumienie stanęło na przeszkodzie jemu, jak i XX. Arcybiskupowi Szpryngowiczowi i Biskupowi Rancanowi. W kilka dni potem nadesłał Mgr. Zecchini depeszę, którą zawiadomił mnie, że Ojciec Św. nadesłał Apostolskie błogosławieństwo i upoważnił mnie do udzielenia tegoż parafjanom Waranowickim, Indryckim, Przydrujskim i innym, których pracą i ofiarnością został zbudowany na Łotwie pierwszy kościół na cześć Serca Jezusowego. Wielu księży przyjeżdżało oglądać ten nowy rodzaj budowy z samego żelaza i betonu; wszyscy przekonali się, że jest to budowa: mocna, tania, praktyczna i prędką.

Po tygodniu pożegnałem moich Waranowiczów, szczęśliwych, że zdobyli kościół, ale smutnych, że we mnie utracili pierwszego proboszcza tego kościoła. Przez wdzięczność wzniesli oni pomnik z żelazo-betonu w kościele po prawej stronie dla rodaków—żołnierzy a z lewej — dla dobrodziej nowego kościoła. Redakcja „Dzwon” sekundowała mój odjazd długimi artykułami.

Odebrałem list z Kroszyna z prośbą o pomoc w budowie kościoła. Wstąpiłem tam, poradziłem a w parę tygodni były gotowe fundamenty. Zima przerwała roboty, ale zanim przybyłem do Polski w 1930 r., mój brat tę świątynię wykończył.

Oto recepta na zbudowanie Kościoła lub domu z żelazo-betonu. Należy zaopatrzyć się w odpowiednią ilość dobrego groszkowatego, z kamuszkami (jak orzechy leśne) żwiru.

Zagotować żelaza na słupy, filary prętów żelaza 16 milimetrów grube i na mur lub siatkę sufitową 7 milimetrowe pręty, biorąc średnio 5 klg. na metr kwadratowy muru lub sufitu. Siatka winna być ułożona tak, że klatki tworzą kwadraciki 20 centymetrowe. Krzyżowanie się prętów wiąże cienkim palonym drutem.—Na $\frac{1}{2}$ metra żwiru daje się dwa worki, t. j. $\frac{2}{3}$ beczki cementu lub w celu zapewnienia suchości ścian $1\frac{1}{2}$ worka cementu i worek wapna. Cement należy mieszać ze żwirem na sucho, a potem zagłębia się, nalewa wody i miesza, a w potrzebie dodaje się wody.

Rozczyn nie należy dawać zbyt rzadki ani zbyt gęsty. Wlewa się go między formy, przedtem ustawione wedle planu i poziomnika (waserwagi czy gruntwagi).

Jeżeli ściany są wskazane na planie tak kościoła jak i domu pół metra grube, należy ustawiać formy z czterech ścianek; na bloku, już wylanym na fundamencie o 60 przez 20 cent. grubym, ustawia się formy tak, że dwie deski obok siebie odległe na 10 cm. i drugie dwie podobnie, ale tak, żeby między temi ściankami tworzyła się próżnia 30 centymetrowa. Co 4—5 metrów próżnia przecina się słupem, który spaja ścianki i jest 50 przez 30 centym. gruby. Pod oknami należy, po wypełnieniu próżni suchym piaskiem, kostrą, żużlami lub rozczynem piasku z wapnem, pokryć blokiem jak na fundamentach dla złączenia i zmocowania ścian i na tem stawia się lub ze ściankami jednocześnie wylewają się szlegi do okien, bo drzwi należy już wcześniej przewidzieć i zawiasy oraz żelaza zamkowe wmurować.

Po zakończeniu ścian należy blokiem pokryć dookoła mury, aby móc na tem ułożyć sufit i krokwie ustawić.

Przy ulewaniu ścian kościoła należy jednocześnie wylewać zakrytę, krużganki i sufity. Na zalanie sufitów należy zrobić bardzo mocny pomost z desek i tak, żeby ten pomost nie wchodził w ścianę i moż-

na było go wyrzucić po 10 dniach. Na takim pomoście układa się siatkę, wiąże się ją drutem cienkim, zalewa się na 3 cm. rozczynem cementu (3 worki na $\frac{1}{2}$ metra żwiru), ubija się i potem siatkę się podnosi, żeby nie przylegała do desek i na tem nalewa się jeszcze 7 centymetrów rozczynu, ubijając go. Taki sufit jest odpowiedni na chóry, zakrystję lub domy. Podobnie zalewa się sklepienia. Nb. Jeżeli w kościele są przewidziane filary, to należy je na dobrym fundamencie od dołu rozpocząć o 50 na 50 centym. do 1 m. wysokości—na 40 przez 40 centym. Wkładać do form po rogach trzykąciastą 5 centymetrową łatę, aby filar wylać z uciętymi kantami. Do takiego filaru należy dawać 5 prętów żelaza o 16 milim. grube a pod wierzch prętów 8, z których potem dwa idą zachylone na sufity, dwa do bloku o 70 przez 30 cent. Na takim bloku spoczną rusztowanie do pomostu i dwa sąsiadujące sufity. Wszelkie nisze, wypukłości, parapety, schody należy ulewać w miarę podnoszenia się muru.

Kościół w Waranowiczach, podłogi i ołtarze zostały zbudowane i wytynkowane przez samych parafjan, oczywiście pod moją dyrektywą w ciągu dwóch miesięcy. Z tego wynika, że każdy rolnik potrafi ze swoją rodziną wybudować sobie dom i inne zabudowania.

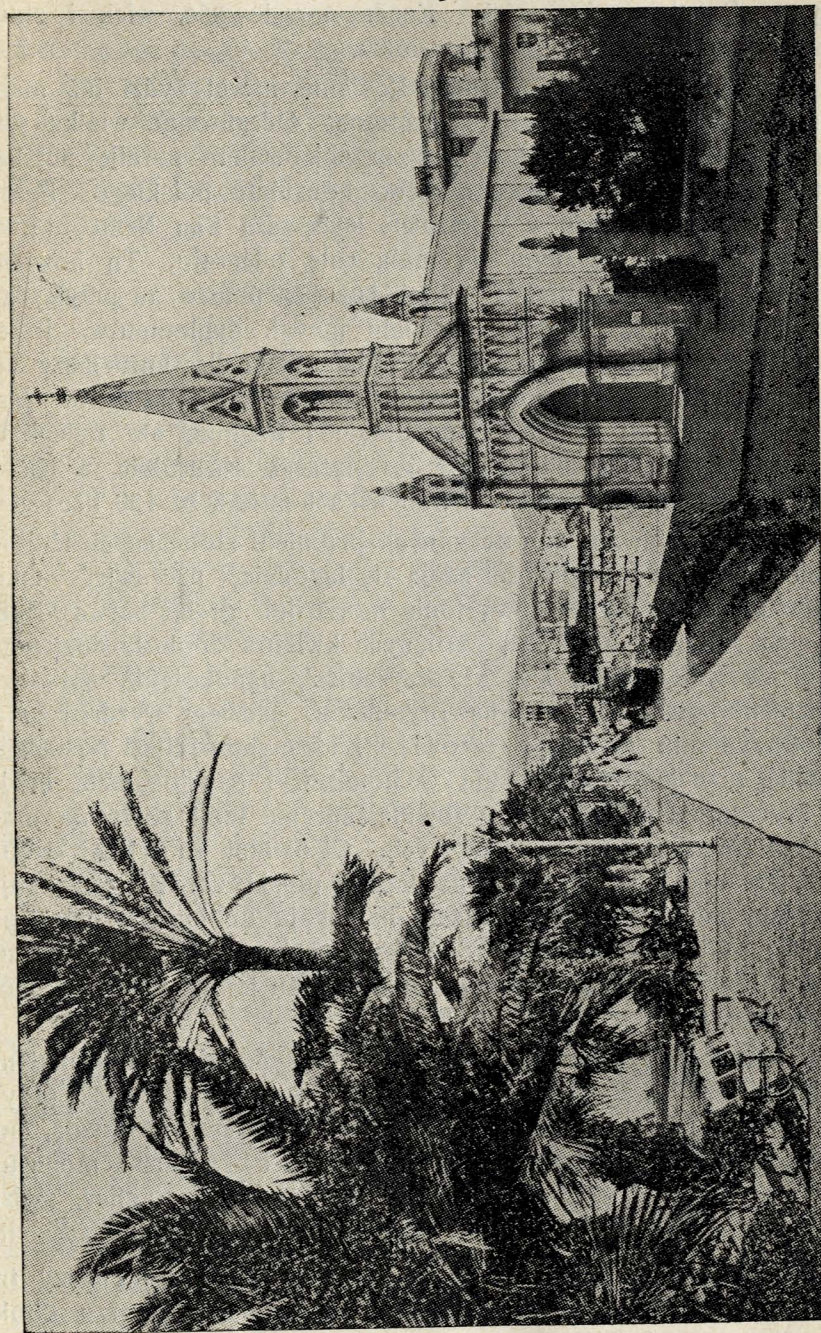
Do ustawiania form używałem mężczyzn, do mieszania cementu, noszenia, nalewania i ubijania—kobiety. Tynkowali jedni i drudzy.

Dachy na wieży, kościele i domach mogą być też cementowe, wylane na sposób sufitu. Chcąc mieć czerwone, należy do rozczynu na tynk dodawać czerwonej, pięknej i dobrej farby. Dach winien być bardzo stromy, aby nie zaciekał.

San Remo.

Gdy w Wilnie i w Warszawie jesienne wiatry, zimno i deszcze szalały, przeplatane śniegami, w San Remo zastałem pogodę przepiękną. Zieleni i kwiaty przypominają tu czas czerwcowy w Polsce. Sezon zimowy w San Remo jest znanym nie tylko z wywozu kwiecia ciętego i w doniczkach, do różnych krajów wysyłanego, ale też śpieszą tu dziesiątki tysięcy tych, którzy wolą być w towarzystwie róż, goździków i palm, niż śniegu, mrozu i błota. W miesiącach zimowych w San Remo istnie lato. Jedyny to zakątek na świecie, który słusznie nosi nazwę „Il Paradiso“. To znaczy — raj.

Błękit nieba, lazur morza, ciągle grzejące słońce, czarująco fantastyczne skały, osłaniające przed zimnem i wiatrem, zawsze łagodny klimat, — ściągają tu kuracjuszy i szukających wypoczynku



KOŚCIÓŁ RZYMSKO-KATOLICKI POLSKI I VILLA „POLONIA“ W SAN REMO.

z całego świata. Jednych tu przysyłają lekarze, by uratować zdrowie i życie, drudzy po znojach śpieszą na wywczasy, wielu też szuka w tym „Raju“ przyjemności. Każda narodowość, wiek i stan, zwłaszcza wśród chorych, ma tu swoich.

Zrzeszyli się Anglicy, Niemcy, Rosjanie, nawet żydzi już mają swe świątynie i swe placówki konsularne. Odczuwając wielką potrzebę i ja założyłem tu kościół, zorganizowałem parafję polską. Niestety nie mamy tu jeszcze naszego konsulatu polskiego. Rzecz dziwna, że nasze Władze w Warszawie lekceważą San Remo, które i pod względem politycznym nie małą rolę odegrało. Tu bowiem odbywały się kongresy przedstawicieli różnych państw, tu przyjeżdża co roku Streseman, Titulescu i wielu innych dyplomatów. Przedewszystkiem jest koniecznością Konsulat polski dla kuracjuszy do załatwienia spraw nie tylko paszportowych, ale i majątkowych. Jest co prawda Konsulat polski w Medyolanie i Rzymie, ale odległość duża zmusza rodaków udawać się do naszego Konsulatu w Nicei, pomimo, iż same wizy włoska i francuska kosztują ze 120 lir.

Tu pod wpływem dobroczynnych promieni słonecznych lżej się oddycha, wszelkie dolegliwości zdają się łagodnieć, uzdrawiać. Oko chorego pieszcząc się lazurową tonią morza lub igrając barwą wiecznej zieleni palm, pięknnością przeróżnych kwiatów dookoła, dostrzega w swej duszy odrobinę lepszej przyszłości, uspokojenia nerwów, wzmocnienia starganego wojną organizmu, nadzieję wyzdrowienia lub podtrzymania na długo zdrowia. Ludzie zamożniejsi posiadają swe wille, przeciętni zamieszkują w hotelach i pensjonatach, biedniejsi wynajmują pokoje, przygotowują jedzenie sami sobie na maszynkach spirytusowych lub gazowych. Ci ostatni są więcej zadowoleni, bo mają wikt zrobiony na sposób polski, zdrowy, tani i najlepszy, gdy mieszkańcy hoteli często narzekają na kuchnię włosko-francuską. Dla tych biedaków San Remo staje się oczywiście rajem ziemskim i dlatego każdy, mający możność ku temu, stara na niej spędzić zimę.

Z tego więc tytułu San Remo jest jednym wielkim szpitalem z tą tylko różnicą, że przyjmuje w swoje gościnne progi ludzi przynajmniej średnio zamożnych. Rachować na wsparcie nie można, bo filantropja jest tu na ostatnim planie. Szpitale i przytuliska mogą tu obsługiwać ludność miejscową. Co prawda Niemcy, Anglicy, żydzi i Rosjanie mają tu swoje szpitale, ale Polacy na to się nie zdobyli.

Muszę zaznaczyć, że San Remo ma inną cechę, bo chorzy tu przebywający i ich cierpienia zdają się być kroplą w morzu obok rozbawionych wielotysięcznych tłumów, które tu starają się, że tak powiem, dostrajać do pięknej natury i na jej tle symfonię pieśni, wesela i radości, zlać w jedną całość i chwile tu spędzone na zawsze

w swej wyobraźni upamiętnić. A więc do drugiej kategorii należą ludzie rozbawieni, o wesołym nastroju, szukający wrażeń.

Ależ nam przeważnie chodzi o swą narodowość i dlatego mamy odpowiedzieć na pytanie: jak się tu bawią Polacy?

Aby jednak odpowiedzieć na to pytanie, należy zauważyć, że dla ludzi bawiących się tu najbardziej silną atrakcją jest kasyno w San Remo i Monte-Carlo ze sławną ruletką. Każdy tam śpieszy „spróbować szczęścia“ i upoić się komfortem, który do finezji tu posunięto.

Monte-Carlo i Nicea.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się szeroko o historii Monte-Carlo. Powstało bowiem ono przed kilkudziesięciu laty. Ruletka podniosła je do szczytów szczęścia i przepychu. Tu wyszkoleni krupierzy zgarniają od klienteli złota co roku setki milionów, pozostawiając na „wygrane“ zaledwie mały odsetek. Są tu jak i w San Remo gracze zawodowi i przygodni.

1. Czy można wygrać lub znaleźć sposób wygrania? 2. Czy są wypadki wielkiej wygranej? 3. Czy możebne jest z małym kapitałem wygrać umiarkowaną lub wielką sumę?

Na pytanie pierwsze odpowiem, że tak i nie. W Monte-Carlo jak i San Remo można wygrać człowiekowi nie liczącemu się z groszem, dla którego kilkadziesiąt tysięcy przegrana różnicy nie robi. Taki rzuca krocie na jedną stawkę i tak po przegranej a czasem, ale rzadko, wygranej w najlepszym humorze odchodzi od stołu. Tacy są dla Kasyna niekiedy i niebezpieczni, bo zabierają wygrane naraz i nie wracają.

Co zaś do sposobu pewnej wygranej, to trzeba być naiwnym, żeby temu wierzyć. Gdyby to miało miejsce, toby Kasyna nie egzystowały. Jest przeciwnie: Ruletka w Monte-Carlo daje żydowi Blankowi dwieście milionów rocznie i dywidendy 40-50 milionów, jakie ta jaskinia ze swych ofiar rocznie wydiera i akcjonariuszom do kieszeni wkłada. Wprawdzie większość graczy starannie śledzi za grą, foliały cyframi wypełnia, planuje, łudzi się i szuka sposobu jak „zerwać łeb tej hydrze“, ale na próżno. Gdy gracze dostają tej manji, napewno pozbędą się tu wszystkiego i wrócą na łaskawie udzielony bilet kolejowy do Kraju. W Monte-Carlo są stada agentów i agentek, przeważnie z półświatka, którzy podsuwają „systemy“, rozsiewają różne zmyślane historie wygranej, elektryzują graczy, wprowadzają w hazard. Oto cel i zadanie Monte-Carlo.

W San Remo nie towarzyszą ruletce podobne nadużycia i oszustwa. Policja tam czuwa dniem i nocą, wszelki element szkodzący moralności usuwa. Gra jest dozwoloną umiarkowana i bez hazardu.

Czy są wypadki wielkiej wygranej? W San Remo częściej, w Monte Carlo rzadziej, ale i te do wypadków zaliczać należy. Takie wygrane są bodźcem dla graczy; stawiać na jedną stawkę całe mienie, to ruina. Wygrywający natychmiast się zmienia, buduje zamki na lodzie i w końcu zgrywa się doszczętnie. Faszysty w czasie z San Remo wysyłają, gdy w Monte Carlo najczęściej rzuca się nieszczęsny ze skały lub mostu, zostaje pogrzebany w nocy i zatyka się mu tabliczkę „inconu“ na mogile.

Do wygrania chociażby niewielkiej sumy, zawsze potrzebne jest pewne ryzyko, a z małym kapitałem ryzykować trudno, gdyż pierwsza przegrana nie pozwoli na dalszą grę. Nawet gdyby się udało coś na pierwszej stawce wygrać, to są rzadkie wypadki. Na większą wygraną człowiek poważnie myślący rachować nie może.

Ludzie średniej zamożności stanowią najlepszą klientelę Kasyna, bo, przegrywając, odegrywają się i całe mienie tam pozostawiają. Gdyby kto chciał przekonać się o ilości ofiar ruletki w Monte Carlo, dosyć jest pójść na cmentarz i policzyć nagrobki z napisem „inconu“. Spotykam tu najczęściej takich naszych ziemian, co to nie mając gospodarstwa leśnego, ograniczenia w sprzedaży lasów, oddając żydom posiadane drzewa, którem zapelniona jest Dżwina, szczególnie między Leonpołem i Drują i inne rzeki, jako też i kolej żelazna, zgrywają się doszczętnie i znowu śpieszą do Kraju, by rozsprzedać resztki pozostałego lasu lub ziemi i znowu zagrać na ruletce. Pewien obywatel przybył do Nicei, poznał tu z półświatka kobietę, ozdobił ją perłami bardzo cennymi swej matki i w towarzystwie takim przegrał oddziedziczone bogactwa po rodzicach i stryju. Gdyby nasz Rząd wiedział, jak tu marnuje się grosz polski w Monte Carlo, to niezawodnie poleciłby Konsulatowi czuwanie i ograniczanie niefortunnych graczy. Potrzeby bowiem rodzinnego Kraju w dobie powojennej są tak wielkie, że każdy grosz, na marne gdzieś za obrębem Kraju wydany, — jest zbrodnią.

Największą plagą dla Kasyna w Monte Carlo i Nicei jest prasa. „L'Eclair“, „Petit Niçois“. „La France“ pobierają „subsdyja“ po 75.000 fr. rocznie dlatego tylko, by o samobójstwach i przegranych milczeli, a o zmyślonych wygranych pisali.

Kasyno w Nicei jest mniej groźne, ale też niebezpieczne, bo i tam jest otoczenie półświatka, „Baccara“, „Trente et Carante“ i t. d. Wogóle nazywanem stąd jest Monte Carlo — Sodoma a Nicea — Gomorą. Nasi rodacy powinni dobrze sobie zapamiętać, że Nicea i Monte Carlo demoralizują naszą młodzież i starszych, rujnują a niekiedy o samobójstwo pripraviają. Jeżeli kto z rodaków potrzebuje Riwieri, to winien skierowywać się na włoską, nigdy francuską. Niech te wywczasy na wybrzeżu Moza Śródziemnego spędzo-

ne dadzą możliwości naszym braciom Polakom skupić się wewnątrz i nabrać sił do skutecznej pracy przy warsztacie życia społecznego.

Byłoby pożądanem, aby nasi Ziolkowie zechcieli głębiej zainteresować się życiem towarzyskiem, silniej akcentować życie religijne i narodowe, jak Niemcy i Anglicy. Nie bez przykrości byliśmy świadkami Revue, kiedy tysiączne tłumy oklaskiwały występy w żywych obrazach narodowe stroje rozmaitych narodów Europy. Przy ukazaniu się każdego kolejno obrazu grano hymn narodowy, oklaskiwano a jednostki, należące do niego, z dumą podnosiły się z miejsc i radością rozpromienione, zwracały się ku swoim. Jednak polskich kontuszów ani w Nicei, ani w Monte Carlo nie widziałem, miłość narodowa i tu upokorzona dla nas Polaków. Zapytałem o to Dyrekcję, a ta odpowiedziała z całą naiwnością, że owszem na scenie pruskie i rosyjskie obrazy miały miejsce, sądziła bowiem, iż to wystarczy i dla Polaków. Po wyjaśnieniu żałowano tej wielkiej pomyłki. Są to coprawda bagatele, ale i te dla Polaka są ciężkie do zniesienia, bo każdy z nas ukochał swój Kraj, swoją umiłowaną Polskę. Niech na dalekiej nawet obczyźnie nasz narodowy element nie będzie pochłonięty większością. Umiejmy na równi z innymi wykazać, że jesteśmy wielkim narodem i cechy tej narodowości nosimy ze sobą wszędzie. Miłość Ojczyzny i tradycji w najbardziej świetlanych barwach niech będzie świadectwem tego. Niech nam posłużą za przykład nasi mężowie jak p. Seyda Władysław, pierwszy Prezes Najwyższego Trybunału i p. Raczkiewicz, Wojewoda Wileński, którzy przybyli do San Remo i tu czas tak pożytecznie spędzili, że odzyskali siły i hart do pracy dla dobra Ojczyzny, zostawiając po sobie w tym mieście najlepsze wspomnienia.

W tym celu, aby Rodacy mogli, nawet nie posiadając języka włoskiego lub francuskiego, korzystać z Riwieri bez przygód, wyzysku, tanio i najlepiej, — urządziłem tu polskie Biuro Informacyjne, Czytelnię, dwóch kapłanów Polaków obsługujących nie tylko w kościele polskim w San Remo, ale i na przestrzeni między Marsylją i Lago di Como. Spieszmy na każde ich wezwanie. Opiekę nad młodzieżą i starszymi zapewniamy tym, którzy do nas zgłaszają się, szczególnie chorzy. Można listy adresować: „L'Eglise Polonaise“, lub: „Villa „Polonia“, San Remo“.

A teraz słówko o samych Włochach. Kto znał Włochy przed wojenne i porównać może z tymi za czasów Faszystów, znajdzie różnicę wielką. Dawniej Kantony Szwajcarskie cieszyły się wziętością wielką dla ich praworządności. Obecnie Włochy i w tem je przewyższyły. Faszysty ujął w swe karby i rygor różnych wyzyskiwaczy i rzeźmieszków. Ci nie tylko w pociągach, miastach, ale i na całym terytorjum wolności nie mają. Ustały tu prawie kradzieże, podstęp, nadużycia. Kto żyje z krzywd ludzkich, zmuszony jest odjechać do Monte-

Carlo, lub Nicei, gdzie sądy Nicejskie stały się przysłowiowymi z pobłażliwości występny. Niedawno jeszcze zakończyła się sprawa sławetna Villi des Colonne. Wynajęła tę villę Polka na lat 9. Włożyła kapitał do odnowienia rudery, doprowadziła ją w 1921 r. do stanu pierwotnego, zbudowała garaż na 50 samochodów — to wszystko kosztem 125 tysięcy. A ponieważ kontrakt był zrobiony na jednego z Polaków (była bowiem p. S. wdową, nie mówiącą po francusku), wyekspulsowano najpierw opiekuna a potem steroryzowano p. S.

Administrator francuz p. B. tak pokierował wszystkim, że zmuszoną była udać się do sądu w Nicei. Sprawę w sądzie tak pokierowano, że kontrakt został anulowany, właściciel tej willi, pomimo, że obowiązał się wynieść, został i nie tylko nic nie płacił, ale pobierał czynsz za apartament przezeń zajęty. Ponadto tenże trybunał skazał p. S. na koszty sądowe i odszkodowania właścicielowi, co wyniosło około stu tysięcy. Gdy zasekwestrowano meble, p. S. na żądanie sekwestratora zapłaciła 10.000 fr. z tem, że będzie mogła sprzęty swe zabrać. Gdy pieniądze doręczyła, tenże komornik, oczywiście przyjaciel właściciela willi, wypchał kobietę za drzwi i mebli nie wydał, — zażądał jeszcze 30 tysięcy... Pokrzywdzona zamieszkała w San Remo. Najlepszy z obrońców, mecenas Palewski w Paryżu, nie mógł ukrócić tych matactw.

Pomimo, iż ład i porządek wielki panuje w San Remo, jak i całych Włoszech, p. Piotr Agosti, Podesta, przyjaciel Polaków, ubolewanie swe wyraził, gdy z nim się żegnałem, odjeżdżając do Kraju, a to dlatego, że Polska nie ma tu jeszcze Konsulatu. Prosił on mego zastępcę brata, by czuwał nad rodakami, jak ja, a w razie potrzeby pomocy, jemu komunikował.

Jak się żyje na tułaczce.

Szanowni Czytelnicy, Koledzy, Przyjaciele i b. Parafjanie moi zapytują często osobiście i listownie, jak żyję na obczyźnie. Dotąd widywali mnie oni albo na wozie, albo pod wozem.

Od roku 1912, oddając się pracy duszpasterskiej na Rivierze, różne przechodziłem losy, zwłaszcza podczas wojny. Nigdy jednak z łaski Stwórcy sił mi nie zabrakło a pomoc Boża i opieka mego ukochanego Biskupa, J. E. Monsignora Daffry, wydostawały mię z pod wozu i wybawiały z największych kłopotów. Na Rivierze mam parafję niejednorodną: jedni parafjanie są chorzy fizycznie, drudzy — moralnie, jedni w San Remo, drudzy — rozsiani po włoskiej i francuskiej Rivierze, jedni garnęli się do Kościoła, drudzy stronili, bawili się...

Zdrowy klimat morski, południowy zakonserwował mię tak, że czuję się jeszcze młodym i pełnym energii. W roku zeszłym, gdy odwiedziłem J. E. ks. Arcybiskupa Szpryngowicza w Rydze, pisał on później do mnie: „Proszę rachować jedynie na pomoc Bożą i swą niespożytą energią. Tych 68 lat ani ja, ani kto inny dostrzedz nie mogliśmy i rachowaliśmy ks. Kanonikowi najwyżej na pięćdziesiątkę wieku. Zatem starczy jeszcze lat na zbudowanie wielu kościołów, by na starość cieszyć się owocem swej pracy“.

Nie gorzej jest i pod innymi względami. W ciągu pobytu w diecezji Wentymilskiej stałem się ulubieńcem tamecznego Biskupa Daffry. On mię, jak ongi ś. p. Biskup Zwierowicz, wyniósł do godności kanonika, darząc mnie i parafjan mych stale miłością ojcowską i błogosławieństwem.

Pod względem materialnym jestem najhojniej wyposażony i zabezpieczony przez mych Dobrodziei, którzy, jak i w Polsce, im więcej widzieli mnie w niedoli, tem bardziej starali się ją rekompensować. Jestem właścicielem kościoła i 60-pokojowej plebanji, które sam zbudowałem; założyłem w 1914 r. ogród owocowy, Ten daje mi w obfitości różnych owoców i masę kwiecia, którego starczy zawsze i na upiększanie kościoła i plebanji.

Ponieważ parafia moja jest zbyt rozległą, bo aż w dwóch sąsiadujących ze sobą państwach: Włoszech i Francji, zmuszony jestem jeździć autem w odwiedziny chorych i zdrowych. To też jedno auto tego roku nabyłem sam a drugie nadzwyczaj ładne zaofiarowali mi Baronowstwo Lazzaroniowie w Nicei.

Dotąd co roku, po skończonym sezonie zimowym wracałem do Polski, by, pracowicie spędzając wakacje, budować tu kościoły... Tego roku, dzięki staraniom OO. Marjanów w Drui i za łaskawem pośrednictwem ks. generała Marjanów Buczysa w Rzymie, zostałem zwolniony od pracy usilnej na Kresach. Oto ni mniej, ni więcej, jak się dowiedziałem w Rzymie, ten generał Buczys, schylony w kłębek pokory, udawał się do różnych instancji w Rzymie i rozwodził się szeroko i długo o zbytnej pobłażliwości J. E. ks. Arcybiskupa Jałbrzykowskiego dla mnie i o mej szkodliwości rzekomej, dla Kościoła w Brańskowskim powiecie. Jak ongiś Minister Dobrucki, na zew Marjanów przez „Bielaruską Krynicę“ i inne antypolskie i wywrotowe zarazem pisma, był wprowadzony w błąd i żądał, aby mnie J. E. Arcybiskup wycofał z Kresów, tak teraz Rzym pod presją X. Buczysa pisze do J. E. Arcypasterza Wileńskiego, aby powściągnął mnie i nie pozwalał szkodzić Marjanom Drujskim.

Zamiast spotykać wdzięczność za zbudowanie 12 kościołów, odruszczanie Kresów, zdaje mi się, iż władze tak świeckie, jak i duchowne za złe mi to poczytywać są gotowe, byle tylko „mniejszości nie drażnić“.

Tego roku nie śpieszyłem do Kraju, bo i poco? Byłem natomiast w Kartaginie na Kongresie Eucharystycznym, na wystawie w Leodjum, w Paryżu i Szwajcarji — cieszyłem się wywczasem i osobiwościami tego świata.

Najwięcej wspomnień, bardzo pouczających i miłych, pozostało mi z pobytu w Kartaginie w Afryce. Przybyłem tam aeroplanem w towarzystwie J. E. Carduci, Magiordomo Watykanu. Odwieziono nas, gdyśmy wylądowali, do Grand-Hotel-Tunis, już zapelnionego wyższymi Dostojnikami Rzymu i całego świata. Purpuraci zapelniali salony. Dzięki J. E. Carduci miałem miejsca i wszelkie udogodnienia na wszystkich zebraniach i uroczystościach w Bazylice Kartaginy i Tunisu.

Gdy pewnego razu siedziałem w salonie, zbliżył się do mnie jakiś mnich i z pokorą ucałował kanonicki pierścień. Zapytany o nazwisko, oświadczył: „Buczys“. Gdy usłyszał w odpowiedzi słowo: „Borodzicz“, wyprostował się i ujrzałem przed sobą dzikiego szowinistę. Opowiedziałem mu o niecnej robocie Marjanów w Drui. On, zapytany dlaczego nie ukarał Cikotę za szykany i usiłowanie zatrucia mnie kwasem, tłumaczył się, że mego adresu, jako oskarżyciela, którego trzeba było zbadać, nie wiedział, przytem tak wykrętnie starał się usprawiedliwić swych podwładnych, iż jasnym było, że przez usta ks. Buczysa przemawiał nie generał zakonu skromnych mnichów, lecz przebiegły adwokat. Prosił on mię dyplomatycznie, abym opisał owe zajście moje z Marjanami w Drui. Nie chcąc, by opis mój znalazł odpoczynek w koszu tego Marjanina, posłałem jemu za pośrednictwem Kurji Kardynała - Prymasa.

Jak silne i miłe wrażenia odniosłem z samego Kongresu Eucharystycznego w Kartaginie, trudno jest opisać. Wzruszającym do łez był widok, gdy tysiące kapłanów z purpuratami na czele wśród niezliczonych tłumów ludu otaczali wystawiony Przenajświętszy Sakrament tak w Bazylikach Kartaginy, jak i Tunisu, w ruinach Coloseum i na ulicach, gdy szliśmy procesjonalnie. Msza św. była celebrowana przez J. E. ks. Kardynała Prymasa Polski w ogrodach Belvederu. Podczas niej wielutysięczna dziatwa przystępowała do I Komunii św. Liczne zebrania, uchwały Kongresantów i ten śpiew harmonijny, wyrwający się z piersi wielutysięcznych mas, pochodzących z wszystkich pięciu części świata, te wspólne okrzyki i powitania J. E. ks. ks. Kardynałów i Biskupów, te gorące i wspólne adoracje, te ludy czarne i białe, zebrane z różnych krajów i przeciwległych krańców ziemi a rozmodlone goręcej, niż płonęło gorące słońce na tych Afrykańskich wybrzeżach, te turkoty i huk aeroplanów, automobili, lokomotyw na stacji kolejowej i syren licznych okrętów, bez końca dowożących rzesze pielgrzymów, przybywających nawet z najdalszej Australji z ich Biskupem ze Sydney, starcem 85 letnim, na czele in-

nych pasterzy, — ta masa, ten ogrom, te tłumy różnojęzycznych, różnobarwnych ludzi, chociaż w pojedynkę niezrozumiałych, te rzesze białe i czarne, nie wyłączając nawet żydów i arabów, — wszystko to się składało na jeden kolosalny i harmonijny obraz dookoła Eucharystycznego Pana Jezusa. A Mistrz Eucharystyczny tryumfował i promieniował na tle rozmodlonych i rozognionych mas ludu, olśnionego afrykańskim słońcem lub niebem roziskrzonym miliardami gwiazd. Zdawało się nam, iż z nami połączyły się niezliczone cienie św. Męczenników Kartaginy, ze św. Augustynem i św. Moniką na czele, że ich krew, przelana w owym kolosalnym Amfiteatrze, jest najkosztowniejszą ozdobą i ofiarą Panu, wśród nas tryumfującemu. Wszędzie tam była i działała łaska Boża, cuda, zwycięstwa, łyzy rozrzwienienia, radość i błogosławieństwa liczne, udzielane w N. Sakramencie nie tylko przez Legata Watykanu, ale i różnych innych purpuratów a już najczęściej i najserdeczniej przez naszego najukochańszego ks. Kardynała Prymasa Hlonda. Jeszcze gdy to opisuję, widzę tą o anielskim wyrazie twarzy postać, kręslącą na cztery strony świata krzyże Eucharystją św. w przepięknej Monstrancyi, widzę gdy masę dzieci nie tylko ubranej w bieli, lecz i chylące się głowy, a lud na klęczkach wyciągający dłonie gorąco, rzewnie wołający do Chrystusa: „Hosanna, Hosanna!!!“... Podobnie właściwie odczuwałem, gdy tenże Książę Kościoła celebrował i błogosławił nam przed Bazyliką i w Amfiteatrze. Takiego tryumfu i łaski nigdy się nie zapomina. Kto był w Chicago i Kartaginie lub w Poznaniu na Kongresie Eucharystycznym, ten był w Niebie i widział tryumfującego Mistrza tak, jak widzieli Go Apostołowie na górze Tabor.

Smutne i rzewne były pożegnania ludów odjeżdżających z Kartaginy, jak odlot ptaków po skończonem lecie; każdy z pątników pośpieszył za swoimi pasterzami, a każdy z namaszczeniem opowiadał swe wrażenia bez końca.

Przybycie do Kartaginy, jak i powrót mój, odbyły się aeroplanem — widziałem więc z wysokości nie tylko Kartaginę, całe wybrzeża Afryki jak i Sycylię z jej Etną wiecznie dymiącą się. W drodze powrotnej siedziałem w łodzi powietrznej obok J. E. Ks. Biskupa D'Herbiniego i cały czas rozmawialiśmy o nieszczęśliwej Rosji i potrzebie tam misjonarzy. Obiecałem mu, że na pierwszy zew, gdy będzie można, stawię się wśród jego wysłańców.

Jeszcze przed opuszczeniem Kartaginy zebraliśmy się wszyscy księża, pracujący zagranicą. Wśród nas zasiedli do stołu ks. Rektor Łagoda z Paryża i ks. Dyrektor Pielgrzymki z Polski kanonik Lisiewski. Tego ostatniego były imieniny. Uczciliśmy go solidnie szampanem, wołając in gremio: niech żyje nam!

W tydzień później, gdy wróciłem do San Remo, zjechał do mnie Pw. ks. Rektor Łagoda na dni kilka na wypoczynek. Potem

spotkaliśmy w Marsylii w porcie J. E. Ks. Kardynała Prymasa Hłonda. Z portu udaliśmy się do gościnnych salonów naszego Przedstawicielstwa Polski. Państwo Konsulostwo Wegnerowiczowie po królewsku podejmowali J. Eminencję i świtę wraz z reprezentantami Marsylii.

Z Marsylii ks. Rektor Łagoda odjechał do Paryża, ja zaś towarzyszyłem po całej Rivierze Jego Eminencji. Wszędzie spotykała Kolonja Polska naszego największego Dostojnika. Gościnność i serdeczne witania i pożegnania rozpoczynały się i kończyły obrzucaniem kwieciami Rivieri, hucznymi oklaskami. O.O. Salezianie w Marsylii i Nicei starali się w gościnności prześcigać. Francuzi, chociaż z trudnością, nauczyli się witać Gościa z Polski pieśnią narodową polską. Łaskawość i dobroć a szczególnie uśmiech Eminencji pociągnął nie tylko wielkich, ale i małuczkich. Nie dziw, że prasa francuska i włoska opisywała sążnięcie o przyjęciu, jakiego doznał na Rivierze Ks. Kardynał Prymas Polski, szczególnie w willi sędziny Szczukowej, której w podejmowaniu gości czynnie i mile dopomagała jej córka p. Ładzina, senatorka.

Nie odbyło się i bez przygód. Gość nasz miał odjechać z włoskiej Rivieri o godzinie drugiej pociągiem. Na ten pociąg skierowano z plebanji polskiej ze San Remo różne wiktuały i kwiaty, które miały towarzyszyć J. Em. Zarząd kolejowy postanowił uczcić Polskiego Gościa, ofiarując specjalny wagon w pociągu luksusowym o godzinie 4-tej. Na drugi dzień zwrócono mi z drogi owe dary Rivieri dla J. Eminencji przeznaczone i nedoręczone. Kolonja Polska w San Remo znowu się zebrała, by jeszcze raz wznieść toast za zdrowie podróżującego naszego Gościa a kwiaty spoczęły na ołtarzach polskiego kościoła w San Remo.

W sezonie tegorocznym miałem wśród parafjan bardzo wielu rodaków z Litwy. Na czele arystokracji litewskiej byli J. E. generał Żukowski, profesor uniwersytetu kowieńskiego Dr. Żyliński i jego małżonka, kilku kapitanów pilotów, piechoty i kawalerji, ziemian jak pp. Wojniczowie, Burbowie, Wołonczewsi i inni.

Trzeba wiedzieć, że kościół nasz polski jak i willa Polonja jest oazą jedyną na Rivierze, gdzie każda katolicka rodzina jest mile widziana i bywa jak u siebie w domu. W kościele w ołtarzu: Matka Boska Częstochowska, Królowa nasza, przytuła wszystkich bez wyjątku. Na plebanji obok tej Królowej św. Jadwiga i Król Jagiełło, Biały Orzeł z Pogonią i Michałem Archaniołem. Tu wszelkie dyskusje polityczne ustają, wszystko, co zbyt delikatne i nie harmonizujące dla towarzystwa, wykluczone. Nie dziw, że nasi bracia — Litwini, Rusini i Polacy wesoło w sezonie czas spędzali i więzy braterstwa i łączności zadzierżgali, przed ołtarzem w kościele modlili się wspólnie w święta ich narodowe. Tu muszę dodać, że kościół mój, jako

znajdujący się w centrum miasta i utrzymany wzorowo, jest przeznaczony przez J. E. Biskupa Daffrę dla różnych narodowości obcych. To też i moi kochani goście z Litwy miewali tu nabożeństwa w ich rodowitym języku. Mieli oni Msze i kazania w godzinach specjalnych, jak to mają miejsce w tymże kościele Anglicy, Francuzi, Niemcy i Polacy.

Wrażenia z podróży autem ze San Remo do Wilna.

Kongres Eucharystyczny w Kartaginie. Przyjęcia J. Em. na Rivierze, wystawy w Leodjum, Bruxelli i zwiedzanie Szwajcarii opóźniły mój powrót do Kraju. Czułem, że jestem zteroryzowany przez „mniejszość“ jak i J. E. ks. Arcybiskup Jałbrzykowski. Praca dalsza na Kresach jest sparaliżowaną przez O.O. Marjanów et consortes!

Tego więc roku postanowiłem czas poświęcić dla moich przyjaciół i szczególnie dla siebie. Zbudowanych 12 kościołów daje mi tytuł emeryta a 70 lat przeżytych w walce z rusyfikatorami pozwala pisać się na listę weteranów a przynajmniej niby—inwalidów Polski.

Kupiłem sobie tedy auto. I nietylko, aby obsługiwać łatwiej moją parafię na Rivierze, ale aby móc odwiedzać Polskę i Litwę.

Tak tedy wyjechałem z Włoch, prowadząc sam auto, przez Torino, Medjolan, Bergamo, Bolzano, Meran, przebyłem Styryję, Bawarię, Prusy i stanąłem u barjery Polski koło Poznania. Nazajutrz miałem trafić na Kongres Eucharystyczny w Poznaniu, dokąd Jego Eminencja osobiście mnie zaprosił.

Zapyta niejeden nawet wprawny i doświadczony turysta, jak mogłem puścić się w tak karkołomną przez Alpy podróż autem i bez szofera?

Wiele powodów miałem do tego. Najpierw jestem sportowcem z zawodu: lubuję się górami nie mniej od Piusa XI, chociaż miałem już wiele i poważnych przygód w górach. Razu pewnego o porannej zorzy wspinałem się na „Dent du Midi“. Przebyłem strefę kwiecistych łąk, lasów, wspiełem się na górę skalistą gdzieśgdzie przeplatana roślinnością. Wtem nadciągnęły chmury, które z deszczowych przemieniły się w śniegowe. Moje obuwie się rozpadło, nawet opadły skarpetki, na boso śpieszyłem w stronę, gdzie zdawało się zbliżać do schroniska. Śnieg padał tak gęsty, że i widzieć przed sobą ścieżyny nie mogłem. Gdy już zimno w nogi dokuczać zaczęło a krew się lała od poranienia, zrospaczony modliłem się do św. Antoniego. Wtem dostrzegłem schronisko dla pasterzy. Wszedłem, skuliłem się, ogrzewałem nogi i myślałem, że tu zamarznię. Spostrzegłem w kącie słomę i stamtąd wy dobyłem ukrytą parę obuwia góralskiego. Wytrząsałem te w obawie przed skorpionami lub żmiją. Wkładałem na nogi i akurat pasowały mi. W godzinę póź-

niej spocząłem w dole na kwiecistej błoni, pokrytej bielą narcyzów a spłoszone sarny przystawały zdziwione i zdawały się pytać: czy znowu w góry i śladem za nimi? Kiedy zaniosłem do bliższej chaty obuwie z 5 frankami prosząc, by to obuwia odnieść z powrotem, powiedzieli mi Szwajcarzy, że właśnie to obuwie tam się składa dla ratowania sportowców. Ja jednak zawdzięczam to ocalenie św. Antoniemu.

Trzeba wiedzieć, że turystyka w Szwajcarii jest najbardziej rozwiniętą. Tam wszelkie ułatwienia, pogotowia i pomoc w wycieczkach zbiorowych i w pojedynkę. Pod tym względem jest nieźle i we Włoszech. Obecny Rząd Mussoliniego od kilka lat pracuje nad zbudowaniem „autostrady” po całej Italii na wzór Bawarii i Szwajcarii. Od San Remo zaczynając aż do Medjolanu drogi były wąskie. Tuż obok buduje się inna i tak szeroka, że 10 aut może mijać obok siebie. Kto chce podziwiać pracowitość Włochów i sprężystość rządów Mussoliniego, niech jedzie tą drogą. Linję nowej drogi przeprowadza się wprost przez góry, lasy, rzeki, przeпаście. Pod kilofami pracujących padają skały najwyższe. Każdy kilometr drogi godnym jest obserwacji, bo wszędzie widok przepiękny na morze lub góry. Oczywiście, jazda autem nie może być prędką, bo przebywa się przestrzeń drogą starą, wąską, serpentynową. Faszysta i temu radzi jak może. Napisy na zakrętach dróg, czerwone chorągiewki lub lampki wskazują niebezpieczeństwa a gdzie większe skupienie ludzi czy aut — faszysta usuwa z drogi przeszkody tembardziej, że kamienie z gór usuwanych na drodze i materiały są przewożone tą samą jeszcze pierwotną drogą.

Od Medjolanu do Bergamo droga przepiękna. Ta autostrada pozwala setkę kilometrów przebywać w godzinę. Gorzej jest, ale i piękniej w górach od Bergamo przez Meran do Bolzano.

Tu już w górach kierujący autem musi być wolny od myśli i spojrzeń, mogących spowodować katastrofę. Wspinanie się serpentyną na góry musi być bardzo ostrożne i roztropne: uchybienie autem na pół łokcia można przypłacić życiem.

Kiedy się pomija palmy pomarańczowe i cytrynowe, lasy i krzewy róż, o sto kilometrów wyżej zastępują je drzewa oliwkowe. Wyżej już kasztany, dęby, wreszcie na tysiąc do dwóch tysięcy metrów jodła, sosna i modrzewia a wyżej — skały i łyse góry, pokryte śniegiem. W ciągu podnoszenia się w górę na wysokość do 2½ tysiąca metrów nad poziom morza jest to najpiękniejszy widok i coraz to nowy: widok na morze, na góry sąsiednie, widok w przeпаści tuż obok auta wspinającego się. Co chwilę to nowe niebezpieczeństwa, to nowe wodospady, huk i ryk spadającej w przeпаść wody, to słońcem olśnione lasy i przestrzenie, to znowu wszystko pokryte szarugą, nawet zadymką lub śniegiem. Gdy w dolinach wesoło igrają bydłata

pasterze wygrywają na fujarkach, tulipany i narcyzy cudownie pieszczą wzrok. Wyżej ścielą się łąny zbóż, krzewy i lasy, ale gdzie bogata kończy się flora, zaczyna się jeszcze bogatsza fauna: tu już spotykałem często jastrzębi z gołąbkami upolowanym, zające poszarpane na drodze, tam znowu wyżej na wysokiej i stromej skale orzeł obłupia baranka, którego porwał na pastwisku, słychać w dolinie ujadanie psów i alarm pastuszków — to wilk przyszedł koze w kumę prosić lub lis zaswatał się do gęsi.

Niech sobie nie wyobraża szanowny Czytelnik, że się takie góry przebyło bez pokus. Jeszcze dzisiaj mi się przesuwają owe obrazy straszne. Auto się wspina z jednej góry na drugą, przebywa nad przeпаścią straszną i gdy się zdaje, że już koniec drogi, nagle skręt, zawarczała maszyna i znowu wyżej i wyżej. Jadę wpatrzonego w kierunka przed siebie na drogę, biorę na cel wąską dróżkę i gdy skrzydła auta zawisają w powietrzu, nad przeпаścią, koła przenoszą wóz znowu na piękną drogę. Zmęczony prowadzeniem auta a bardziej wiedziony ciekawością oglądania cudownych przestrzeni przebytych, zatrzymuję się i wtedy czytam w tej księdze Bożej niewidziane dzieła Jego rąk.

Nagle naciągnęła chmura. Pioruny uderzyły. Błyskawica olśniła dookoła. Ulewa wielka. Biedne ptaszyny i zwierzęta ukryły się po norach i lesie, który zawarczał jak mój „Fiat”, rwący się na stromą górę. Jechać dalej było niebezpiecznie, bo można na pochyłej drodze zeslizgnąć się. Gdy tak siedziałem w zakrytym aucie, zbliżył się do mnie faszysta z karabinem. Zaprosiłem go do mojej budy. Opowiedział mi wiele o burzach i przygodach turystów z piorunami w górach. Gorzej było gdy zjeżdżałem z gór ku Bolzano: auto musiałem miast pędzić — hamować i zamiast gór, przed sobą miałem widoki przepiękne; patrzyłem w kierunku drogi a tu, niżej, przed oczyma przesuwwały się przeпаście i wodospady, to znowu jakieś dziwadła. Od czasu do czasu zatrzymywałem auto, aby nasycić oczy temi niezwykle widokami. Tak szczęśliwie przebyłem góry a na granicy w Bolzano pożegnałem Włochy. Urzędnicy na granicy austriackiej zaopatrzyli mnie w mapę i cenne wskazówki. W kilka godzin już byłem na granicy Bawarskiej. Po przenocowaniu na ziemi zacnych Bawarów, nazajutrz o godzinie 4 rano ruszyłem ku Monachjum. Przed Hochkirchen ze 70 kilometrowej jazdy na godzinę, wobec zakrętu zmniejszyłem chyżość na 40, gdy nagle z poza zakrytej drogi wyskoczyło przed auto trzech cyklistów gęsiego. Targnąłem kierownicą, pękł promień tejże, zranił mi rękę, ale życie tym nieszczęśliwym ocaliłem. Miałem też i ciężkie tego konsekwencje, bo łamiąc kierownicę sciałem autem słup przydrożny z napisem: „nach Munchen”. Gdy zahamowałem, mój wóz jęczał: rozbiłem jedną szybę, dwa koła i oś zbuchtowałem, zderzak się zgiął w duhę, akumulator roztrza-

skał a część lewa nadwozia była uszkodzona i poszarpana. Zatelefonowałem do najbliższego posterunku turystycznego. Po 5 minutach już miałem przed sobą pomoc ratunkową: doktor, ksiądz, burmistrz, policjant i mechanik. Zbadali cyklistów, spisali im protokół za jazdę stroną lewą i spowodowane szkody, podziękowali mnie za ocalenie ich, zabrali moje auto do garażu. Kiedy pięciu mechaników spieszyło wyreperować moje auto, Baronowstwo Pescadore, Proboszcz, Burmistrz i Doktor wydali obiad na cześć turysty polskiego. Po godzinach 6 auto było mi podane, a ponieważ auto zaasekurowałem na 200,000 lirów w Królewskim Turing Klubie w Imperji, tam skierowano rachunek na 500 marek za reperacje. Muszę dodać, że wiele części uszkodzonych w aucie mechanik musiał sprowadzić autem swoim z Monachjum (o 35 klm.) od „Fiata“. Tak żegnany przez moich przygodnych przyjaciół znowu ruszyłem dalej. Tegoż dnia przybyłem do Lipska, oczywiście po zwiedzeniu Monachjum. Nazajutrz o godzinie 11-stej przybyłem do Berlina. Dzień był niedzielny, tłok ludu na ulicach. Chociaż sam prowadziłem auto bez trudu, to jednak wziąłem szofera berlińskiego, aby nie wpaść w kolizję z berlińską policją. Zrobiłem tego dnia prawie 500 kilometrów i o godz. 14 i 1/4 byłem na granicy Polski.

Niemiecki urzędnik oglądnął tryptyk, paszport i roгатkę otworzył. Natomiast nasz polski żołnierz najeżył bagnet i zawołał: „stój“. Oświadczył on, że wpaść do Polski nie może, bo jakoby p. Minister Finansów zarządził, żeby od godziny 12 w niedzielę aż do godz. 9-tej w poniedziałek nikogo nie wpuszczano, aby urzędnik miał wypoczynek. Dowiedziałem się, że nasz p. urzędnik poszedł na ryby za kilkanaście kilometrów. Pilno mi było bardzo, aby trafić na Kongres Eucharystyczny. Pytałem, czy nie można zatelefonować do Warszawy. Odpowiedź była odmowna i stanowcza: „p. urzędnik ma klucz od telefonu, jutro udzieli“.

Cóż począć? Byłem w kłopotcie, bo akurat mi kończył się tranzyt przez Niemcy. Świadkiem tego był urzędnik niemiecki. Radził on mnie wrócić do Berlina, bo tam jedynie mieli prawo prolongaty tranzytu. Na prośbę moją zatelefonował on do Berlina i pozwolenia zatrzymania się po stronie Niemiec udzielono.

I tak odbyłem areszt 24-ro godzinny o głodzie i chłodzie w polu. Niemiec tryumfował. Zaraz zatelefonował do „Rundchau“ o przygodzie turysty polskiego na jego ojczyściej granicy, a potem grubiański, wymyślając Polakom.

Po przebyciu granicy polskiej w poniedziałek stawilem się, by powitać Jego Eminencję. Tu zastałem Pw. Księdza Florjana Markowskiego. Znałem go z gorliwego obsługiwanu rodaków we Francji i jako prefekta szkół. To też zaprosilem, aby raczył ze mną autem wracać do Wilna. Chętnie się zgodził tembardziej, że ks. kan. Rut-

kowski, sekretarz ks. Kardynała Prymasa do tego zachęcał. Po drodze zajechaliśmy do Ich Eksc. Biskupów Nowowiejskiego i Wetmańskiego w Płocku, którzy byli długi czas moimi gośćmi w San Remo, potem zawadziliśmy o Warszawę, Siedlce, Brześć nad Bugiem i stąd ruszyliśmy do Baranowicz. Ciężko nam tu było podróżować: co wieś lub miścina witała nas czerwoną bolszewicką chorągiewką. Pierwsza taka chorągiewka była w ręku najbrudniejszej starej żydówki, która zawołała na nas: „na roges“, a druga krzyknęła: „nit na roges, aber rogaktes“. Po opłaceniu 50 gr. jechaliśmy dalej. Ale wkrótce znowu chorągiewka, znowu rogaktes i już 2 zł. Gdy nam nadokuczono, pomijałem krzyczące żydy, mówiłem, żeśmy goście zagraniczni. Ponieważ na froncie auta była korona i biały orzeł — nikt nie mógł poznać, co to za auto, nie śmiał nas wstrzymywać.

Gorzej było z benzyną. W Polsce nie to, co we Włoszech, Bawarii lub Prusiech. Tam prawie co kilometr przydrożne są cysterny. Na głos trąbki wychodzi obsługujący we fartuchu, odkrywa auto, ogląda, nalewa benzyny, wody, oliwy, podaje rachunek, otrzymuje należne, kłania się grzecznie i turystę żegna.

Inaczej się dzieje w Polsce. Gdy się wyjechało z Wielkopolski, spotyka co prawda cysterny z benzyną, ale bez obsługi: podjeżdża się do cysterny, trąbi długo i wtedy ktoś litościwy idzie szukać sprzedającego. Zjawia się wreszcie dziecko żydowskie lub stara żydówka, otwiera cysternę i prosi, aby turysta sam napompował benzyny. Obsługiwany dotąd wszędzie i należycie elegancki pan musi tu sam odkrywać motor, nalewać benzyny i wody, ocierać wóz i w ubraniu splamionem i rękoma osmarowanemi dalej kontynuować podróż.

Jeszcze gorzej jest z informacjami. Gdy zagranicą wypisuje się po rogach ulic i po drodze wielkimi, 30 centymetrowemi czarnemi literami kierunek drogi z wskazaniem nazwy miasta większego i miściny pobliskiej, w Polsce napisy są bardzo rzadkie, ale i te trzeba, aby odczytać, wyjść z auta i odszukać je, bo są napisane i niewyraźnie i zbyt małemi literkami. Dla przykładu muszę wyznać moje przygody w drodze z Płocka do Warszawy. Pomijając, iż żydowstwo ciągle zatrzymywało auto „na rogaktes“, że o benzynę dopytać nawet w większych miasteczkach było trudno, to jeszcze gorzej było dowiedzieć się w miścinach, w jakim kierunku droga prowadzi do Warszawy. Zaledwo auto się zatrzymało, żydziaki całym kahałem otaczają, włączają na skrzydła, czepiają się, zaglądają do okien i, zapytani o drogę, wskazują ją w różnych kierunkach. Tak zawiedziony kilka razy i chcąc mieć informacje pewniejsze, udawałem się do policji, dokąd żydziaki z harmiderem mnie odprowadzały. W samej miścinie bruki fatalne, drogi wąskie, zajęte różnemi przeszkodami a drogi szersze i lepsze prowadziły najczęściej do prywatnej własności. W ciągu podróży od Płocka do Warszawy ani jednego po-

rządowego napisu „do Warszawy” czy „gminy” nie widziałem. Nasze polskie kluby turystyczne zaczęły umieszczać napisy na rogach ulic i dróg krzyżujących się, ale nie kierunek głównych miast, lecz tylko miejsciny najbliższej. Tak pod samą Warszawą przy Modlinie były na słupie aż 3 wskazówki. Oficer wytłumaczył, że napis „na Nowy Dwór” ma wskazywać kierunek ku Warszawie.

Policja nigdy nas nie molestowała. Jedyny raz policjant przy wjeździe do Warszawy wstrzymał i zapytał o prawo jazdy, ale gdy mu wskazałem, że auto zagraniczne, przeprosił, odsalutował; pomknąłem prosto do hotelu Europejskiego. Była godzina 21. W Turing Klubie było zamknięto. Do garażu „Fiat” dodzwonić się nie mogłem i tylko przypadkowo na dworcu spotkałem tego, który miał w garażu dyżurować. Obowiązkiem „Fiata” było zrewidować bezinteresownie moje auto. Przetrzymano je w garażu godzin 15. Przed samym Brześciem musiałem przebyć kilkadziesiąt różnych skrętów bez żadnych napisów ostrzegawczych i jeszcze na skrócie krzyżowały się drogi, wiodące w pole i na łąki. Musiałem schodzić z auta, aby zbadać w którą stronę jechać.

Gościnności ks. Dziekana Bukraby nie zapomnę. Chociaż późno już było, wyskoczył sam, otworzył bramę i ulokował nasze auto. W domu jego spotkałem kochaną Mateczkę, która mnie odwiedzała w więzieniu grodzieńskim a odwiedzała przed 30 laty z mężem i synkami, uczniami gimnazjum. Cała ta rodzina była moimi penitentami i serdecznymi przyjaciółmi. Jeden więc z jej synów obecnie jest ulubieńcem Brześcia i ks. Dziekanem; jest on i dobrym turystą, jego auto o wiele lepsze od mego.

Z Brześcia pojechaliśmy na Kobryń w kierunku Baranowicz. Okazało się, że przedwcześnie zjechaliśmy z gościńca w stronę, ale szczęśliwie, bo mogliśmy odwiedzić naszą najbardziej zasłużoną Polsce powieściopisarkę, pannę Marię Rodziewiczównę. Podczas obiadu ubolewaliśmy, że w Polsce jest żyć ciężko, że wiele namnożyło się ludzi nieuczciwych. Zapytałem, czy jest ona zdania, że nasza kochana młodzież odrodzi Polskę. Odrzekła, że liczy na młodzieńców, ale nie na świat kobiecy. Przypomniałem tedy sobie, że niewiasty są złe przez nią widziane i że w każdej panience upatruje ona sklepik ze świecidełkami, pędzelkami, farbami, lusterkami, kokieteryą i chęcią bawienia się. Ja zaś próbowałem dowodzić, że właśnie na nasze młodociane Polki wiele pokładam nadziei, bo one winne być kapłankami ogniska domowego i wychowawczyniami dobrych obywateli Kraju. Nie wątpię, że Rodaczki same rozumieją ich wielkie zadanie i każda zdobędzie się na polot ponad poziomy—będzie zawsze dobrą córą przedewszystkiem Kościoła a tem samem i Ojczyzny. Służyć Polsce, to służyć Królowej Korony Polskiej. Po sutym obiedzie Pani domu odprowadziła nas do auta. Mówiła,

że auta nie lubi, że woli konie. Ale kiedy przyjrzała się dobrze memu „Fiatowi” a i na własne oczy, przekonała się, że ten wehikuł jest spokojniejszy od koni, że nim łatwiej i pewniej się kieruje, zgodziła się, iż taka lokomocja jest przyjemną.

Pokrzepieni słowem i dobrym obiadem jechaliśmy do Baranowicz. Z wielkiego traktu w Miłowidach musieliśmy zjechać na drogę łączącą nas z gościńcem słonimskim. 12 kilometrów zajęło nam parę godzin, bo zamiast dobrej drogi były podkłady niemieckie. Ledwośmy dojechali do stacji kol. Leśnej. Zabrakło benzyny. Po długich poszukiwaniach p. zawiadowca stacji zgodził się pożyczyć 8 kilogramów. Zapłaciłem woźnemu i ten przywiózł benzynę z Baranowicz.

Baranowicze.

Ta stacja patryarchalna jest dla nas. Za czasów Moskiewskich służyła polskiemu społeczeństwu i przeważnie była obsługiwana przez Polaków. Od kilku lat odwiedzam Baranowicze dlatego, że w Kroszynie jest proboszczem mój brat, ks. Jan.

Gdy nazajutrz chciałem autem odjechać do Kroszyna, okazało się, że auto „zaniemogło”. P. rotmistrz Szypillo i ja wóz odprowadziliśmy do garażu „pierwszorzędnego”. Spotkał nas niejaki Szmujła, potem Siemionow. Długo się targowali, żeby to auto zostało na miesięczną kurację, ale sami ledwo po 4 godzinach odkrycie zrobili, że sprzęgła spalone. Temu oni zaradzić nie umieli.

Udałem się natychmiast na stację telegraficzną. Obsługująca telefon białogłówna kazała czekać aż półtorej godziny. Wysłałem depeszę z odpowiedzią dla mnie i do firmy „Fiat” w Wilnie. Nazajutrz wieczorem telefonował mi dyrektor „Fiata”, że depeszę jego zwróciła mu owa niełaskawa telegrafistka (znając mój adres) i że on radzi depeszować po sprzęgło do Warszawy. Odjechaliśmy na st. kol. i tu z Baranowicz mieliśmy depeszować do „Fiata” w Warszawie. Tu jeszcze bardziej był nam wrogi jakiś żółtodzioby młodzieniec od telegrafu. Po wysłaniu depeszy ja i ks. Markowski odjechaliśmy na niedzielę, on do Wilna, ja do Lidy. Mój kolega ks. Bojaruniec przyjął łaskawie czarnym chlebem i szklanką herbaty, ale te mi smakowały, bo przypomniały czasy bohaterskie z przed 30 lat, kiedy byłem ulubieńcem Lidy i złotym krzyżem nagrodzony. W niedzielę po Mszy św. lud poznał mnie, otoczył, domagał się, abym powiedział kazanie. Ks. kanonik Bojaruniec wogóle zastępstw w kaznodziejstwie nie lubi, sam więc wolał i tym razem kazać.

Udałem się z wizytą do ks. Rektora w klasztorze OO. Pijarów. Ci nasi zasłużeni zakonnicy pogląd inny mieli. Uważali, że i najlepszy kaznodzieja proboszcz jest mniej słuchany, niż kaznodzieja przygod-

ny—posłali mnie na ambonę. Po tem kazaniu Lidzianie prosili mnie i ks. Rektora, żebym i na nieszporych wygłosił Słowo Boże, dając możność słyszeć i nieobecny teraz. Przyrzekłem.

Po obiedzie OO. Pijarzy zaproponowali przejechać się autem-taksówką do Minojt. W drodze tedy na zakręcie szofer wysypał nas do... rowu. Widząc, że z rozpędu wywracamy się w kierunku przydrożnego drzewa, udzieliłem wszystkim generalnego rozgrzeszenia. Podniesiono mnie, ale z bezwładną ręką i lejącą się krwią z czoła... Okazało się, że kamień odrzucił auto, ocalając nas od śmierci. Wróciliśmy tym samym wozem na plebanję. Ja ułożyłem się do łóżka boleści. O godzinie 7 lud zalał cmentarz i zapełnił kościół—przybył tłumnie na zapowiedziane kazanie. Biedny O. Rektor nie wiedział, co począć. Widząc to zakłopotanie, udałem się na ambonę. Nim celebrans zakończył nieszpory, wpatrując się w ten mój ukochany białopolański lud, nabrałem sił. Dwie i pół godziny opowiadałem o tryumfie Pana Jezusa w Kartaginie, Chicago i Poznaniu w czasie Kongresu Eucharystycznego. W końcu zaleciłem, aby rodzice swe syny oddawali do gimnazjum OO. Pijarów. Zaprosiłem moich b. parafjan, aby stawili się na Mszę św., którą miałem zaofiarować za duszę moich kolegów ś. p. ks. Bieniasza, ks. Sienkiewicza i tych, którzy spoczęli w Bogu. Tegoż wieczora i rana nazajutrz ręka moja bolała okropnie. Dr. i poseł Harniewicz wraz z innymi kolegami skazali mnie na leżenie i kompresy. Pomimo boleści i kompresów udałem się ze Mszą św., którą ledwo odśpiewałem.

Cały dzień musiał ks. Rektor przyjmować kandydatów do gimnazjum. Niektóre kobieciny pytały: „czy tu gimnazjum ks. Borodiczca?”

Czcigodny ks. Rektor kilka dni czuwał przy moim łóżu, ubierał i rozbierał mnie, chociaż i on był ciężko chory i wybierał się do wód. Moje cierpienie coraz gorzej mi dokuczało a ks. Rektor skarżył się, że ma ból głowy codzienny od lat dziewięciu. Sądząc, że kompresy spowodowały u mnie ostry reumatyzm, posłałem do Wilna do ks. Kanonika Kretowicza po liść agawy. Oboje z ks. Rektorem natarliśmy bolące miejsca. Ks. Rektor został uleczony całkowicie a ja czułem jeszcze boleść wskutek zmiżdżenia mięśni — przez dwa tygodnie bardzo cierpiełem.

Po kilkogodzinnej prośbie, aby telefonista ze st. Baranowicz zaprosił do telefonu p. Szypitłę, przebywającego prawie w sąsiednim pokoju lub zawiadowcę stacji, udało mi się groźbą zażalenia i opisu w Kur. III. zmusić telefonistkę połączyć telefon Nr. 111 z zawiadowcą stacji, chociaż ta, jak i jej kolega zanic obsłużyć nie chcieli. Dowiedziałem się, że moje auto już gotowe i mogę opuścić Baranowicze. Wróciłem. Znalazłem przygodnego szofera, który wobec mej choroby miał auto doprowadzić do Wilna. Z Baranowicz odprowadzono nas aż na trakt w kierunku Li-

dy — Nowogródka. Ten „trakt“ to zwężał się, to rozszerzał, aż wreszcie dojechaliśmy do młynu, a, że na trakcie były reparacje, zmuszano nas jechać przez młyński most. Szofer nie dowierzał wytrzymałości „mostu“, ale zmusiłem, auto powoli przesunął. Po 22 kilom. drogi, porwanej jamami, rowami i pokładami, dojechaliśmy do Rabki, za którą mieliśmy wjechać na nowy trakt Nowogródzko-Zdzieciolski. Tu jednak groziło nam nieszczęście gorsze, niż przepaść w Alpach: przed nami był most na rzece z powykrzywianymi słupami i pogniłymi deskami. Sama wysokość około 7 metrów, szerokość ze trzy—przebrały mego kierowcę. Odmówił się prowadzić auto. Poszedł do wsi zwołać ludzi na ratunek. Cała wieś spoglądała na moje nieszczęście, ale nikt zaradzić nie umiał. Pomodliłem się do św. Krzysztofa, ująłem kierownicę w bolące dłonie i wolniutko przesunąłem auto. Kilka razy most się chwiało, ale koła utrzymałem w równowadze i tak ze dwadzieścia metrów przejechałem. Rozgoryczony i zawstydzony, że w mojej ukochanej Ojczyźnie jeszcze takie są mosty, powiedziałem obecnym ludziom, że na tym moście należy czynnikom odpowiedzialnym po 25 batów.

Wszystko już było dobrze. Pędziliśmy wichrem po nowej szosie, gdy naraz kazano zjechać z gościńca, bo most się budował. Na drodze objazdowej rowy i kamienie do nieprzebycia. Nagle auto odmówiło posłuszeństwa. Nadszedł autobus, pociągnął nas i auto aż na rynek w Zdzieciole. Tu opadli żydzi, popchnęli nasze auto gdzieś za kahał... do reperacji. Ostrzeżony w czas, kazałem zawrócić i pchnąć go na dziedziniec Ks. Dziekana. Przybyli z pomocą p. Burmistrz i ks. Wikary. Dali nam mechanika, który w kilka minut wehikół uleczył. Nadjechał i ks. Dziekan Żero. Nie pozwolił odjechać, ale najgościnniej podejmował podróżnych. Nazajutrz dał nam lepszego szofera i, odwiedzając po drodze mych miłych kolegów w Żołudku i Bieniakoniach, po modlitwie gorącej na grobie kolegi, ś. p. Ks. Stragasa i Marysi Mickiewicza, dojechaliśmy do Wilna.

Tu odwiedziłem ulubione kościoły Ostrobramę i Katedrę, złożyłem wizyty Arcypasterzowi, Kolegom i Kapitulie i jałem się opisywania moich przygód. Sądziłem, że ten dalszy ciąg pamiętników zabierze mi wiele czasu. Okazało się, że p. Zaniewski klisze już był wykonał, drukarnia „Pogoń“ pobiła rekord w pośpiechu — za 6 dni ta broszura ujrzała świat. Było gorzej: musiałem pisać na maszynie: nieraz do późnej nocy, by dostarczyć w czas zecerom rękopisu.

Po przeczytaniu tych długich opisów mojej podróży zagranicą i w Kraju, Sz. Czytelnik zrozumie, jak trudno byłoby podróżować w Polsce cudzoziemcom. Przyzwyczajeni do dobrych dróg, do owych wykrzykników i zygzagów na dużych tablicach, wskazujących niebezpieczeństwa, a których Polska ma zbyt mało, powpadałoby do rowów. Nie mogliby oni dopytać się i kierunku drogi. Zagranicą wszędzie

są turystyczne kluby, mechaniczne zakłady, rozdające podróżnym mapki i wykazy miast większych i mniejszych a gęsto po drodze ustawiono tablice z napisami: „nach Munchen“, lub „Milano“ etc. W Polsce, niestety, napisów brak lub doczytać się nie można a o Warszawę nie pytaj, ale o jakiś „Nowy-Dwór“. A telefoniści?!

Jeżeli mam zrobić porównanie postępów Polski w odbudowie dróg co do przestrzeni i czasu, to ta pobiła rekord. Ani Mussolini tak długiej „autostrady“ nie zbudował we Włoszech. Trakty nowe niekiedy są nawet podobne do owych zagranicznych z tą różnicą, że tamte są osadzone drzewami owocowymi i napisami informacyjnymi.

Opis powyższej podróży zagranicą i w Kraju ma cel informacyjny i pouczający, szczególnie dla naszych młodych turystów i klubów turystycznych.

Apel do Kolegów.

Każdy z nas przy wyświęceniu otrzymał nakaz: „Euntes docete omnes gentes et praedicate Evangelium“. Apostołowie dali nam przykład z jakim poświęceniem się mamy spełnić to niezmiernie wielkie posłannictwo, chociażby nas i krzyżowano. Nie myślicie, że zbudowanie 12 kościołów, odpieranie schizmy i rusyfikacji tak za Moskali jak i w czasach obecnych były bez cierpień i krzyży dla mnie. Owszem wrogowie Kościoła i Polski ciągle wołają za mną: „On Belzebuba ma“. Nowoczesny rusyfikator, siewca „unji“ jest o wiele niebezpieczniejszy, bo uzbrojony przez Bolszewję i Niemcy w kłamstwa i ma na swoje usługi nieuczciwą prasę. Kiedy w 1927 r. przybyłem na Kresy, agenci wrogiego nam obozu z OO. Marjanami w Drui sprzyśleli się przeciw mnie, zaleli prasę oszczerstwami a te X. Andrzej Cikota zawiózł do Warszawy i Rzymu, „przekonał“, że X. Borodicz „mniejszość drażni“, warcholi i że J. E. Arcypasterz w tem ma żadnych przeszkód nie czyni. Nakaz pamiętny p. Dobruckiego skierowano do Metropolji Wileńskiej, by ks. Borodicz z Kresów usunąć. Gdy w roku zeszłym zbyt blisko sąsiadowałem, jako czasowy proboszcz w Waranowiczach, budując kościół jeden w mojej parafji po stronie Łotwy — drugi w lesie pod Miorami a ten św. Antoniego dla parafjan drujskich — Marjanie drujscy znowu drukowali paszkwile, znowu alarmowali w Rzymie i Rydze i wyjednali w Rzymie nakaz do Wileńskiego Arcypasterza, aby nie pozwolił mi mieszać kazań. Prasa to siła. Dosyć, że generał Bucyzs zjawił się do urzędów Watykanu z pliką gazet czy to były: Kurjer Wileński, czy Biełaruskaja Krynica a dobrym argumentem mu są i głosy płatnych Przeglądów Wileńskich, Utra lub Rundschawów. Artykuły oszczercze przeciw J. E. Arcypasterzowi czy X. Borodiczowi wypisane są

najskuteczniejszym narzędziem do z maltretowania Arcybiskupa. Cóż mówić o Borodiczu? Roma locuta—causa finita. Cikota et consortes tryumfują, bo opluli, rozbili i powagę szermierzy Kościoła poderwali: ręce związane, praca 30 letnia Borodicza zniweczona wobec Kleru i społeczeństwa... Ażeby nie było wzmianki o niej, usunięto nietylko imię X. Borodicza z rubryceli, ale i wzmiankę, że Kościoły w Żoślach, Miorach, Kluszczanach, Leonpolu etc. przezeń były zbudowane. Wszak ja dotąd Mszę św. odprowadzam za zmarłych kapłanów w tej Archidiecezji. A za mnie kto będzie odprowadzał skoro wykreślony z listy XX. Wileńskiej Archidiecezji?

Dlaczego aż taka niesprawiedliwość i za jakie herezje? Tego chcieli moi wrogowie drujscy a w Rzymie i Warszawie oni mają posłuch. Jak każdy z nas „sacerdos potens nisi in Deo nisque in Ordinario“ tak samo „Ordinarius nisi in Deo nisque in Roma et Varsavia“. Największy pracownik w Archidiecezji został niedawno jeszcze zhańbiony w Sejmie przez różnych Karuzów i t. p. Czy kto się ujął? A prasa Wileńska ileż to razy czerniła Xięcia Kościoła Wileńskiego? Wszelkie oszczerstwa zostały pominięte grzesznym milczeniem. Ani lud, ani Kler nie protestują na bezprawia. Gdy ja byłem zajęty budową kościołów na Kresach a oszczercy najgorszą opinię w prasie mi urabiali Konfratry milczeli. Dzisiaj już macie owoce tego milczenia: obcy nam i wrogi x. Bucyzs stał się kierownikiem sprawy naszej ojczystej a bardziej kościelnej w Polsce, bo zabrakło kapłanów polskich w Rzymie czuwających, bo niemasz ktoby informował i bronił nas w Rzymie. Brak naszej solidarności, brak organizacji, brak samoobrony i poczucia honoru kapłańskiego, indyferentyzm sprowadziły nas na poziom arcyupokarzający. Sapienti sat.

Być może spotkam się z zarzutami, że nie hołduję cnocie milczenia. Wyjaśniam. Milczenie jest cnotą, ale wtedy, gdy nie jest naszym obowiązkiem kapłańskim czy obywatelskim nawoływanie, lub, jak św. Paweł mówi, gdy to milczenie nie jest „dla słabych i ułomnych zgorszeniem“. W danym razie czasy są takie, że w oczekiwaniu, nim się pojawi nowy Skarga, ja z konieczności jestem jego małym poprzednikiem. Dlaczego? Mamy czasy i doświadczenia smutne: Popi rosyjscy, gdy Jarosław ich w schizmę zakuwał, gdy Piotr Wielki tajemnicę Spowiedzi łamał, car na szpicli i donosicieli przekształcał — milczeli. Pan Bóg ukarał ich za milczenie a bolszewizm wżarł się w lud.

W Moskwy duchowieństwo, jak ongiś we Francji, milczeniem grzeszyło. Dzisiaj jęczy po niewczasie w niewoli masońskiej, nikt mu nie śpieszy z ratunkiem!?

Przewidujący to w swoim czasie Leon XIII, nakazywał i nam wyjść z zakrystji do ludu. Dlaczegoż znowu mamy zamykać się i wtedy, gdy nasz lud potyka się rozpaczliwie z wrogami Ojczyzny

i Kościoła i nawołuje nas do pomocy? Dlaczegoż mamy zaniechać odbudowy kościołów i Polski, skoro w naszych parafjach różne Miotły budują śmietniska bolszewickie?

Przecież i św. Tytus nawołuje kapłanów, a szczególnie biskupów, zaleca im, prosić, wołać, grozić i zmuszać lud do prawości. Ponadto Mistrz z Nazaretu, jako Pasterz najlepszy, dał przykład, byśmy szukali zaginione owce, przywracali je Kościołowi i Ojczyźnie.

Powiedzą mi Koledzy, że moralizowanie ich należy do Arcypasterza. Tak! Czołem przed Nim! Ale że i ja pracowałem w pocie czoła z Wami od lat wielu i w czasach niewoli, współ z Wami, Konfratry, odprawiałem rekolekcje dla ludu, pielgrzymki liczne na odpusty, kolendy u katolików i prawosławnych, Pan Bóg naszej wspólnej pracy błogosławił, cuda czynił, a ludu ze schyzmy tysiącami nawracaliśmy, niech mi wolno będzie zapytać, dlaczego Wy i teraz niektórzy nie wychodzicie po dawnemu z zakrystji? Przecież po powrocie z długiej tułaczki zastałem stan katolicyzmu i polskości u Was gorszy, niż za caratu... Lud znalazłem ten sam, zdolny w parę miesięcy sześć kościołów wybudować na zew kapłana, darzyć go zaufaniem, gdy ten nie milczy i gdy jak matka mu służy... Niestety muszę wyznać gorzką prawdę, iż zastałem Was, kapłanów innymi, szczególnie generację młodszą: misję tak zaszczytną nad Dźwiną nazywają „pokutą“... a lud dowołać się ich nie może...

Z ośmiu moich kościołów nad Dźwiną jeden tylko w Miorach od niedawna jest należycie obsługiwany, a to od czasu, gdy tam zjechał czcigodny X. Dziekan Świrkowski i drugi w Leonpolu X. J. Zawistowski; do innych, pomimo błagań ludu, nikt tam z kapłanów nie zagląda.

W innych dekanatach jest gorzej. Prasa alarmuje, że katolicy setkami opuszczają swych pasterzy i garną się do schyzmy i sekt.

Jeżeli „Hromadowcy“ zdążyli w Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie zorganizować: 199 hurtków-jaczejek komunistycznych w powiecie grodzieńskim, 190 w nowogródzkim, 140 w słonimskim, 115 w dziśnieńskim, 110 w postawskim i t. d., i t. d., a ilość członków wzrosła w 1926 roku ponad sto tysięcy; jeżeli metodyści i baptyści zaatakowali Wilno, Grodno, Białystok, Dzisnę, Lidę i t. d., a niektórzy popi zaczęli sypać dolarami na prawo i na lewo, wspierając te gniazda bolszewickie, a w kościołach zaczęto śpiewać po rosyjsku: „Światy Boże“, to gdzie — Wy, Fratres, byliście? Kto Was i gdzie pozamykał, dlaczego zasuspendował, w jakim celu??... Czy nie byliście i Wy ekspulsowani na ten czas przewrotu z Archidiecezji?! Czy może zmaltretowani jak ja przez akatolicką prasę, Marjanów Drujskich?

Dlaczego?!! Czyż zapomnieliśmy słowa św. Pawła, które codzień powtarzamy w Kompletach: „Fratres, sobrii estote et vigilate quia adversarius vester, diabolus, tamquam leo rugiens circuit quaerens quem devoret, cui **fortes** resistite in Fide! Vos estis lux mundi“! Wyjdźcież z zakrystji!!! „Żniwo jest wielkie“ a gdzież są żeńce??!

Jeżeli kiedy, to dzisiaj najbardziej potrzebne są „**Trąby Jerychońskie**“, by wszystkich kapłanów i obywateli zbudzić do ratunku Kresów Polski.

Oczywiście, nie moją rzeczą Was moralizować — to należy do Arcypasterza, PW. Kapituły i XX. Dziekanów. Ale i Ci „ob gloriam Dei“ nie są zazdrośni, gdyż inaczej nie byłiby nawoływali ani św. Franciszek z Asyżu, ani Wielki Skarga, ani ta święta niewiasta Johanna z Ark, ani nasi kochani Zakonnicy i Tercjarze. Do nich przyłączam mój głos ostrzegawczy, a ten na pożegnanie w formie błagalnej przed Was składam, bowiem milczenie w tak wielkich sprawach byłoby naszym potępieniem i zgubą. „Euntes docete omnes gentes!“ Szczęść Wam Boże! W jedności siła!

„Żal mi tego ludu“ powtarzam za Chrystusem. Moi Wy ukochani b. Parafjanie! Na odjeźdne i do Was parę słów pozdrowienia i pożegnania. Pracowałem i pracować pragnę z Wami do śmierci. Dziękuję Wam za bezgraniczne darzenie mnie zaufaniem. Jeżeli nie będę Waszym pośrednikiem w Sejmie lub kaznodzieją to nie moja w tem wina. Opatrzności Bożej Was polecam. Przy starości i okolicznościach, w jakie mnie postawiono, odjeżdżam do San Remo, gdzie też praca i kochające serca, jak Wasze, na mnie czekają. Żyćcie z Bogiem i dla Ojczyzny! Długie lata współpracy w doli i niedoli, obudowywania kościołów materialnych i moralnych i odpierania wrogów Polski na wieki nas złączyły. Myślą i sercem będę zawsze z Wami. Jeżeli wolą Bożą będzie, odwiedzę Was, jeżeli umrę, — duszę moją polecam modlitwom, a Mioran proszę ciało moje złożyć pod kościołem obok moich rodziców. Słodko nam żyć i umierać w Bogu!

Gdy Siostrzana Litwa chce walczyć z Polską, radzę jej, by w walce złej woli nie było. Kościół i Polska ocaliły ją przed schyzmą, protestantyzmem i bolszewizmem. Te dwa Narody winne być w jedności, miłości i wyłącznie pod berłem Królowej, co strzeże nas z Jasnej Góry i Ostrej Bramy. Wrogowie podjudzają nas, różnią, rozdzierają, by znowu ujarzmić. W interesie ich podkopać naszą łączność i siłę. O, kajpgi saldu ir miejlu geventi venibej!!!

Kiedy bratnie uczucia z czasów Jagiełłów znowu zawitają ku nam, nasza Młódź z nad Wilji i Niemna połączy się w śpiewie „Wiljo, naszych strumieni rodzico“ „Oj gi grażus, grażus tolimasis Dangus“...

Opatrzności Bożej i obywatelskiemu, ich sercu Kresy Polski polecam. Łuna z za Dźwiny nas zatrważa, szczególnie gdy tę podsyca wraza nam prasa i jej agenci, zręcznie maskujący się. Solidarność i czuwanie — to bezpieczeństwo! Periculum in mora!

Wszystkim moim Dobrodziejkom i Dobrodziejom najserdeczniejsze Bóg zapłać!!!

